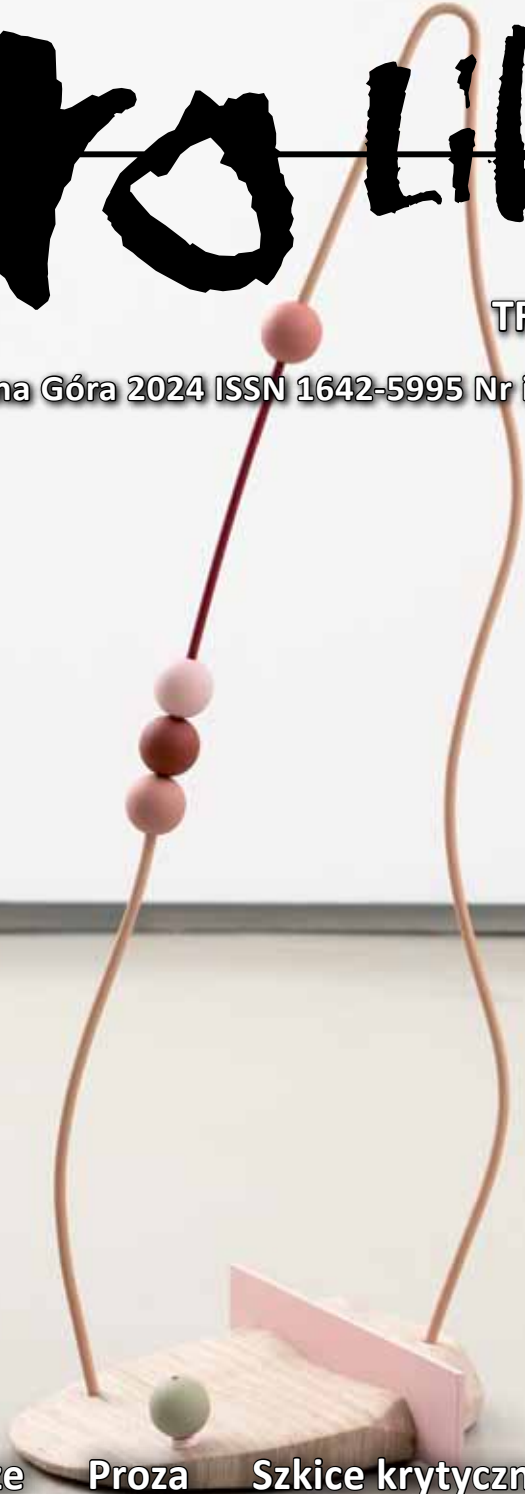


Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

PATRONI  
TRANSLOKACJE

Nr 2 (88) Zielona Góra 2024 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



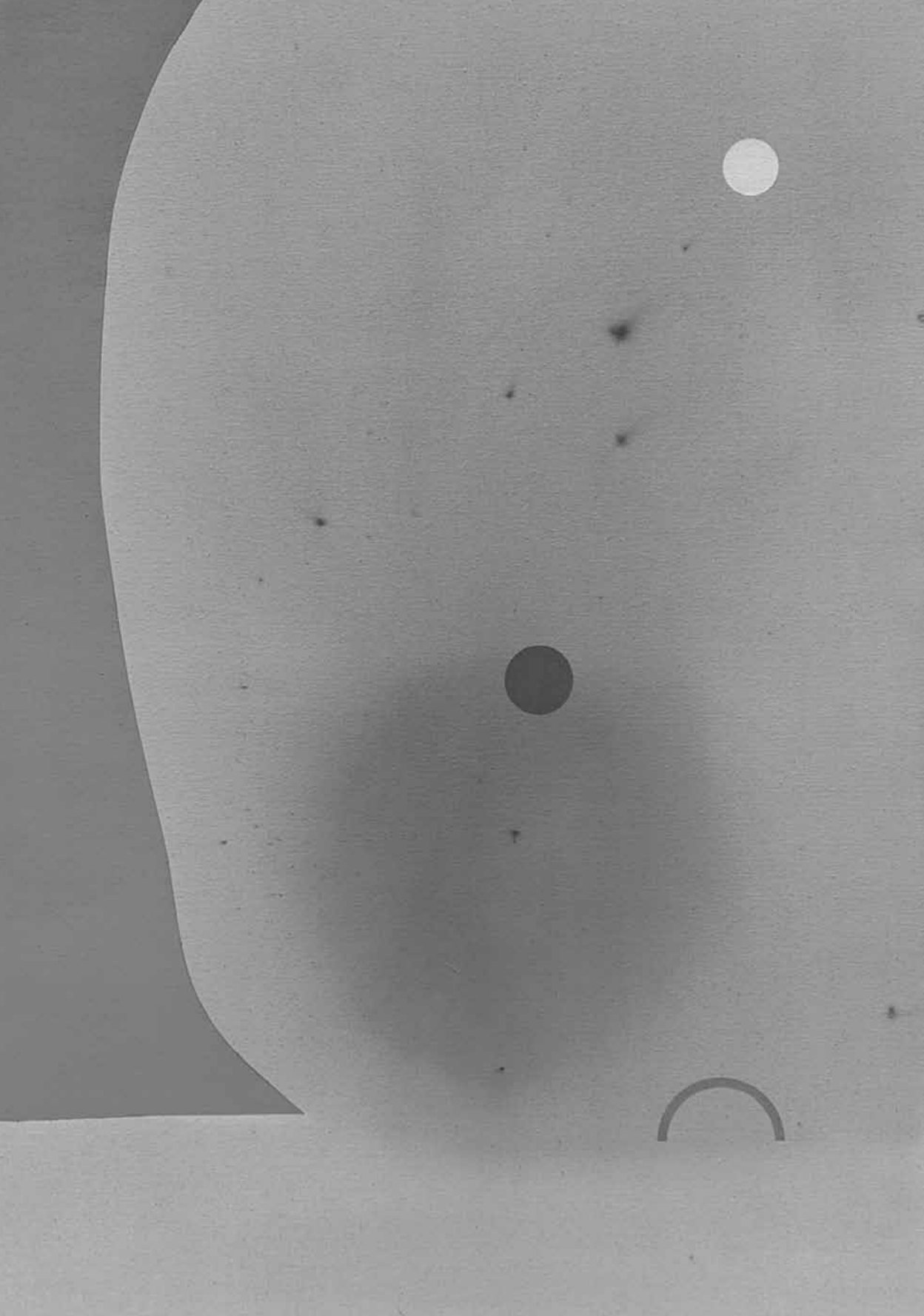
Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 2 (88)/2024

W numerze wykorzystano prace Barbary Bańdy

Copyright by

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2024

Redakcja

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji), Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Stale współpracują

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie

Archiwum Andrzeja Bucka, archiwum Ryszarda Sławczyńskiego, archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Mirosław Kuleba, Aneta Michałowska, Anna Polak, Franciszek Smoręda, Elżbieta i Krzysztof Subocz, Andrzej Wierdak

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

GRAF MEDIA

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Dofinansowano ze środków



BIBLIOTEKA  
NOR  
WID

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)  
e-mail: [prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:prolibris@wimbp.zgora.pl) [www.wimbp.zgora.pl](http://www.wimbp.zgora.pl) [www.prolibris.net.pl](http://www.prolibris.net.pl)

Pro Libris

# Od redakcji

Tym razem prezentujemy Państwu podwójnie specjalny numer „Pro Libris”. Po pierwsze, chcieliśmy się skupić na literackich patronach 2024 roku. Stąd tekst wprowadzający prof. Mariana Kisiela, który ukazuje ich dorobek w polskiej kulturze. Na szczególną jednak uwagę spośród nich zasługuje Marek Hłasko. To postać, wokół której koncentruje się czerwcowy Hłaskover (postscriptum Festiwalu Kozzi). Recepcji jego twórczości przyjrzała się dr Paulina Potasińska w artykule *Na tropach Hłaski*. Także rozbudowana rozmowa dr Piotra Prusinowskiego z dr Andrzejem Buckiem dotyczy m.in. adaptacji *Pętli* Hłaski. Po drugie, uwagę autorów i czytelników chcieliśmy zwrócić na temat translokacji. To termin współcześnie chętnie wykorzystywany we wszelakich dyskusjach, dotyczący migracji, zmian miejsc, ale także związków literatury, geografii i biografii. Proszę sprawdzić, jak pomysłowo podeszli do niego poeci i prozaicy.

Część literacką numeru otwierają wiersze Sławomira Gowina – pisarza, dziennikarza urodzonego na Ziemi Lubuskiej, obecnie mieszkającego w Warszawie. Wśród tekstów poetyckich znajdują Państwo też utwory: Ewy Franków, Hanny Chmielewskiej, Magdaleny Kalinowskiej, Jerzego Hajdugi, Eugeniusza Kurzawy, Bartosza Konopnickiego, Marcina Stefaniaka. Co ważne, prezentujemy też teksty osób nominowanych w 7. edycji Konkursu Debiut Pro Libris: wiersze Agnieszki Tymoszczyk (laureatki, której książka zostanie wydana jesienią tego roku) i Edyty Plucińskiej, fragment dramatu Andrzeja Sienkiewicza oraz wyróżnioną prozę sulechowskiej licealistki, Mileny Dudzińskiej. Debiutują u nas w numerze: Dorota Kawecka, Aleksandra Rokicka i Teresa Czajka. Mamy też sporo prozaików: Alicja Ścigaj, Paweł

Brol, Grzegorz Pul, Sławomir Bączkowski, Marcin Mielcarek – to tylko niektóre z nazwisk. Do tekstów będących kontynuacją cykli zaliczają się autobiograficzne *Zapiski* Czesława Sobkowiaka oraz *Obrazki z wystawy* Mirosława Kuleby.

W dziale Zbliżenia znajdują Państwo wspomniane teksty dotyczące twórczości Marka Hłaski oraz echa tegorocznych Wawrzynów Literackich (laudacja prof. Małgorzaty Mikołajczak i prof. Wojciecha Browarnego). Varia tym razem brzmią bardzo odrzańsko za sprawą Ryszarda Sławczyńskiego i Henryka Warszawskiego. Dwa teksty z Pracowni (autorstwa Bogusławy Kaźmierczak i Izabeli Jabłońska) napisane pod kierunkiem Małgorzaty Mikołajczak dotyczą powieści Barbary Wysoczańskiej pt. *Aktoreczka*. W dziale Krajobrazy Lubuskie dr Anna Polak interesująco pisze o podróżach lubuskich zabytków sakralnych.

Dział Recenzji i Omówień przedstawia się dość bogato. W roli krytyków literackich tym razem wystąpili: dr Katarzyna Krysińska, dr Anna Napłocha, dr Jakub Rawski, Bogdan Springer oraz znani już w środowisku: dr Joanna Kapica-Curzytek, Czesław Sobkowiak i dr Robert Rudiak. Zachęcamy do zapoznania się z ich punktami widzenia.

Tym razem do współpracy przy stronie graficznej pisma zaprosiliśmy znaną zielonogórską artystkę – dr Basię Bańdę, uczestniczkę wielu wystaw indywidualnych, zbiorowych w Polsce i za granicą. W świat jej nowatorskich projektów wprowadza nas krytyk sztuki, Wojciech Kozłowski. Pisze on: „Najnowsze prace stanowią połączenie miękkich, rozlewających się form z precyzyjnie namalowanymi figurami geometrycznymi”. Mamy nadzieję, że zawartość numeru Państwa usatysfakcjonuje.

# Spis treści

<b>Marian Kisiel</b> , Lekcje wolności. O literackich patronach roku 2024	6
<b>Stawomir Gowin</b> , Wiersze [Przed uczcią; Pasaż; Poeta, który zabił; Czwarta wódka z poetą]	8
<b>Grzegorz Pul</b> , Czekając na powrót starego kota	12
<b>Jerzy Hajduga</b> , Wiersze [Ściany nocą mają się, Wyjść z gruzu, Żeby tylko zdążyć, O niebo wyżej]	16
<b>Paweł Broł</b> , Translokacje	20
<b>Ewa Franków</b> , Wiersze [Epilog, Księżyc nad Tykocinem, Preludium polskie, Święty Jerzy]	23
<b>Marcin Mielcarek</b> , Twarz z okładki	27
<b>Agnieszka Tymoszczyk</b> , Wiersze [W poszczególne, do rzeki, *** zaraz wracam, *** to ciche zwierzę]	30
<b>Alicja Ścigaj</b> , Muzeum motyli	34
<b>Eugeniusz Kurzawa</b> , Wiersze [*** buduję córce dom, Msza wciąż trwa, *** raptem zaskoczony, *** warto jeszcze]	37
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Zapiski	41
<b>Edyta Plucińska</b> , Wiersze [z perspektywy drugiej strony mocy, *** zakorzeń się w sobie, mały i duży chłopiec, najlepszy przyjaciel poeta]	43
<b>Andrzej Sienkiewicz</b> , Kocina w śmietanie (fragment dramatu)	47
<b>Dorota Kawecka</b> , Wiersze [W domu Emily, Zima, Romans]	53
<b>Milena Dudzińska</b> , Moje imię zaczyna się na K	56
<b>Magdalena Kalinowska</b> , Wiersze [retro, pogadanki, z innego kraju]	60
<b>Stawomir Bączkowski</b> , Miejscówka	63
<b>Hanna Chmielewska</b> , Wiersze [Pestka, Piesek]	66
<b>R. Turniejov</b> , Wszyscy papieże świata	68
<b>Marcin Stefaniak</b> , Wiersze [w akwariu skorpionów, śpię; na czubku palców]	73
<b>Aleksandra Rokicka</b> , Skóra	75
<b>Alicja Ścigaj</b> , Wiersze [***niosła..., *** kiedyś był..., ***matka zbierała...]	79
<b>Halina Bohuta-Stapel</b> , Epizod	82
<b>Teresa Czajka</b> , Wiersze [Wizyta, Czy to sen?]	85
<b>Mirosław Kuleba</b> , Kult bogini Mylitty (z cyklu „Obrazki z wystawy”)	87
<b>Bartosz Konopnicki</b> , Wiersze [Szum szyn, Mniej]	91

## ZBLIŻENIA

O Hłasce i Festiwalu pod jego patronatem z Andrzejem Buckiem rozmawia <b>Piotr Prusinowski</b>	93
<b>Paulina Potasińska</b> , Na tropach Hłaski	99
<b>Małgorzata Mikołajczak</b> , Lubuski Wawrzyn Literacki 2023 w kategorii Poezja dla Konrada Wojtyły za książkę <i>Scherzofrenia</i> (laudacja)	102
<b>Wojciech Browarny</b> , Lubuski Wawrzyn Literacki 2023 w kategorii Proza dla Mariusza Wilka za książkę <i>Procidana</i> (laudacja)	103
<b>Mirosława Szott</b> , Książki Wydawnictwa Pro Libris dostrzeżone podczas Lubuskich Wawrzynów 2023	104

## PRACOWNIA

<b>Małgorzata Mikołajczak</b> , Dwa razy o powieści <i>Aktoreczka</i> Barbary Wysoczańskiej	106
<b>Bogusława Kaźmierczak</b> , O <i>Aktoreczce</i> Barbary Wysoczańskiej	107
<b>Izabela Jabłońska</b> , Narrator i bohater w powieści <i>Aktoreczka</i> Barbary Wysoczańskiej	109

## VARIA

- Ryszard Sławczyński, O dwóch rzekach Odrach ..... 112  
Henryk Warszawski, Po obu stronach Odry ..... 118

## KRAJOBRAZY LUBUSKIE

- Anna Polak, Niezwykłe podróże lubuskich zabytków sakralnych ..... 119

## PREZENTACJE

- Basia Bańda ..... 124  
Wojciech Kozłowski, Basia Bańda ..... 125

## RECENZJE I OMÓWIENIA

- Byśmy proste prawdy pojęli  
Irena Dowgielewicz, *Milczenia słuchajcie. Wiersze zebrane*, oprac. i postłowie opatrzyła  
Mirosława Szott (**Czesław Sobkowiak**) ..... 126  
Człowiek wobec Historii. O *Przeklętej Europie* Czesława Markiewicza  
Czesław Markiewicz, *Przekłeta Europa* (**Jakub Rawski**) ..... 128  
„Zobaczyć naprawdę” – tajemnica twarzy, latarni i róży  
Anna Urbańska, *Światłocienie. Sublimacje* (**Katarzyna Krysińska**) ..... 130  
W sieci słów, czyli o tomiku *owad w SIECI* Mariana Ziomkowskiego raz jeszcze  
Marian Ziomkowski, *Owad w sieci* (**Anna Naplocha**) ..... 134  
Pisane sercem  
Hanna Bilińska-Stecyszyn, *Wbrew pozorom* (**Joanna Kapica-Curzytek**) ..... 136  
Dedykacje dla Andrzeja K. Waśkiewicza  
Dedykacje (*dla Andrzeja K. Waśkiewicza*), spisała i ułożyła Anna (**Robert Rudiak**) ..... 138  
Już czas na Krakowiaka, czyli nadzieja i wiara w poezji  
Konrad Krakowiak, *Już czas* (**Robert Rudiak**) ..... 142  
Muzyczna Zielona Góra lat 60. i 70. ubiegłego stulecia  
Ryszard Łomski, *Zielonogórski big-beat i film (zespoły gitarowe i Lubuski Klub Filmowy)*  
(**Bogdan Springer**) ..... 144

- KSIAŻKI NADESŁANE ..... 146

- AUTORZY NUMERU ..... 147

Marian Kisiel

# Lekcje wolności

## O literackich patronach roku 2024

Patroni roku 2024 uświadamiają nam ich znaczenie i zbędność. Znaczenie, ponieważ symboliczna obecność w przestrzeni kultury nadaje sens wszystkim działaniom, jakie podejmujemy dla zachowania narodowej substancji. Ale jednocześnie odkrywają zbędność takich działań, a to dlatego, że symboliczna obecność nie przekłada się na zmianę świadomości społecznej współobywateli, do których kierowane są zalecenia, by ważne postacie literatury nie były tylko znakiem w podręczniku, ale żywą tradycją, akceptowaną lub odrzucaną, wszelako tradycją, czyli autorytetami, za którymi należy podążać lub im się przeciwstawić.

Rok 2024 władze Rzeczypospolitej honorują wspomnieniem Witolda Gombrowicza, Marka Hłaski, Czesława Miłosza, Melchiora Wańkowicza i Kazimierza Wierzyńskiego. Trudniej chyba o bardziej odmiennych twórców. Różni ich wszystko: rodowód, generacyjna przynależność, środowisko społeczne, pozycja pisarska, forma literacka, styl wypowiedzi. Każdy z nich sięgnął wyzyna popularności i czytelniczej satysfakcji, a później doświadczył jeśli nie osłabienia zainteresowania swoim dziełem, to wycofania odbiorczych uczuć. Nie ma się czemu dziwić. Wraz z upływem czasu, zmianą konwencji pisarskich, tematów i – co tu kryć – starzeniem się stylu, czytelnicy przenoszą swoje sympatie na innych pisarzy. Tak dzieje się zawsze, a ci, którzy współtworzyli wyobraźnię masową, kształtowali literacki gust i otwierali czytelnika na nieznaną mu wrażliwość, przechodzą na inne pozycje – historycznoliterackiej hieratyczności.

Patroni 2024 roku są zamknięci w historii literatury polskiej XX wieku. Trudno sobie wyobrazić jej kształt bez ich wielowymiarowego dzieła, sporów toczonych ze światem i ludźmi. Każdy z nich doznał w swoim czasie różnych przykrości ze strony komunistycznej i niekomunistycznej władzy. Każdy przez jednych wynoszony na pomniki, przez innych z tych pomników był strącany. Chciałoby się powiedzieć, że taka jest uroda polskości – za jasnym kroczy ciemne, jakby nie mogły się bez siebie obejść. Jeżeli jednak dzieło Gombrowicza, Hłaski, Miłosza, Wańkowicza i Wierzyńskiego ma trwać, i ma wykraczać poza rok jubileuszowy, zapytać trzeba o to, jakie przesłanie wyphywa z ich literackiego trudu. Nie popełnimy chyba wielkiej omyłki, jeżeli powiemy, że jest to **l e k c j a w o l n o ś c i**. Wolności indywidualnej i wolności tworzenia.

Przez każdego z nich wolność definiowana jest inaczej, ponieważ każdego z nich tworzyły inne warunki społeczne i literackie. Wolność jako idea określa każdą generację artystyczną, pisarz autentyczny poza wolnością nie istnieje, poza wolnością jest tylko ten, kto rezygnuje z autentyczności i godzi się na status biernego istnienia w życiu. Wolność natomiast jest usytuowaniem na płaszczyźnie kreacji (formy), czyli tego, co stwarza nasze istnienie i twórczość, niejednokrotnie próbując je także zniewolić lub zdegradować. Pisarz zawsze stoi na progu świata: pozostając w nim – powiemy za Colinem Wilsonem – staje się insiderem, próbując go przekroczyć – outsiderem.

Gombrowiczowskie dążenie do wolności to – jak napisze on w swoim *Dzienniku* – „bunt tragiczny i beznadziejny przeciw deformacji. Nie mogę być sobą, a jednak chcę być sobą i muszę być sobą – oto antynomia, z tych niedających się uładzić...”. Słowa te można odnieść do każdego z pisarzy, których tutaj przywołujemy. Każdy w odmienny sposób, naturalnie, interpretowałby pojęcie autentyczności. Przywołajmy trzy płaszczyzny wolności: swojego czasu, historii i języka.

Pisarza kształtuje jego czas. Dla Wierzyńskiego (w nekrologu londyńskich „Wiadomości” nazwano go „poetą wolności, twórcą niezrównanym, świadomym swojej sztuki i swojego posłannictwa”) był to czas wielokrotnie przeżywanego wolności i jej braku: od przedwojennego zachłyśnięcia się życiem do wolności tragicznej, przez wojnę połączoną także z wygnaniem. Dla Miłosza – podobnie, z tym, iż twierdził on, że



doświadczenie wygnania jest przypisane każdemu pisarzowi, niezależnie od tego, czy mieszka w kraju czy na emigracji. Wańkowicz pojęcie wolności identyfikuje jako wierność pamięci, tradycji, niezależnie od miejsca pobytu pisarza. Dla Hłaski wolność to możliwość (konieczność) mówienia o sprawach własnych i swojego pokolenia w sposób otwarty, na przekór obowiązującej pedagogii społecznej. I jakkolwiek u każdego z nich stale odnajdujemy znaki bliskości i obcości, radości i cierpienia, to bardziej chyba akcentowane są w ich dziele drugie człony antynomii – obcość i cierpienie, a nie człony pierwsze – bliskość i radość. Gombrowicz pisał w *Dzienniku*: „Trudno o większe przeciwieństwo niż cierpienie i wolność”.

Pisarza kształtuje historia, której jest częścią. Najmniej dotyczy to Gombrowicza („Ja jestem wynikiem mojej historii. [...] Wartość moją zakładam na tym właśnie, że nie zadawała mnie moje ja, jako produkt historyczny. [...] moja historia staje się historią mojego paczenia i ja zwracam się przeciwko niej – staje się przeto swobodny wobec historii”). Trudno natomiast wyobrazić sobie Miłosza poza historią. Dla niego rzeczywistość historyczna to sfera świadomości, bezustannych rozliczeń z filozofiami historii, systemami totalitarnymi, relacją bezradnego człowieka i okrutnej epoki („Epoka nasza czyli zgon, / Ogromna *Die Likwidation*, / Jak długo rzecz nie umiem potrwa, / O jakich usłyszymy łotrach”). Dla Wańkowicza to czas kolisty, przywoływany jako mit i jako doświadczenie egzystencjalne. Dla Wierzyńskiego czas historyczny to poczucie odpowiedzialności za świat. Pisał o swojej generacji w okresie międzywojennym: „Należeliśmy do pokolenia zwycięstwa, a nie do pokolenia klęski”, lata drugiej wojny i emigracji bardziej jednak uświadamiały owemu „sejsmografowi zapisującemu dolę narodu” (jak go nazwał Zbigniew Herbert), że historyczna klęska zastąpiła historyczne zwycięstwo. Dla Marka Hłaski historia była czasem stalinowskich deprawacji charakterów, ale także dawała szansę na ich odbudowę.

Pisarz nie istnieje poza językiem. Jeżeli wolność jest także kreacją formy, to literaccy patroni roku 2024 pokazali, że walka o formę była w ich wypadku walką o indywidualność wyrazu, wolność twórczą. U Czesława Miłosza walka szła o „formę bardziej pojemną”, która – jak zaznaczał – „nie byłaby zanedo poezją ani zanedo prozą / I pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo, / Autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu”. U Gombrowicza – chodziło o stałe przekraczanie formy, która w jednakowym stopniu jest kreatywna i zniewalająca. Wierzyńskiemu zależało na budowaniu pomostu między sztuką tradycji a sztuką nowoczesności. Wańkowicz upatrywał w gawędzie, stylu felietonowym i w reportażu możliwości zbliżenia przeszłości i terażniejszości. Hłasko w zdecydowanych schematach narracyjnych budował świat antynomii dobra i zła.

Niezależnie jednak od tego, jakich szukalibyśmy zbliżeń między tak odmiennymi osobowościami twórczymi, jak tutaj przywołane, każda z nich pozostanie – właśnie! – osobowością, która i tak wymknie się naszemu uogólniającemu spojrzeniu. Dlatego też ich siła polega na tym, że wychodzą poza zwykłość literatury, sytuują się ponad twórczością, która zamyka się częstokroć we własnym czasie, nie umiejąc tego czasu uniwersalizować.

Mądrość, wybitność i wyjątkowość Witolda Gombrowicza, Marka Hłaski, Czesława Miłosza, Melchiora Wańkowicza i Kazimierza Wierzyńskiego polega na tym, że ich dzieło przekracza czas jego powstania. Dlatego, jak napisałem na początku mego głosu, możemy odkrywać i doceniać jego znaczenia dla polskiej literatury. Ale jednocześnie sam fakt jubileuszu rodzi podejrzenie zbędności tego dzieła, skoro trzeba upominać się o nie specjalnymi uchwałami Rzeczypospolitej.

Mówił Czesław Miłosz w roku 1967 na festiwalu poetyckim w Montrealu: „Pisano dużo o szaleństwie poetów. A nasza epoka dopełniła tego, co doradzał Platon, bo poetów często wygania się z republiki jako demoralizatorów młodzieży. [...] Otóż istnieje we wszechświecie tajemnicze współnictwo pomiędzy energią, ruchem, rozumem, życiem i zdrowiem. [...] i jestem przekonany, że jedyną racją bytu pisarzy jest otworzyć temu, kto go czyta, nowy wymiar, tak żeby bardziej pasjonująca stała się sama sprawa życia wśród ludzi”.

Pięć lekcji wolności, o których była tu mowa, to pięć pisarskich zaproszeń do „nowego wymiaru”, aby każdy z czytających mógł w nim odnaleźć radość z bycia we wspólnocie ludzkiej. I tak potraktujmy dzieło literackich patronów 2024 roku.

**Przed ucztą**

Miasto przezierało spod paździenika  
jak umęczone ciało, spowite chłodnym płótnem.  
Słońce, odchodząc, wypaliło w bieli rdzawe widma ulic,  
dopiero co nęcących letnim pożądaniem.

Krotochwilne powiastki spływały ze śmiechem  
w landszafty kałuż rozlane po bruku. Jakies słowo  
przebiegło nam czasem chmurniejszym patosem z ust  
do ust, jak zawsze, gdy ktoś zechce być w tym mieście  
trochę miniony i trochę bolesny.

Liściasty make-up ukrywał wiele, ale kostium  
leżał już na świetle z niedbałą rutyną, krojony z materii,  
z której nieraz szyto dekoracje dramatów  
piękniejszych tutaj, niż gdzie indziej.

Przez Stryjski Park, stygnący nieubłaganie,  
szli kochankowie, bezużytecznie dorodni,  
a czas nadal obiecywał im nie przeminąć zanadto.

Tak, ten paździenik szykował się  
do wyjścia na scenę. Zdradzały go nasze ciała,  
zdecydowane na zbyt wiele.

Pochłaniały się wzajemnie,  
jak gdyby odwołano jutrzejszą ucztę  
i mięs naszych już światu  
nie trzeba.

**Pasaż**

Zaledwie wczoraj mózg oddawał się tutaj  
ośnieniu neuronów trzepoczących teatralnie  
w waginie karafki.

A przecież to przedstawienie nie mogło się udać. Być może dobiegną nas oklaski, ale publiczność  
odwróciła się od sceny ciemniejszej w somatycznych dytyrambach. Gwierzmy,  
ale słowa starannie poskładane w wersy,  
nie układają się w wersety.

Patrzę na martwego szczura, który leży nieopodal  
ostentacyjnie upozowany, jak gdyby jego obecność tutaj  
miała zamknąć wielką opowieść. Trwam przed tym obrazem  
w milczeniu, bo ona naprzeciw taka pełna wiary  
w moc dekoracji.

Jemy późne śniadanie przy stoliku, który z oddaniem  
udaje paryski i liść szpinaku zabawnie oblepia  
uprzejme wyznanie.

Oto całe życie, które uwielbia w taki sposób udawać prawdziwe, bo nic przecież nie wzmacnia  
realizmu zęczniejszemu, niż oswojony przypadek. Jednak myśl ostrzy się o bruk w przeczuciu,  
że szczur wybrał to miejsce na swój trupi monodram,  
żeby coś okazać.

Jak to wszystko brzmiałoby po francusku, myślę,  
bo nie sposób inaczej znaleźć się jak najdalej stąd,  
gdy nie wiadomo, co stanie się tutaj.

Mając pewną wprawę można się tylko domyślać,  
co chciałoby się stać.

Taki był ten perwersyjnie ciepły listopad  
pod Krzywą Lipą, wielobarwnie przedwojenny,  
jak wszystko w tym mieście, gdy alkohol  
stwardniały w kryształ rył między nerwami  
historię przebiegle równoległą, a życie  
wycierało nam usta cytatami.

## Sławomir Gowin

### Poeta, który zabił

Wódka w czaszkach grzęźnie ołowiem, aż gardła,  
rżąc na pustych obrotach, odkrztuszą przemilczane  
resztki i z ust spłynie strużka przeszłości, skrzepłej szpetnie,  
w której znów spieramy się o *idee, dawniej tak zielone,*  
*a wściekle śpiące.*

Kiedy piliśmy tu pierwszy raz, świat miał już wiecznie płasć  
w filipikach Noama – jak mawialiśmy poufale – szarpiąc krtanie żelazem radzieckich papierosów.

Aż do dziś, kiedy język dostał wieczność na własność  
i zsyła w nią wzdęte odwołki pytań, na które ten stary klaun  
Chomsky – jak mawiamy teraz – nie myślał szukać odpowiedzi.

Nie pytam, bo jeśli zapytam, odpowie mi ocalony,  
czy tylko ocalały?

Za oknem próchniejące miasto wypróżnia się  
codziennością. Czekamy, kto pierwszy rozerwie  
tę chwilę żartem dostatecznie wymiotnym i będziemy  
trwać w niegdysiejszej nadziei, że to tylko psycho-  
lingwistyczny persyflaż, udany jak w czasach,  
gdy umieliśmy pisać wiersze po Oświęcimiu.

Upojone ołowiem zmysły spływają na dno,  
gdzie rozkłada się wypatroszony Różewicz. Widział  
człowieka, który był jeden, występny i cnotliwy,  
a więc rozpruliśmy mu brzuch na dowód,  
że nie miał duszy na organy.

Idziemy, niegłodni treści,  
dopóki nie strawi nas tłum  
przechodniów

spieszących, by w zimnych mózgach przyszłości  
układać klątwę,

*niech ci co prowadzą na rzeź  
nie znajdą ocalenia.*

**Czwarta wódka z poetą**

*a pamiętasz taki twój wiersz tycjan  
ma z dziewięćdziesiąt lat i maluje wenus tam kiedyś  
to chyba była jakaś porządna chałupa pianino dobre  
w drzazgi ale książki nieźle wszędzie dookoła szkło  
drogie porcelana też a wcześniej dopadli skurwiela takiego  
paszka patroszył a z jaj to frędzel umiał w karetce jeździł  
długo zanim to wszystko a tam trochę pospać byliśmy i wiesz  
tam kurwa ta wenus dosłownie tycjana na ścianie kolorowa  
wisi w tej chacie nad tym wszystkim*

Szydzymy długo i bezwstydnie,  
wspominając grzesznice  
Tycjana.

Z czerepów słów składamy hipotezy  
*jak takie robią laskę, nie szcędząc wyobraźni  
i pogardy, aż zdaje się, że rehot tupie głośno  
po łbach, jak gdyby miał zdeptać  
świeżą ziemię kryjącą zagadkę*

czy to jeszcze my,  
czy już my.

# Czekając na powrót starego kota

Jak zwykle pierwsza wyczuła ich Fifka. Tym razem zaczęli się za betonową ruiną, pozostałością po Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Stali przyklejeni do rozwalonej ściany w cieniu pokaźnych brzoźek rosnących na płaskim dachu zdewastowanego budynku. Nigdy nie wiem, jak ona wychwytuje obecność osób, które nie robią żadnego hałasu. W każdym razie, gdy tylko wyskoczyłem zza zakrętu, podniosła na sztorc swoje wielkie, przestodko mięciutkie uszy i zawarczała.

– Co? – rzuciłem do psa naprężonego na przednim siedzeniu. Zamaskowany mundurowy z czerwonym lizakiem pędzący w moją stronę był odpowiedzią na pytanie. Zahamowałem, a Fifka rozdarła się wniebogłosy.

– Ciszej, do cholery – próbowałem ją uspokoić. Facet w kominiarce i z karabinem na plecach nie wzbu-  
dzał jej zaufania. Otworzyłem okno. Żołnierz coś mówił. Pies szczeakał. Nic nie słyszałem.

– Spokój, kurwa! – ryknąłem. Fifka momentalnie zamilkła i położyła się na fotelu.

– Pan tak do mnie? – mundurowy był wyraźnie skonsternowany. Wcisnął lizaka za skórzany pas i zaczął poprawiać broń.

– Skądże. Do psa się dałem.

– Ma pan szczęście. Dokumenty proszę.

Wyjąłem dowód z portfela. W międzyczasie podszedł drugi żołnierz. Ten nie był zamaskowany i od razu go poznałem. Zatrzymywał mnie dwa razy kilka dni wcześniej, a także dziś rano. Miał naszywki kaprała. Wziął od zamaskowanego dowód.

– Pan spod siódemki? – zapytał. Skinąłem głową na potwierdzenie.

– A pies co się tak drze?

– Chyba nie lubi obcych – odpowiedziałem.

– Tak jak my – burknął zamaskowany i zaśmiał się głupio. Kapral wydał z siebie krótki rechot, a ja spoj-  
rzałem na nich z politowaniem. Fifka zamknęła oczy.

– Do widzenia. – Kapral oddał mi dowód. Ruszyłem i po minucie byłem pod chatą.

Zajrzałem na taras. Miska z chrupkami stała nieruszona.

– Zenka nie było – rzuciłem w stronę tupiącej pod nogami Fifki.

– Trzeci dzień. Cholera. Coś długo gada nie ma – zamruczałem do siebie i weszliśmy do chaty.

Po obiedzie ruszyłem naprawiać płot. Musiałem wymienić dwa przęsła starego ogrodzenia, które popytało się jak nasz spokój w tej przygranicznej wiosce. Spróchniałe sztachety odlażyły od legarów, tworząc w konstrukcji wyrwy. Palisada przypominała uzębienie starego dziada, bo składała się praktycznie z samych ubytków. Wyniosłem pęk pomalowanych desek, wkrętarke, piłę, komplet kluczy, worek wkrętów i bóg wie co jeszcze. Poukładałem to wszystko na ziemi i już się miałem brać za robotę, gdy warcząc przy-  
leciała Fifka. Czujnie spoglądała w dal. Po chwili i ja ich usłyszałem. Przelecieli przez pustą wioskę na pełnej piździe z włączonym kogutem.

Sobaka rozdarła się i pogończyła za radiowozem.

– Goń psy! – krzyknąłem za nią.

– Jeździat jak durni – usłyszałem głos Mikołaja. – Po chuja tak żenutsia? – mówił podlaską gwarą. Tkwił obok płotu w swoich ciemnozielonych ogrodniczkach naciągniętych na bordową, flanelową koszulę. Ręce miał wciśnięte w kieszenie. Staliśmy na środku brukowanej drogi, patrząc za znikającym na końcu wsi ra-

diowozem. Słońce grzało. Sikorki darły się na nagim jesionie. Pąki jabłoni nabierały sił, aby za kilka dni wystrzelić kwiatami, utulając okolicę słodkimi zapachami i obsypując kolorami nadciągającej wiosny.

– Na chuj tak pędzą – powtórzył po polsku, ale w jego głosie tym razem nie zauważyłem pytającego tonu. Zabrałem się za robotę.

– Sztachety olszowe? – zapytał.

– Nie, sosna – odpowiedziałem.

– To chuj, długo nie postoją – stwierdził jednoznacznie. Zerwał źdźbło trawy i żując patrzył, jak montują nowe legary.

– Postoją – odpartem lekko zdyszany. Wkrętarka słabo ciągnęła.

– Zobaczmy. Może i postojat. – Znow pojechał miejscowym dialektem, plując pod nogi zmielony, zielony patyczek. Fifka po gonitwie spała na ziemi pod płotem.

– Zenka nie widziałeś?

– Ne boczym joho może z pięć dion – odpowiedział Mikołaj po chwili zastanowienia.

– Jeżdżą jak pojebani, może go gdzieś palnęli przy drodze – drążyłem temat.

– Daj spokój to stary i cwany kot. Po za tym na tych kogutach to ich widać i słyhać z kilometra.

– Chcesz piwo? – zapytałem, prostując zgięty kręgosłup.

– Nie. Jeszcze muszę jechać do pszczół. A pewnie ze dwa razy mnie zatrzymają – odpowiedział.

Otworzyłem butelkę z zimnym, chmielowym napojem. Pierwszy łyk... Kubki smakowe zareagowały... Przsadka mózgowa wystrzeliła do mózgu okazałą porcją endorfin. Wszystko stało się nagle piękne. Czuję naciągającą wielkimi krokami wiosnę z jej ciepłem i zapachami. Zapachami, komponowanymi z mieszanki słodkawy aromatu owocowych drzew, przyprawionych lekko mdłą nutą kwiatów bzu. Fifka spała na rozgrzanej trawie. Nie martwiłem się w tej krótkiej, ulotnej chwili stacjonującymi za płotem żołnierzami, latająca na sygnale tam i nazad policją i brakiem przy misce starego, rudego kota. Przebudzenie nadeszło z drugim łykiem i słowami Mikołaja.

– Ja lecę. Cześć. Do jutra. – Machnął ręką i ruszył na swoje podwórko.

– Do jutra – odpowiedziałem. Podniosłem z ziemi wkrętarke i wróciłem do swojej roboty.

Wieczorem długo stałem na tarasie. Wpatrzony w mrok paliłem, wsłuchując się w każdy dochodzący z ciemności szmer. W poświęcie rzucanej z dachowego okna raz za razem krążyły nietoperze, ganiając leniwe ćmy, dopiero co wybudzone z zimowego snu. W starych jesionach odezwał się puszczyk. Najpierw długim: huuu. Po chwili przerwy krótkim: hu hu. By po kolejnej pauzie znow powtórzyć dźwięczne: huuu. W okrytym mrokiem starodrzewie, na drugim brzegu Świsłoczy samica odpowiedziała mu charakterystycznym kjuwikiem.

– Przynajmniej one się znalazły – mruknąłem do siebie. Zgasilem papierosa i ruszyłem w stronę schodów. Po drodze minąłem Fikę wyciągniętą na skórze dzika.

W środku nocy wybudził mnie hałas. I nie wiem, czy był to głośny jazgot policyjnej syreny, czy przeraźliwe ujadanie psa, skaczącego przed zamkniętymi drzwiami. Mrugające niebiesko, czerwone światła cięły laserami mrok wioskowej ulicy. Podszedłem do okna i otworzyłem je na oścież. Dźwięki zakuty w zaspanych uszach. Przetarłem półprzymknięte oczy. Błyski rzucone przez migające koguty odbijały się tysiącami iskier na wilgotnych kocich łbach. Podszedłem, żeby uspokoić rozdygotaną Fikę i wtedy to zobaczyłem. Nad Świsłoczą pokrytą czarnym płaszczem nocy tańczyły jasne nitki migoczących latarek.

– Znowu ktoś przeszedł – powiedziałem do zjeżonego psa. Wiedziałem, że nie zaśnie do rana. Hałas wywoływany przez co chwilę przejeżdżających na sygnale samochody na pewno nie pozwoli na sen.

– Woda jest jeszcze po chuju zimna – rzuciłem tym razem do siebie. Dałem Fifce okazały kawałek suszonej wołowej skóry.

– Masz na uspokojenie – burknąłem do psa, który na widok smakołyka merdał krótkim ogonem. Usiadłem w fotelu ze szklanką do połowy wypełnioną bursztynowym płynem. Patrzyłem przez tarasowe okno na strzelające nad granicą błyski wojskowych latarek. Fosforyzujące wskazówki zawieszzonego na ścianie zegara wskazywały trzecią trzydzieści.

Po śniadaniu wróciłem do naprawy ogrodzenia. Oczy szczypały od niewyspania. Po poranku z lekkim przymrozkiem zrobiło się przyjemnie ciepło. Ostatnie policyjne samochody z włączonymi kogutami przemknęły ze trzy godziny temu. Od tamtej pory panowała absolutna cisza. U Mikołaja brama była zamknięta. Nie zauważyłem, kiedy wyjechał. Przykręcałem sztachetę za sztachetą pod linijkę zrobioną z naciągniętego sznurka od snopowiazałki. Słońce grzało przyjemnie w plecy. Sikorki skakały po bezlistnym krzaku bzu, drąc dzioby w pretensjonalnych seriach świergotów. Wibrującym, skrzeczącym śpiewem domagały się pewnie nasypania porcji ziarna słonecznika do pustego karmnika. Fifka z brzuchem wystawionym w stronę słońca chrapała melodyjnie na świeżej, wiosennej trawie.

Przykręciłem kolejną sztachetę i wstałem z kolan rozprostować zgięty w kabłąk kręgosłup. Na pustej dotychczas ulicy dostrzegłem jakiś ruch. Pięć obejść dalej Andrzej z piłą motorową na ramieniu rozmawiał z kimś przez płot. Próbowiałem sobie przypomnieć, jak ma na imię sąsiadka, z którą gada, ale mózg z powodu niewyspania nie pracował na pełnych obrotach. Poszedłem do domu po dwie butelki zimnego piwa. Andrzej na pewno za kilka minut będzie chciał pogadać o rybach. Rzadko spotykaliśmy się nad Świsłoczą, ale to tylko dlatego, że jeden drugiemu nie wchodził na jego ulubione miejsca. Za to we wsi potrafiłmy gadać długimi minutami, co komu brało, na co i gdzie.

– Dałbyś parę złotych, tobym te sztachety zrobił na cacy – odezwał się, gdy tylko doszedł do posesji. Miał na twarzy kilkudniowy zarost. Przetłuszczone, ciemne włosy wychodziły spod wypłowiałej bejsbolówki ze znaczkiem adidasa. Ciemne, poplamione dżinsy ginęły w cholewach nowych gumofilców. Kolorową, czerwono-bordową flanelę zakrywała watowana kamizelka. W prawej dłoni trzymał piłę spalinową. Nie wiem, dlaczego skojarzył mi się z bohaterem *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*. Otworzyłem piwa.

– Może widziałeś Zenka? – zagaitem, podając mu butelkę. Zrobił potężnego łyka i pokręcił głową przecząco.

– Nie ma gada już cztery dni – burknąłem z niepokojem w głosie i przechyliłem butelkę do ust. Andrzej jeszcze raz się napił. Wyglądało, że ma kaca, a ja ratowałem mu życie.

– To chitre kotisko. Czort joho nie woźme – odparł.

Pomimo kilku lat spędzonych w tym miejscu ciągle nie mogłem się przyzwyczaić, kiedy moi rozmówcy, bez żadnego ostrzeżenia, płynnie przechodzą z polskiego na miejscowy i odwrotnie.

– Chyba masz rację – przytaknąłem bez entuzjazmu. Przykręcając kolejną sztachetę, słyszałem, jak głośno gulgocząc, dopija piwo.

– W sióem raku to może i ne połapajem. – Andrzej zmienił rozmowę na temat, który nas najbardziej interesował.

– Byłem przedwczoraj nad wodą, to mnie opadli z karabinami, jak jakiegoś przestępcę – stwierdził.

– Kurwa, żeby przez to polityczne chujstwo nawet połović normalnie nie można było! – rzuciłem podniesionym głosem. Andrzej splunął pod nogi.

– Bładź, znad rzeki to nawet za komuny nie ganiai – spuentował dyskusję. Po tych słowach zapadła cisza. Za bardzo nie mieliśmy nic do powiedzenia. Sytuacja przerastała nas dużo więcej niż o głowę. Mogliśmy tylko kłać lub milczeć, więc po kilku wcześniejszych bluzgach zrodzonych z bezsilności wybraliśmy drugą drogę. Staliśmy w słońcu, na środku pustej drogi patrząc w stronę nieodległego trzciniowiska, stanowiącego obecnie niedostępny teren.

– Chcesz jeszcze browara? – przerwałem milczenie po chwili. Nic nie odpowiedział, ale widziałem, że się krępuje przytaknąć. Ruszyłem do chaty, a po powrocie wręczyłem mu otwartą butelkę zimnego, chmielowego napoju.



– W nocy chyba jakieś przejście było? – zmieniłem temat. Pytanie było z zakresu retorycznych, bo alarmu na pewno nie wywołały przelatujące nad granicą bociany. Ciągłe tkwiły mi w głowie nocne iluminacje połączone w efekty dźwiękowymi, a podejrzewałem że Andrzej na temat tych wydarzeń wiedział zapewne tyle co i ja, czyli nic... Ale w tej kwestii jednak było inaczej.

– Przebrali się u mnie za stodołę – powiedział po wzięciu solidnego łyka. Po tych słowach aż mnie zmroziło. Byłem cholernie ciekawy.

– I co? – zapytałem, starannie ukrywając ekscytację.

– Nic. Przebrali się w suche ciuchy i poszli w las – dodał, biorąc kolejnego łyka.

– Dzwoniłeś? – zadałem pytanie i od razu wiedziałem, że głupio zrobiłem. Andrzej odstawił na ulicy pustą butelkę. Zapalił papierosa. Momentalnie się usztynił, a z twarzy zniknęła mu szczerłość. Nerwowo zerkał to na mnie, to na końcówkę palącego się papierosa. Najwyraźniej analizował, co może odpowiedzieć.

– A na chuj. Niech sobie idą – odpowiedział po chwili, wolno cedząc słowa. Czuję, że rzucone bezmyślnie pytanie coś zmieniło. U Andrzeja załączył się tryb alarmowy. W głowie tego człowieka, żyjącego od dziecka przy granicy i czerpiącego pełnymi garściami z możliwości, jakie dają różnice cenowe towarów w poszczególnych krajach, zapaliła się czerwona lampka. Nie byłem swój. To, że mieszkałem tu od kilku lat, niczego nie zmieniało. Byłem przyjezdnym facetem, co kupił tylko dom i nie wiedział, że Leon z pierwszej chaty nie rozmawia z Mikołajem, bo ich ojcowie w zamierzczłych czasach, których nikt już nie wspomina, pokłócili się o kilka metrów ziemi w zapomnianym miejscu, zarośniętym obecnie okazałym, olszowym lasem.

– A gdzie idziesz z tą piłą? – próbowałem ratować sytuację, szybko zmieniając temat.

– Warszawianka z drugiej chaty ze dwa tygodnie temu prosiła, żebym podciął lilaki – odpowiedział sucho. Przydeptał niedopałek butem i bez słowa ruszył pustą, brukową ulicą.

– Cześć – rzuciłem za nim, ale nie słyszałem, czy mi odpowiedział. Słońce stało w zenicie. Szpaki na świeżej, wiosennej trawie darły się na siebie chwytając pierwsze robaki. Sikorki o dziwo gdzieś zniknęły. Pewnie poleciały sprawdzić inne jądłodajnie. Fifka drzemała pod naprawianym płotem. Zdjąłem koszulę. Na tiszczynie miałem mokre plamy na plecach i pod pachami. W międzyczasie szpakom przybyła konkurencja w postaci pary kwiczołów. Ptaki krzyczały na siebie, jakby ogłaszały początek wojny, a ta już przecież trwała. Pozbierałem narzędzia i gwizdnałem.

– Chodź, zjemy obiad i usiądziemy na tarasie. Może ten stary zbój wreszcie się pojawi – rzuciłem do psa i ruszyłem w stronę chaty. Po chwili wyprzedziła mnie pędząca z wywalonym jeziorem Fifka.

Świśtoczany, październik 2022 r.

**Ściany nocą mają się**

ze mną a ja przed snem  
zapatrzony długo  
w sufit

pakuj się

walizka otwarta tak  
patrzę co jeszcze  
zostawić

## Wyjść z gruzu

Sufit pęka, ściany pękają. Ale sufit stawia ściany do pionu. One nie mogą tak łatwo pękać. Co by to było – wyobraża sobie sufit – gdyby ścianom przyszło zawalić się. U mnie tragedia, ze mną śmierć na miejscu. Ściany chociaż mają jakieś drzwi, jakieś wyjście. Dokądkolwiek. Nade mną masz jeszcze kawałek strychu, ale to nie czas na ściąganie bielizny, na ubieranie do wyjścia. Trzeba zostawić wszystko i wyjść z gruzu. Jeszcze raz się zapatrzeć, wypatrywać.

## Jerzy Hajduga

### Żeby tylko zdążyć

Telefon ze szpitala, trzeba biec do chorego. Ale jak tu biec, gdy muszę ostrożnie iść. Pod nogami lód i śnieg pada. Biel jak opłatek. Czarne buty, przy nich płacze się trochę czarnej sutanny. Żeby tylko zdążyć.

Śnieg już po drodze ubiera mnie uroczyście w białą szatę. W takiej szacie zdążyłem do ciebie. Też się cieszę.

**O niebo wyżej**

W drodze pukam do twoich drzwi. Ale to już nie te drzwi, nie to mieszkanie. Zresztą cieszyłaś się przeprowadzką, na tę okoliczność najzwyczajniej zamknęłaś oczy i już. Bez widoku na kolejny szpital, osób w białych kitlach i czarnych sutannach, aniołowie unieśli cię prosto do nieba. O niebo wyżej –

po tobie uczę się chodzić  
w długiej koszuli

mam czas

nawet nocą  
jak zdjęta

ze mnie

# Translokacje

Śnieg tego wieczoru zdaje się ciemniejszy, nieoświetlany przez pobliskie latarnie. Wyżej nie spoglądam, bo nie ma sensu, mało widać. Wolę nasłuchiwać bzyczenia, świstu, jakiegokolwiek odgłosu nieba.

Ulica pozostaje pusta. Przemierzanie jej środkiem daje namiastkę złudnego poczucia kontroli. Idę po śladach kogoś, kto już przeszedł tę trasę. To wystarczy do przeświadczenia, że biblioteka będzie czynna, że w tym mieście ktoś jeszcze czuwa. Mój dziadek mawiał: „W razie beznadziei czytaj książki”. Nigdy nie wyjaśnił dlaczego, a mi nie zależało. Teraz wszystko to, co było dla mnie cenne, leży zmieszane z gruzami. Nie mam czego się przytrzymać, więc chwytam się słów.

Książkomat leży roztraskany o bruk. Co mogło wypaść na chodnik, już dawno zostało rozkradzione. Mijam go i wchodzę po schodach. Nade mną piętrzy zielona, stalowo-szklana bryła, spokojna i nienaruszona. Pamiętam ten budynek z czasów wczesnej młodości. Nie poznałbyś go – mówię w duchu. Z twoich czasów pozostała tylko barwna mozaika, podtrzymująca tego kolosa.

Automatyczne drzwi nie działają. Boczne są otwarte. Przez duży i pusty hol zmiierzam w stronę schodów.

Na środku stoi ekspozycja z dawnymi fotografiami miasta. Nikt nie zniszczył gablot, jakby szacunek do przeszłości był ważniejszy od teraźniejszości. Za wystawą długi korytarz mija patio i prowadzi w stronę Sali Poety.

Zaskoczony zauważam, że elektroniczna winda działa. Została podłączona pod agregat?

Ryzykuję i wsiadam, choć moim celem jest zaledwie pierwsze piętro. Winda najpierw zjeżdża na poziom minus jeden. Drzwi się otwierają, a przede mną stoi kobieta w długich, kręconych i czarnych włosach, z okularami w czerwonych oprawkach oraz kilkoma książkami w dłoniach. To pewnie bibliotekarka. Stoi na tle obskurnej piwnicy, co tworzy przyjemny kontrast. Po chwili wchodzi do środka.

– Pani też na pierwsze piętro? – zagaduję kurtuazyjnie.

– Nie, ja na trzecie – odpowiada nieco ochrypłym głosem i wciska odpowiedni przycisk.

– Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że zastanę tutaj żywego ducha.

Mam wrażenie, że jej oczy są obojętne, jakby doświadczyły zbyt wiele i skamieniały.

Jedziemy w milczeniu najpierw na poziom trzeci. Kobieta opuszcza windę i dopiero gdy drzwi się zamykają, odpowiada:

– Jestem dobrym duchem tego miejsca. A pan nie ma na sobie butów.

Patrzę w dół i ze zdziwieniem stwierdzam, że ma rację. Stopy są bosa i niemal całkowicie sine od mrozu.

Duża przestrzeń czytelni sprawia, że mam ochotę się schować, skulić, skryć. Kilka filarów łączy czerwoną wykładzinę z sufitem. Odpadającą gdzieś żółto-białą farbę przykrywają drewniane regały z woluminami. Mam wrażenie, że jest ich za mało jak na tak wielometrażowe pomieszczenie.

– Tutaj stały jeszcze stanowiska z komputerami – odczytuje moje myśli siedzący za ladą tysiący mężczyzna z niechlujnie przystrzyżoną brodą. Wcześniej go nie zauważyłem. – Wynieśliśmy, bo na cholerę komu sprzęty, skoro nie ma prądu. Generator obsługuje jedynie windę i skromne oświetlenie.

– Czemu akurat windę? – dziwię się, nie uznając jej jako urządzenia pierwszej potrzeby.

– Bo wśród nielicznych czytelników mamy sporą grupę osób z niepełnosprawnościami. A będzie ich coraz więcej.

Zostawiam go z oczami skupionymi na zeszytce. Obok leży mnóstwo elektronicznych kart bibliotecznych, raczej już nieprzydatnych.

Snuję się między regałami, przeglądając książki. Kurz łaskocze w nozdrza. Bonda? Zbyt prorocza. Żulczyk? Ponoć psychodeliczny. Non-fiction mam za oknem. Zamykam oczy i sięgam po losowo wybraną pozycję. Otwieram.

*Musimy iść. Jeśli staniemy w miejscu, to tym bardziej nikt do nas nie przyjdzie. Musimy iść nawet wtedy, kiedy ty masz chore serce, a ja poranione nogi. Biednym ludziom nie wolno nigdy czekać.*

Zaglądam za obwolotę. Marek Hłasko, *Pierwszy krok w chmurach*. Widziałem, jak dziadek go kiedyś czytywał. Dziwny traf.

– Proszę ją sobie wziąć. Nam już się na nic nie zda – zaskakuje mnie czyjś głos.

Obracam się. Należy do bibliotekarza, który teraz stoi zgarbiony za moimi plecami. Wygląda, jakby z trudem utrzymywał się na nogach.

Wychodzę pośpiesznie z czytelnii. Schody, prowadzące na dół, zdają się proste do pokonania, jednak coś nie pozwala mi nimi zejść. Winda przestaje działać. Mury się trzęsą. Czuję uderzenie powietrza, po czym głuchnę. Dookoła pełno pyłu.

Wstaję z podłogi, otępiały. Kręci mi się w głowie. Czym prędzej zeskakuję z kilku stopni, teraz już częściowo zawalonych. Gdy docieram do holu, spostrzegam, że szyby wyleciały z ram, a stare fotografie z wystawy fruują w powietrzu, niesione podmuchami zimnego wiatru z dworu. Płonie zawalona Sala Poety.

Kiedy mój zmysł wraca do równowagi, słyszę wyjące syreny. To może oznaczać nalot samolotów albo dronów.

Bibliotekarz. Biegnę z powrotem na piętro. Fala uderzeniowa roztrzaskała go o ścianę. Leży przygnieciony ciężkim regałem. Sprawdzam jego funkcje życiowe i wymiotuję.

Kolejna myśl to kobieta z trzeciego piętra.

Skaczę po strzępach schodów. Udaje mi się dotrzeć do celu. Leży oparta o ścianę w korytarzu, nic jej nie jest. Chwytam ją w pasie.

– Musimy iść.

Oszołomiona posłusznie skacze ze mną po gruzach.

W holu okazuje się, że wszystkie wyjścia są zavalone. Dym zaczyna wlatywać do wnętrza i gryzie w gardło. Rozglądam się, działam instynktownie.

– Klatka schodowa... – mówi półgłosem kobieta.

Pędzimy wąskim korytarzem do drzwi ewakuacyjnych. Są schody. Biegniemy nimi na dół.

Gdy znajdujemy się piwnicy, dochodzi do nas wielki huk. Znowu tańczące mury i ciemno od pyłu. Kobieta kaszle, osłaniam ją swoją kurtką. Po chwili orientujemy się, że budynek uległ zawaleniu, a my jesteśmy pod gruzami. Na szczęście, piwniczny strop wytrzymał.

– Uderzyli drugi raz – mówi.

Patrzę na nią zrezygnowany. W jej oczach dostrzegam podobny do mojego ból, bezsilność i zdruzgotanie.

– Straciłam już męża w tej wojnie. Było mi wszystko jedno, czekałam na śmierć. Kiedy nadchodzi, nie chcę jej. Zabierz ją, kimkolwiek jesteś, słyszysz?

– Ja też straciłem żonę i dzieci. Dzisiaj.

Oboje płacemy. Jak dwoje nieznanym osobom, pełnym współczucia do siebie nawzajem.

– Jest dla nas jeszcze jakaś nadzieja? – pyta w końcu nieśmiało.

– Tak, ale nie możemy czekać.

To pierwszy tak chłodny dzień, choć kompletnie mi to nie przeszkadza. W ciepłej pilotce z kożuchem pod szyją idę dziarskim krokiem przez miasto. Brat wysłał mi ją z rajchu. Biodro nie przestaje boleć, ale serce skutecznie je wycisza. Jak szalenciec uśmiecham się do każdej napotkanej osoby. Czy oni nie wiedzą? Nie widzą? Jest im to obojętne?

Spoglądam w górę na piętrzącą się, żelbetową szarą konstrukcję i biorę głęboki oddech.

W holu panuje półmrok. Z radia włączonego na portierni unoszą się dźwięki listy przebojów. Spiker zapowiada piosenkę *Wiara* zespołu IRA, która po chwili wypełnia wnętrze. Pośrodku bibliotekarki ustawiają na sztalugach plakaty, nowoczesne, pełne kolorów. Wystawa będzie sąsiadować z ekspozycją fotografii uwieczniających przemiany ustrojowe.

– Piszą, że w Ameryce nakręcili jakiś serial o duchach – mówi jeden portier do drugiego. Siedzi w czapce z daszkiem, skupiony na rozkładówce gazety. – A, dzień dobry panu. – W końcu zauważa moją obecność.

– Co to za serial? – krzyczy drugi z kantorka.

– „Z Ar-chi-wum X” – sylabizuje mężczyzna i uśmiecha się do mnie porozumiewawczo.

Ruszam w stronę Sali Drewnianej. Po drodze spotykam kolejnych pracowników, którzy mocują się z zaczepami.

– Co, ostatni dzień? – pyta kierownik administracji.

– Tak – odpowiadam i przeczesuję dłonią siwe włosy.

– Takiemu to dobrze. Proszę nas odwiedzać.

Potakuję i idę dalej.

Dopiero tuż przed wejściem na salę dociera do mnie myśl, że to koniec. Już nigdy nie zapowiem żadnego wydarzenia, nie ułożę harmonogramu pracy, nie dotknę starodruku. Nawet przygotowywanie przypisów do artykułów nie wydaje mi się teraz takie złe.

Boję się pociągnąć klamkę, ale wtem czuję przyływ siły. Biblioteka przecież nadal żyje. Jestem wdzięczny, że zdążyłem jeszcze oprowadzić po niej mojego kilkuletniego wnuka. Kto wie, może kiedyś odziedziczy po dziadku zamiłowanie do książek.

Nim pokonuję próg, przekręcam dwa włączniki umiejscowione w puszcze przytwierdzonej do ściany.

Rozświetlona scena, tuż obok wejścia, zaprasza na deski. Schodki skrzypią starym drewnem, a w sali unosi się zapach wilgoci. Kiedy ustają, ogarnia mnie błoga cisza. Oślepiony strumieniem reflektora, próbuję poczuć się jak literat podczas spotkania autorskiego. Nigdy nim nie byłem. Zawsze siedziałem po ciemnej stronie estrady. Teraz mam jedyną i niepowtarzalną okazję, by znaleźć się w centrum.

Zadzieram odważnie głowę, skupiając wzrok na jasnym punkcie. Unoszę ręce w geście triumfu. Myśli posyłam ku przyszłości i wykrzykuję:

– Wojska radzieckie wyszły z Polski!



## Epilog

Służbowym okiem  
policjantka omiata plecak  
musi być bezpiecznie

Z krańców świata  
zleciały się głoski  
dorabiają muzykę do obrazu

Tu panowie tu panie  
fotografują się we wściekłym słońcu  
niepomni zasad sztuki

Rodan jak bury kocur  
ociera się mokrą sierścią  
o kamienne żebra budowli

W połowie drogi  
czas się urywa  
dalej jest już donikąd

Sur le pont d'Avignon

**Księżyc nad Tykocinem\***

Pachną szabasowym blaskiem  
zamyślane lipy  
w zielonych myckach

Przez niezmaconą nicość  
przepychają się tłumnie  
bezpańskie cienie

Płonące spojrzenia  
na zawsze ustawione  
w szklane pary

Jak gama bez dźwięków  
od ust odcięta  
święteczna modlitwa

Miast wina  
w kiduszowym kielichu  
przelewa się cisza

Klezmerskie łkania  
rozdeptane plaskaniem stóp  
w durowej tonacji

Tej nocy  
miasteczko otulił  
tales mgły znad rzeki

\* Po wycieczce na wschód Polski w czerwcu 2019 roku

**Preludium polskie**

Smukłymi palcami  
Szopena  
wierzby przesiewają  
mąkę mgły

Zaraz szrama  
polnej drogi  
rozedrze  
obnażoną pierś ziemi

Korony  
jak rude brodawki  
co rusz wyskakują  
na gładzi horyzontu

Po lewej  
stożki drzew  
stoją  
w turniejowych szrankach

Z prawej garuje  
wieża kościelna  
przed chwilą maciupka  
w rozczynie perspektywy

Od godziny  
krople melancholii  
dyrdają  
po szybie pociągu

Święty Jerzy

Na smoka  
lęku bezsilności  
i wewnętrznych pęknięć

na smoka  
ciemniej strony  
człowieczej duszy

na smoka  
ludzkich języków  
i ludzkiej przewrotności

– choć nie o tym  
śpiewają nuty –  
czekasz na wzgórzu Portofino

W purpurze oleandrów  
nitka uliczki pnie się  
do ascetycznego kościółka

Prześwitujący po lewej lazur zatoki  
nabrał już  
październikowej głębi

Nie jesteśmy  
jedyne donkiszotami  
przybyłymi z Ziemi Jałowej

# Twarz z okładki

Nikodem zobaczył jej twarz na okładce starego podręcznika do języka polskiego, w księgarni, do której czasami zachodził. Trafił na tę książkę przez czysty przypadek, gdy przeglądał inne o tematyce historycznej. Tkwiła pośród nich, zupełnie obca, jakby inna, niemalże gorsza. Nie obejrzał dokładnie podręcznika, nawet go nie otworzył. Wpatrywał się tylko w twarz uśmiechniętej dziewczyny i czuł, jakby była mu bliższa. Nie rozumiał tego.

Wziął książkę ze sobą i poszedł do kasy. Sprzedawca miał problem ze znalezieniem towaru w systemie i wyraźnie zdziwił go fakt, że mają u siebie jeszcze taki starość.

– Jakiś czas temu pozbyliśmy się całej makulatury – oznajmił. – Jest pan nauczycielem? Nie potrzebuje pan jakiegoś świeżego materiału? To już ma swoje lata.

– Przyda mi się.

– W takim razie sprzedam ją panu po kosztach.

– W porządku.

Podczas płacenia Nikodem stwierdził na głos, że dziewczyna na okładce jest bardzo ładna.

– Może być – odparł sprzedawca, wzruszając ramionami. – To przecież tylko okładka.

Idąc do domu, raz po raz wyjmował podręcznik z papierowej torby, przystawał na kilka chwil i zafascynowany oglądał okładkę. Uśmiech dziewczyny napełniał jego serce czymś przyjemnym i dobrym, jakby pewną obietnicą. Zabrał ją do swojego mieszkania i cały wieczór po prostu wpatrywał się w jej ciemne, piękne oczy. Był pewien, że są żywe. Był też pewien, że zwariował, ale wcale nie czuł się z tego powodu źle.

Już pierwszej nocy mu się przyśniła. Byli gdzieś razem, chyba nad morzem, czuł ciepły piasek pod stopami, wiatr rozwiewał jej brązowe włosy, a usta smakowały truskawkami. Kiedy obudził się rano, dobrze pamiętał cały sen, zupełnie jakby chodziło o przywołanie wspomnienia. Nigdy przecież nie był nad morzem.

Po jakimś tygodniu postanowił wybrać się po ramkę na zdjęcia do sklepu z drobiazgami. Wziął podręcznik i przyciął nożyczkami okładkę na odpowiedni format. Zdjęcie postawił na szafce nocnej, tuż przy łóżku. Od teraz mógł zasypiać i budzić się w blasku jej uśmiechu i wystarczało mu to długo, bardzo długo.

Któregoś dnia jednak postanowił, że za wszelką cenę odnajdzie tę dziewczynę. Nie mogła przecież być tylko martwym obrazem na tekturze. Musiała istnieć. Musiała być prawdą.

W trakcie śniadania zaczął od przeglądania podręcznika, który – choć pozbawiony okładki – wciąż miał dla niego sakralną wartość, i dowiedział się, że wydano go prawie dziesięć lat temu. Zadzwonił pod numer podany na ostatniej stronie i na jego szczęście wydawnictwo wciąż istniało. Odebrał jakiś starszy mężczyzna o bardzo znużonym głosie, który wydawał się zażenowany pytaniami Nikodema o dziewczynę.

– Jest pan jakimś zbrodźcą? – zapytał w końcu facet.

– Myślę, że nie.

– Co pan przez to rozumie?

– Potrzebuję po prostu skontaktować się z tą dziewczyną.

– Poszukuje pan fotomodelki czy jak?

Mężczyzna musiał wziąć ciszę po drugiej stronie telefonu za potwierdzenie.

– Wie pan, to było tak dawno temu – westchnął. – Zdjęcia robiła zewnętrzna firma. Musiałbym najpierw poszukać w dokumentach, kto w ogóle wykonał to zlecenie, a przecież po tylu latach to ten zakład fotograficzny dawno mógł paść.

– Bardzo mi zależy na odnalezieniu tej dziewczyny.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję.

Do końca dnia telefon Nikodema milczał. Drugiego i trzeciego – też, więc zaczął już zastanawiać się, czy tamten facet po prostu go nie zbył. Czwarty dzień przyniósł jednak nadzieję. Udało się odnaleźć fotografa, który dziesięć lat temu robił owe zdjęcie.

– Ma pan szczęście, że trzymam wszystkie stare kontakty – oznajmił facet ochryłym głosem. – Udało mi się znaleźć numer telefonu oraz mail do tej dziewczyny. Oczywiście nie mam pewności, że wciąż są aktualne.

– Warto spróbować.

– Poza tym jest jeszcze jeden problem. A właściwie to dwa.

– O co chodzi?

– Pierwsze to pieniądze. Chciałbym coś z tego mieć. Rozumie pan, jaka to nietypowa sprawa, a panu chyba naprawdę zależy.

– O zapłatę nie musi się pan martwić. Proszę podać mi numer konta, a przeleję panu odpowiednią kwotę.

– W porządku.

– A ta druga rzecz?

– Wydaje mi się, że ona już dawno przestała pracować w modelingu.

– To nieistotne.

– Skoro pan tak mówi.

Ustalili kwestię ceny i Nikodem rozłączył się. Niemal natychmiast puścił przelew, ale nie otrzymawszy przez kilka pierwszych minut odpowiedzi ze strony fotografa, postanowił po prostu czekać, bo wiedział, że cierpliwość jest jedną z cnót i zwykle bywa nagradzana.

W głowie jednak miał teraz imię dziewczyny, które zdradził mu fotograf. Żaneta. Wymienił je kilka razy, głośniejszym i ciszej, nie mogąc się jednak przyzwyczaić. Żaneta. Wcześniej nie myślał o jej imieniu. Była po prostu twarzą, pięknym uśmiechem, hipnotyzującymi oczami. Żaneta. Miała na imię Żaneta. W końcu położył się do łóżka, wpatrując w twarz dziewczyny oświetloną ciepłym światłem nocnej lampki.

Następnego dnia, gdzieś około południa, otrzymał od fotografa numer telefonu oraz adres mailowy. Nie zwlekając ani minuty, zadzwonił pod niego. Był w trakcie pracy.

– Podany numer nie istnieje – odpowiedział zimno automat.

Nikodem wybrał numer jeszcze kilka razy, wsłuchując się raz po raz w syntetyczny głos po drugiej stronie.

– Nikodem, co ty robisz? – Usłyszał za plecami głos kierowniczkii. – Rozmowy telefoniczne skuteczniejasz w godzinach pracy?

– Bardzo przepraszam.

– Ja myślę, że przepraszasz. Wracaj do roboty. Widziałam klientów stojących od kilku minut na telewizorach.

Uśmiechnął się blado, pokiwał głową, poprawił kołnierzyk przy szyi i ruszył w ich stronę.

Z wiadomością mailową wahał się kilka dni. Była to jedyna szansa i bał się rezultatu. Przy pomocy butelki wina przemógł się jednak któregoś wieczora i napisał długiego maila, podobnego bardziej do listu w starym stylu. Nie napisał jednak prawdy, nie mógł przecież napisać o tym, że oszalał na punkcie jej zdjęcia zrobionego dziesięć lat temu. Podał się za przedstawiciela agencji reklamowej. Opisał, że chciałby się z nią spotkać i omówić kwestie potencjalnej współpracy.

W przeciągu miesiąca wysłał kilka takich maili, bojąc się, że być może zostały przypadkiem niezauważone. Powoli jednak, podświadomie, godził się z faktem, że nigdy tej dziewczyny nie spotka. Nie przeszkadza-

dzało mu to jednak trzymać jej zdjęcia wciąż blisko siebie. Zrobił nawet skan przyciętej okładki i wydrukował go w różnych formatach. Jedno małe zdjęcie trzymał na biurku w pracy, a koledzy pytali go raz po raz, kim jest ta dziewczyna.

– Jest moja – odpowiadał. – Tylko moja.

Drugie zdjęcie nosił w portfelu. W wolnej chwili lubił spoglądać na jej twarz. Czuł się spokojny, mając ją zawsze przy sobie.

Pewnego czwartku, gdy w pracy obsługiwał wyjątkowo niezdecydowaną w kwestii pralki kobietę, dostał powiadomienie na telefonie. To była wiadomość mailowa od niej. Odpowiedź od Żanety. Bardzo krótka, z błędami, w jednej linijce.

*Dziękuję za propozycje ale już się tym nie zajmuję. Pozdrawiam.*

Pod pretekstem choroby zwolnił się z pracy i pognął do swojego wynajmowanego mieszkania. Jadąc autobusem, czytał w kółko wiadomość od Żanety i spoglądał na zdjęcie w portfelu, starając się połączyć oba elementy. Kiedy tylko wrócił, napisał kolejną wiadomość, na którą odpisała po godzinie. Znów mu odmówiła. Nie dając za wygraną i nie mogąc uwierzyć w jej realność, zaproponował spotkanie w jej obecnym miejscu zamieszkania. Napisał, że zapłaci za to spotkanie niezależnie od jej decyzji. Podała mu datę i adres jakiejś kawiarni w Rzeszowie. Mieli spotkać się w niedzielę.

Przez te dwie noce Nikodem nie potrafił zasnąć. Wpatrywał się w zdjęcie obok łóżka, brał je w dłoń, dotykał je i wachał. Kilka razy nawet je pocałował. Nigdy wcześniej tego nie robił i sprawiało mu to potężną przyjemność. Miał też wrażenie, że jego życie zmieni się niedługo nie do poznania.

Z samego rana wsiadł w pociąg i przejechał połowę Polski, aby się z nią spotkać. Na miejsce zabrała go taksówka. W kawiarni znalazł się niemal godzinę przed czasem. Kiedy zaczęła zbliżać się umówiona godzina ich spotkania, prawie spanikował, gorączkowo rozglądając się po spacerujących dookoła ludziach. Wyjął portfel i zaczął przyglądać się jej zdjęciu. To zawsze go uspokajało.

Po pięciu minutach spóźnienia spostrzegł kobietę, która była bardzo podobna do tej z okładki starego podręcznika. Bardzo podobna. Ale inna. Starsza. Bledsza. Nieuśmiechnięta. Kiedy do niego podeszła, zrozumiał, że popełnił błąd. Oczywiście to była Żaneta. Z krwi i kości istota ludzka. Kobieta. Potrafiła się poruszać, przewracać oczami, zamykać je i otwierać. Potrafiła mówić.

Zrozumiał nagle, że on nie zakochał się w bezimiennej dziewczynie z okładki. Zakochał się w samej okładce. W fotografii. W wyobrażeniu.

Ich rozmowa przebiegła szybko. Żaneta uznała, że właściwie może spróbować wrócić do modelingu. Wydawała się szczęśliwa z takiego obrotu spraw, bo być może rozbudził w niej dawne emocje. Jakoś udało mu się jednak odwieść ją, wybrnąć, ponownie zabić w niej marzenie z młodości.

– Właściwie to znaleźliśmy już kogoś innego – oznajmił, unikając jej wzroku.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wielka szkoda. Miałam taką nadzieję...

– Oczywiście zapłacę pani, tak jak się umawialiśmy.

Kiedy zegnali się już i wręczał Żanecie pieniądze, przemógł się i spojrzał w jej ciemne oczy, ale naprawdę nie odnalazł w nich niczego znajomego. Prawdziwa, żywa Żaneta nic dla niego nie znaczyła.

Wrócił nocnym pociągiem do swojego miasta, pieszo udał się z dworca do swojego mieszkania. Wziął długi prysznic, podczas którego zaczął płakać. Nie płakał od wieków. Kiedy wszedł do sypialni, spojrzał na włożoną w ramkę okładkę podręcznika. Powitała go dobrze znana mu twarz. Jej twarz. Usiadł naprzeciwko i po prostu na nią patrzył.

Niczego więcej nie potrzebował.

**W poszczególne**

to taki czas że poeta  
z liter i ze słów z długowiecznej tułaczki  
przenosi się w ciało

jego powrót w ciało  
pozostaje niezauważony – mało kto widzi dziś  
ale ten który wraca do siebie widzi –  
o nim milczą wrzaski skoro poeta nie wrzeszczy

to taki czas że poeta  
niewidzialny dla tłumu

zdziwiony zdziwiony zdziwiony  
spotyka swoje ciało  
spotyka czyjeś ciało  
i radość rozplywa się po ciałach  
rzekami pełnymi nieznanymi stworzeń

to taki czas że poeta na nowo  
poznaje język  
i nie powiemy ci jak



**do rzeki**

ta która za ledwie ścina trawy milczy nie widuje  
wcześniej niż źdźbła słabnie pomiędzy jej kośćmi i po nich ludzie  
przestają krążyć i wysławiać się jakby  
to przestwór i mosty być miały – stosowani tam stosowni  
w bielejącym i bielszym na wylot białym –

a po niej ty wracasz zapominana  
rzeko której oszczędzone rzeko mijająca głaz *naturalny*  
mocniejsza niż kiedykolwiek  
I w nieznane przyzywa do powrotu do poszumu  
morza z nich lądy tak że nawet księżyc zamiast świecić na zimno  
barwi się w pomarańczowe w strumieniach z szarobłękitu przywołuje  
w dzień  
wracasz zapominana wracasz w szept z błysków na wietrze z kołysek  
do jawy

Zaraz wracam i nie wiadomo  
kiedy zaraz się zaczyna skoro  
nie jest kartką zawieszoną  
w sklepie skoro nie jest kiścią  
winogron w czyjejs ręce  
zaraz wracam i będzie mnie  
więcej zaraz zaraz a właśnie  
że nie nie szłam nigdzie daleko

cały czas jestem morzem rzeką  
cały czas opływa mnie powietrze  
zanurza się we mnie jak ptak  
w powietrzu się zanurza  
głos który znajduje ciało

to ciche zwierzę jakie tam w tobie  
daje ci zgodę na dom otwarty  
spośród lamp wyszło spośród warkotów

to zwierzę widne jakie wędruje  
łapa za łapą skrzydło za skrzydłem  
to zwierzę jakie otwiera oczy

ciebie pamięta sprzed ulic i gier  
to zwierzę które idzie do siebie  
spomiędzy iskier i głosów na wiatr

to ciche było jest będzie gdzie ty

# Muzeum motyli

Od lat prowadzę warsztat krawiecki. Przyszywam guziki, skracam i zwężam spodnie. Jeszcze nie miałam poważnego zlecenia, marynarki na miarę, sukienki zakrywającej niedoskonałości. Regały świecą pustkami. Mówią na mnie „solidna firma”, bo klienci mogą oddać ciuch do naprawy, zamówić ciasto w pobliskiej cukierni, kupić kilka rzeczy w sklepie i wrócić, by odebrać naprawioną odzież.

Nie mam nic więcej ponad swój warsztat i zaciemnioną kawalerkę. Po pracy jem kolację przygotowaną z resztek z lodówki i kładę się spać. Czasem przed snem przeglądam żurnale i wyobrażam sobie własne kreacje na modelkach, światło uwypuklające fakturę tkaniny i wydobywające jej kolor.

Rano dodrukowuję ulotki stworzone zwykłą czcionką Times New Roman, wypijam kawę i otwieram warsztat. Po drodze zostawiam reklamy na sklepowych parapetach, przyklejam do słupa z ogłoszeniami. Fragmenty kartek odrywają się i falują na wietrze.

W pracy dużo czytam. Fascynują mnie odległe kraje, Japonia, Urugwaj, Nepal. Wchłaniam widoki utkane plastycznym językiem, wycinam zdjęcia i wklejam do notesu. Zawsze mam go ze sobą. Snuję w nim plany wycieczek, łącznie z listą niezbędnego ekwipunku. Na przykład mam rozpisaną wyprawę na Meru. Krok po kroku, gdzie stanie baza, obóz pierwszy, drugi. Cały kosztorys, od śpiwora, namiotu, żywności liofilizowanej po dojazd i pozwolenia. Notuję kilka podstawowych zwrotów w językach obcych i w wolnych chwilach uczę się ich na pamięć. To mój drugi notes, w pierwszym były same zdjęcia z krótkimi opisami, oto kompleks jaskiń Niah w Kambodży. Nie rozstaję się ze swoimi zapiskami. Boję się, że jeśli ktoś je znajdzie, zrealizuje za mnie plany podróźnicze.

Codziennie przez okno warsztatu widzę prawdziwą damę wychodzącą z cukierni. Nosi pięknie skrojone marynarki, niedopasowane kolorystycznie do reszty, ale tworzące razem spójną całość. Kupuje nieduży kawałek ciasta z bezą. Nigdzie się nie spieszy, choć nie wraca do domu. Znika w alejce prowadzącej do kamienic z lokalami użytkowymi. Nie należy do kobiet odbijających kartę w pracy. Sama wyznacza sobie godziny obowiązków, przerwę na kawę i kawałek świeżego wypieku. Stać ją na to, tak samo jak na podróże po Indiach, odpoczywanie w drogich hotelach z pachnącą, miękką pościelą. Takie kobiety nie mają potrzeby zachodzić do warsztatów krawieckich. Ich ciała są proporcjonalne. Mogą pozwolić sobie na wyrzucanie zepsutej odzieży. W deszczowy dzień wycinałam zdjęcia wodosпадów z gazety. Do warsztatu weszła kobieta w czerwonych szpilkach. Złożyła parasol. To była ona, wpatrująca się w porozrzucane zrzynki papieru.

– To dla syna do szkoły – powiedziałam.

– Jasne.

Omiotła spojrzeniem muzealny sprzęt. Dla kobiet takich jak ona krawcowa to zawód wymierający.

– Przyszłam tu w jednej sprawie – zaczęła i od razu wiedziałam, że wcale nie chodzi o sukienkę na bal.

– Zmarł pani wujek. Pani nazwisko znalazło się w testamencie.

– Często załatwia pani takie sprawy osobiście? Sądziłam, że prawnicy dzwonią.

– Jestem notariuszką, nie prawniczką. Zaraz odczytujemy testament. – Po tych słowach rozłożyła parasol i wyszła. Obcasy stuknęły o posadzkę głuchym echem.

Biuro notarialne mieściło się w jednym z lokali w kamienicy. Na trzecie piętro prowadziły strome schody, nieproporcjonalnie wysokie. Jej wyrzeźbione tyłki to nie tylko efekt wyczerpujących ćwiczeń. W pomieszczeniu ściągnęła marynarkę i odwiesiła ją na krzesło. Miała porządek na biurku, bez zbędnych przedmiotów, rodzinnych zdjęć, spraw, które czekają na rozwiązanie. Na parapecie stał posążek Buddy, do tablicy korkowej przytwierdzono pocztówki z miejsc, które w ostatnim czasie skomercjalizowały się.

– To już wszyscy – powiedziała.

Byłam tylko ja. Wcałe mnie to nie zdziwiło. Wujek nie należał do towarzyskich osób, raczej w rodzinie uznawano go za gburę. Ja też nie miałam z nim najlepszych kontaktów. Byłam ciekawa, co zostawił mi w spadku.

– Pani wujek wiele nie posiadał. Wszystko poświęcił swoim wieloletnim badaniom, nie miał majątku, jedyną nieruchomość zabrał bank za niespłacanie kredytu, ale posiadał coś, co uznał za wartościowe. Bank nie podzielał jego zdania, toteż, zgodnie z wolą zmarłego, należy się pani. Kolekcja motyli, które zbierał od lat.

Wyciągnęła gablotkę ze spreparowanymi owadami. Gromadzenie motyli rozpoczął w 1991 roku. Część kolekcji pochodzi z łowów własnych zdobytych podczas podróży po Europie, Ameryce Południowej, Środkowej i półwyspie Azja Mniejsza. Motyle z Afryki nabył w niespotykany sposób, od sióstr miłosierdzia z Republiki Środkowoafrykańskiej. Prowadziły misję, a uzyskane fundusze przeznaczyły na cele misyjne.

– Po resztę gablotek udamy się do mieszkania, jeszcze dziś, zanim bank przejmie dobytek.

W domu było ponuro. Salon mieszał się z warsztatem. Na stoliku kawowym znajdowały się lampka biurkowa, szpilki krawieckie, pergamin i małe, precyzyjne narzędzia. Na ścianach wisiły gablotki. Z każdej strony obserwowały go motyle, nawet w kuchni.

– Będzie pani miała jak przewieźć?

Od notariuszki wzięłam numer na taksówkę. Osiem gablotek zawiętałam w koce, prześcieradła i poszewki na kołdrę. Udawałam, że wiozę dzieła sztuki, które okazjnie nabyłam po zmarłym kolekcjonerze. W pewnym sensie nie kłamałam. Po drodze zatrzymaliśmy się w budowlanym po gwoździe.

Moje mieszkanie było dwa razy mniejsze. Gablotki wisiły jedna przy drugiej, nawet w łazience. Nie posiadałam się z dumy jak wujek, ale nie mogłam dać na zmarnowanie dzieła jego życia.

Pierwsza noc nie była komfortowa. Nie przywykłam do widowni, bałam się, że spreparowane ciała nagle ożyją i roztańczą się nad moją głową. Śniły mi się chmury motyli w lasach amazońskich. Im bardziej je przeganiałam, tym więcej się ich pojawiało.

Wstałam przed czasem. Zaparzyłam kawę i poszukałam artykułów o entomologii. Jak wygląda połów, zatruwanie i transport, rozpinanie i etykietowanie, przechowywanie. Chciałam zrozumieć, co w tym takiego pięknego. Zamówiłam atlas motyli, który studiowałam w pracy. Odłożyłam na bok lektury podróżnicze i reportaże. Kupiłam kolejny notes, w którym notowałam, jakie gatunki można spotkać w konkretnych regionach świata.

Powszechnym podziałem motyli jest podział na motyle dzienne i nocne. Istnieje też podział na motyle większe i mniejsze, podział ze względu na użytkowanie skrzydeł i ze względu na budowę aparatu kopulacyjnego. Ze wszystkich gatunków najciekawszym jest monarcha. To prawdziwy podróżnik, który wyrusza z Kanady i północnych stanów do Kalifornii i Meksyku, gdzie witany jest z celebrą. Jego przylot zbiega się ze świętem zmarłym, utożsamiany jest z powracającym duchem zmarłych przodków. Celem monarchy są góry Sierra Madre, ale czasem wiatr znosi go do Wielkiej Brytanii, Hiszpanii czy Portugalii.

Po pracy zaczęłam przyglądać się kolekcji wujka. Porównywałam motyle z gablotek ze zdjęciami w atlasie. Stąd wiem, że po niepylaka apollo musiał udać się w Pieniny lub Tatry. Zaczęłam spisywać wszystkie regiony i odtwarzać trasę poszukiwań. Wujek byłby lekkomyślny, gdyby nie prowadził własnych zapisków i obserwacji. Nie znalazłam jego artykułów ani śladu działalności w internecie. Miałam przed sobą tylko połączoną kolekcję spreparowanych motyli.

To było moje pierwsze włamanie. Na szczęście wujek mieszkał na parterze w starym budownictwie. Nieszczęsne okna zamykały się na słowo honoru. Nie było trudno je wyważyć. Bez gablotek wewnątrz wydawało się opustoszałe. Przyrządy pozostawione na stoliku kawowym wyglądały teraz kuriozalnie.

W pierwszej kolejności przejrzałam miejsca, w których sama chowam własne zapiski – pod poduszką, w szafce nocnej, w szufladach z białyną. Potem zajrzałam w mniej oczywiste zakamarki, jak lodówka, piekarnik, a w końcu w te najbardziej standardowe. Wzięłam do ręki każdą książkę z biblioteczki, sprawdziłam, czy za rzędem woluminów nie kryje się jakiś notes. Na koniec odchyliłam dywan. Spod niego ulotnił się tylko kurz. Zanim usiadłam na tapczanie, zajrzałam jeszcze raz do środka. Nie myślałam o piwnicy, tylko lekkomyślni zostawiliby coś tak cennego za drewnianymi drzwiami ze szczelinami.

Przez chwilę musiałam pozostać w mieszkaniu. Jak wyglądał zwyczajny dzień wujka? Która praca dawała mu możliwość i środki do podróżowania? Czy w jego życiu, poza motylami, było miejsce na kobiety? W moim było aż nadto pustej przestrzeni, którą teraz zajęły skrzydlate dzieła sztuki. Rzadko miałam gości. Od spadku nie zaprosiłam nikogo. Nie wiem, czy spotkałabym się ze zrozumieniem.

Skróciłam godziny otwarcia. Zyskałam więcej czasu na poranną kawę i przyglądanie się motylom. Kupiłam ciemne zasłony do ziemi i przestałam używać światła z żyrandola. Zapalałam stojącą lampę dekoracyjną, która rzucała na pomieszczenie delikatną poświatę.

Większość gatunków to motyle nocne.

Przerysowałam z książek ich szkielety. Notes zamienił się w cmentarz. Zapełniłam go szkicami, luźnymi opowiastkami i epitafiami. Każdy okaz dostał ode mnie sentencję podsumowującą jego życie i nowe imię. Zaprzyjaźniałam się z mieszkańcami gablotek. Codziennie zapamiętywałam nazwy gatunków, zamykałam oczy i przywoływałam w myślach ich wygląd. Gdy poznałam całą kolekcję, łatwiej było mi spisać motyle, których brakuje.

Szukałam ich. W lesie, wzdłuż rzeki, w pąkach kwiatów, klombach w ogrodzie botanicznym i zoologicznym. Wspięłam się na Rysy, zjechałam Tatry, pierwszy raz spałam w schronisku. Wylegiwałam się na podmokłej łące, ubłociłam kalosze, rozciąłam kurtkę gałęziami, piłam wodę z kałuży przefiltrowaną przez bidon. Wzięłam kredyt, opłaciłam czynsz na pół roku z góry. Wyjechałam.

W nowym miejscu było ciepło i wilgotno. Bujna roślinność przypominała, że jestem tu tylko gościem. Drzewa i liście o rozmiarach mojej głowy patrzyły na każdy mój ruch. Stąpałam ostrożnie, patrzyłam pod nogi, żeby nie podeptać maszerujących żuków, nie złamać drobnych gałęzi, nie zrobić czegoś, co zaburzyłoby ekosystem i rozwścieczyło zielonych autochtonów. Nie znałam ich języka tak jak wujek. Chciałam powiedzieć, że płynie w nas ta sama krew i także jestem przyjaciółką. Przyjechałam zrobić badania, zapełnić notes szkicami i obserwacjami.

Na świecie żyje około stu siedemdziesięciu motyli. Ich skrzydła tworzą prawdziwą paletę barw. Pod światło można dostrzec cienki szkielet.

\*\*\*

buduję córce dom pomagam po prawdzie  
podtrzymywać tylko niektóre krokwie  
podaję gwoździe lub piłę ale ta niewielka  
praca już zostanie w ścianach  
ustawionych na łagodnym zboczu pod lasem  
w ten sposób spełni się moje nieskromne  
oczekiwanie  
żeby czymś się w życiu zapisać

**Msza wciąż trwa**

w programie telewizji trwa msza  
dwie kobiety klęczą przed ekranem  
modlą się i śpiewają  
rytuały kościelne trafiły spod ołtarza  
pod strzechy  
z kuchni dochodzi zapach smażonych  
na jutrzejszy obiad kotletów  
kobiety z niezmaconym spokojem  
oddają cześć telewizji  
która przeniosła je na chwilę  
w inny świat a jednocześnie  
uzwyczaśniła religię  
jako produkt dla każdego prostego  
człowieka  
który płaci abonament

25.IV.2011



\*\*\*

raptem zaskoczony odsuwasz się od biurka  
wychodzisz i zostawiasz pokój pełen regałów i myśli  
kartek przygotowanych żeby nic nie umknęło kalendarz  
niespodziewanie okazuje się zbędny w nowej sytuacji  
znalazły się ołówki długopisy komputer nie wiadomo po co  
zapisane tysiące stron albumów pełnych zdjęć utrwalających były  
odeszłe z czasem zapomniane choć dotykane wielokrotnie tymi i  
innymi rękami lecz nic  
nic z tego

\*\*\*

warto jeszcze wyjść przed dom do ogrodu  
zaczepnąć powietrza i zachłysnąć się jasnym  
istnieniem zachować z niego myśl pamiętasz  
żono gdzieś na początku tę obietnicę że  
upijemy się nieprzytomnie jednak czas trzeźwo spłynął  
po nas jak wodospad szklarki i beznadziejnie zimny  
uderzył

9 IV 2020 (śmierć A. Strumiły)

# Zapiski

## Minął

Dzień minął. Spokojny, słoneczny. Niczego nie zabrakło. Byłem w Bibliotece. Z Mirką chwilę omawiałem zarys spotkania literackiego, które już za kilka dni. Potem praca w ogrodzie. I zmęczenie. Wieczór łąki umajone. Czasem jeszcze udaje się mimo późnej godziny coś napisać. Ale dzisiaj akurat nic. Tyle w największym skrócie.

## Czas

Jaki to jest czas, w którym żyjemy niby jak zawsze, w tym samym rytmie. Jednak jak nigdy wcześniej widać, że żyjemy w czasie dramatycznej zmiany. Wielkiej zmiany. Moce techniczne zostały w tym celu uruchomione w potężnej skali. Zjawiska społeczne nagromadzają się. Skutkują problemami. Z powodu obecnie wszczynanych wojen i tych, które zapewne są w wielu miejscach na świecie przygotowywane, masy młodych ludzi, nie tylko młodych, kierowane są na pola wojenne. I giną. Ginie cywilizacja, jaką znaliśmy, w miarę w ostatnich dekadach stabilna, uporządkowana. Mieliśmy nadzieje na budowanie, dobre budowanie cywilizacji, a nastąpił niepokój. Wielki w nim znak zapytania. Sztuka poddaje się jego presji, więc nie daje odpowiedzi. Albo są tylko cząstkowe, bo jakie inne mogą być? To trudne zagadnienia. Porozmawiajmy jednak o kwiatach, które są o tej porze, to zdecydowanie coś lepszego dla duszy. Idzie zapach akacji, lip, bżów. Konwalii.

## Kobieta

Wczesnie rano. Gdy jeszcze pustawe ulice. Cicho. Szarawo. I pierwsze auta w ruchu. W cieniu plastikowej wiaty, na ławce przystanku autobusowego kobieta. Jej postać w cieniu. Tkwi w nim sama, samotnie. Nikogo obok. Twarz niezbyt widoczna. Ubrana bardzo powszednio. Jakaś skurczona, jakby jej myśli i ciało przenikała szarość. Zobaczyłem. I przemknął mi przez głowę jej obraz.

## Boli

Boli mnie każda trudna sprawa, która zdarza się w Polsce. Tak jak obecnie, z sędzią zbiegłym na Białoruś. I inne tego typu sprawy w wewnętrznej polityce. Ktoś z premedytacją działa na rzecz wyizolowania nas ze wspólnoty europejskiej. Stawka jest wielka. W takich sytuacjach trzeba nam być silnym. Jeszcze bardziej wytrwałym. I odpowiedzialnym za słowa i czyny.

## Michałek

Michałek nagle pyta, dlaczego dziadek lubi ogród. Dobre pytanie kilkuletniego chłopca świadczy o żywej dziecięcej obserwacji, która już nie jest wcale taka dziecięca. Bo rzeczywiście lubię ogród. Wiele mam temu Michałkowi do objaśniania ważnych rzeczy ze świata roślin. Michałek lubi rośliny oglądać.

## Wiersze Ireny Dowgielewicz

Z zapamiętanych wierszy Ireny Dowgielewicz. Teraz przykładam do nich większą wagę niż sporo lat temu. I piszę kilka słów o zbiorze *Milczenia słuchajcie*. Już minęła północ, ciągle coś dodaję, wypisuję cytaty z wierszy. Ta poezja ma piękną wykładnię filozoficzną. Gloryfikuje zwyczajność. Jakież w niej bogactwo języko-

we, jaka wielość odniesień do rzeczywistości realnej, własnej biograficznej, prywatnych sytuacji, skojarzeń, refleksji egzystencjalnych, metafizycznych. Jaka piękna odśłona wnętrza podmiotu. Zgoda na przemijanie, umiejętność cenięcia rzeczy drobnych, żeby nie powiedzieć znikomych. One to czynią w jej wierszach poetycką urodę. Ważną. Są bowiem fundamentem życia. Dobrze, że te utwory po latach zostały przypomniane. Wszystkie razem.

## **Żarówki**

Widzę żarówki czerwone, niebieskie i zielone. Są umocowane pod daszkiem domku na ogrodowej działce M. To poletko jest dla niej chyba małą arkadią, z codziennego zmęczenia, ale i z okropności świata, które wypełniają globalną sferę publiczną. Celem tych żarówek jest od czasu do czasu zaświecić wieczorem, dodawać klimatu, nastroju i przynajmniej po części czynić mrok bajecznym. Można w ciszy kontemplować ciszę. Zarazem więc żyć innym życiem. Co znaczy, że świat może wydać się nieco lepszy i łagodniejszy, niż jest. Tak, potrzebne są jakieś złudzenia, złagodnienia, pozytywne nastroje, gdy roją się zagrożenia, dwuznaczności i gdy wychodzą teraz na jaw niewyobrażalne wręcz rozpasane nadużycia w sferze finansów naszego kraju, których dokonywali na wielką skalę ludzie minionej władzy. Obudziłem się. Wydawało mi się, że już blisko ranek, a to dopiero regularna północ. Może i dobrze. Mam więc trochę nocnego czasu na swoje rozmyślenia o tym, że coraz więcej bezładu gorliwie wprowadzają w nasze życie różne ciemne siły. Których celem jest pomnażanie lęku. Chaosu. Ale świeci na biurku żarówka w lampce. I na ekranie widzę działkę M.

## **Ogród**

Pracuję. Praca w ogrodzie to nie zabawa. Kiedy porządkuję ziemię z zielska, z trawiastej darni i wykopuję korzenie perzu, pokrzyw lub skrzyphu, to raz po raz mam problem, że sprawiam jakiś podstawowy kłopot nie tylko roślinom, np. mleczołom, ale i różnym małym istotom. Które układały na tym obszarze odpowiednie warunki do swojego życia.

## **Szedłem**

Szedłem od strony ulicy Wandy w stronę Biblioteki Norwida. Zatrzymałem się przed przejściem, gdyż świeciły czerwone światła. W pewnej chwili na sygnale pędziło policyjne auto, a zaraz potem mknął ciężki, maszynowy pojazd straży pożarnej. Dramatyczność jakiejś, przecież mi nieznaney, sytuacji przeniknęła mnie do głębi. Gdzieś ludzie znaleźli się w dużym niebezpieczeństwie. Ale jeszcze istnieje możliwość, by temu zaradzić. Dopóki tak będzie, to możemy mieć pewność, że zagrożenia zostaną opanowane.

## **Niebieski**

Odnutowuję. Podobała mi się wystawa malarstwa Adama Bagińskiego w Pro Arte, która miała miejsce na przełomie marca i kwietnia. Niezbyt duża, ale wymowna. Pokazał artysta swoje ostatnio namalowane płótna, dużego formatu, w tonacjach wszelkiego rodzaju błękitu. Zawieszane na ścianie jeden przy drugim, nasycaly przestrzeń aurą niebieskości. Gdy jeszcze salon był pusty, bo przyszedłem nieco wcześniej, to natychmiast to do mnie dotarło. Miałem wrażenie, dobre wrażenie, że oddycham niebieskim powietrzem. Jakbym znalazł się w innej rzeczywistości. Zresztą. Taka przecież jest rzeczywistość sztuki. Inna. Trochę, a nawet znacząco inna niż bieżąca, pogmatwana, niejasna realność. Zdarzył się Bagińskiemu taki niebieski okres. Wtajemniczenie po wielu latach uprawiania sztuki w bardzo rozpoznawalnym stylu, w którym zmagają się z uniwersum istnienia.

**z perspektywy drugiej strony mocy**

a teraz cicho  
mówisz i zakładasz na mnie  
swoje długie nogi

nocnym wjeżdżamy do tunelu  
z którego prawie kapie  
dziwne jest to że wilgoć nie wysycha  
ale jest jej coraz więcej

choć pędzimy z zawrotną prędkością  
i wydawałoby się że niemożliwe jest nawet  
wycucie smaku  
dotykam delikatnych ścianek  
tunel żyje

ktoś kto nie lubi patrzeć  
pewnie teraz zamyka oczy  
ja przyglądam mu się jeszcze bardziej

dławisz w sobie krzyk a przecież  
zapłaciliśmy za pierwszą klasę

\*\*\*

zakorzeń się w sobie  
jak drzewo  
w matce

ziemi co daje życie  
żyźnej co wymaga szacunku

zdolnej dać wszystko  
i wszystko zabrać  
darem być

lub klęską gdy przemocą  
jesteś

sam dla siebie

**mały i duży chłopiec**

spął ze mną od czasu gdy wyszła z domu  
tulony po raz pierwszy moczył się jak dziecko  
zastraszone opowieściami o boskiej karze

słyszałam jego przyspieszony oddech  
kiedy uśmiercał serdeczny palec  
gdzieś pod moją ciepłą skórą

posłusznie kuciałam pieszcząc próżność  
czas uwierał jak kieszeń pełna nasion  
potęgował mój strach  
że nie wydam obfitego plonu

coraz częściej wiało od ludzi  
a rozum bił się z głosem serca

cicho wyliczałam dni płodne

**najlepszy przyjaciel poeta**

bardziej pusto było kiedyś  
tylko po śmierci psa

w ustach mam wciąż piasek  
zgrzyta co drugi ząb  
co trzeci rozgryza powód

koty nie czują zagrożenia  
ostrząc pazury w szlachetnym drewnie

dopieszczone ucho  
wciąż zdradza przywiązanie



Andrzej Sienkiewicz

# Kocina w śmietanie

## **Obsada aktorska:**

1. Hotelarz: Jan Marszałek (około 60 lat)
2. Żona hotelarza: Pola Marszałek (około 40 lat)
3. Gość z USA: Cathy Moczymorda (około 30 lat)
4. Gość z Niemiec: Helmut Schicklgruber (około 60 lat)
5. Gość z Rosji: Władimir Dzugaszwili (około 50 lat)

**Miejsce akcji: Słubice nad Odrą, hotel.**

## Epizod 1

*Wyciemnione pomieszczenie w suterynie, sylwetki kilku osób (jedna powinna mieć chustę na głowie), przy długim stole, kręcących papierosy prostymi maszynkami w świetle biurowych lampek (widać jedynie ręce oraz duże pudełko z napisem „Tabak”). Okienka szczelnie zasłonięte.*

**Głos z głębi pomieszczenia:** Mein Name ist... (*Nazywam się...*)

**Chórek:** Majn Name yst.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Guten morgen. (*Dzień dobry.*)

**Chórek:** Gu-ten mor-gen.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Asyl. (*Azyl.*)

**Chórek:** Ayzzl.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Gut. (*Dobrze.*)

**Chórek:** Gut.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Ich will arbeiten. (*Ja chcę pracować.*)

**Chórek:** Ysz wyl arbajten.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Ich nehme jede Arbeit an. (*Biorę każdą pracę.*)

**Chórek:** Isz neme jede arbajt an.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Ich kann Schnee weg machen. (*Potrafię odśnieżać.*)

**Chórek:** Isz kan szne gut rojmen.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Ich suche Arbeit. (*Szukam pracy.*)

**Chórek:** Isz such arb-ajt.

**Głos z głębi pomieszczenia:** Du hast da nichts zu suchen! (*Nie masz tu nic do szukania!*)

*Rozbrzmiewa dzwonienie z telefonu komórkowego, przeraźliwe w formie, ale ciche.*

**Głos z głębi pomieszczenia:** Feierabend. Fajrant. I ticho byti. (*Starczy tych fajek, tego kręcenia na dziś.*)  
*Szuranie krzesłami, oddychanie z ulgą, kroki.*

## Epizod 2

*Jan otwiera drzwi hotelu, wychyla głowę na zewnątrz. Słyszcć rumor samochodów. Jan zamyka drzwi i otrząsa się z zimna. Nagle dobiega go odgłos ostrego hamowania, a po nim głucho uderzenie. Chce zawrócić, zobaczyć, co się stało, ale dzwoni telefon stacjonarny przy okienku recepcji, więc biegnie szybko w półmroku ku ladzie, uderza po klawiszach aparatu telefonicznego, włącza się głośnie mówienie i zapala światło.*

**Jan:** Guten Morgen. Hotel in Frankfurt-Oder-Słubice. Mein Name ist Marszałek. Wie kann ich behilflich sein? (*Dzień dobry. Hotel in Frankfurt-Oder-Dammvorstadt-Slubice. Moje nazwisko Jan Marszałek. W czym mogę pomóc?*)

*W telefonie głos kobiety, mówi po niemiecku, polskie nazwiska wypowiada dość dobrze.*

**Kobieta:** Hotel „Polonia”?

**Jan:** Ja. Bitte. Guten Morgen. (*Tak. Proszę. Dzień dobry.*)

**Kobieta:** Ich haette gern Herr Mickiewicz gesprochen. (*Chciałabym rozmawiać z panem Mickiewiczem.*)

**Jan:** Ja, aber wer sind Sie, bitte? (*Tak, ale kim pani jest, proszę?*)

**Kobieta:** Entschuldigung. Guten Morgen. Mein Name ist Bogumila Beka. Und der Herr Mickiewicz ist mein Vater. (*Przepraszam. Dzień dobry. Nazywam się Bogumila Beka. A ten pan Mickiewicz jest moim ojcem.*)

**Jan:** Ach, so. (*Ach, to tak.*)

*Jan widzi, że uchylają się drzwi wejściowe; ktoś wrzuca do środka nieżywego, czarnego kota. Jan robi zdziwioną minę, ale nie przerywa rozmowy i szybko dodaje:*

**Jan:** Sprechen Sie auch polnisch vielleicht? (*Mówi pani może także po polsku?*)

**Kobieta:** Ja, tak. Trochę.

**Jan:** Świetnie. Pani Bogusiu. Tak, pani ojciec jest naszym gościem. Byłem rano u niego zanieść mu śniadanie, bowiem nie może o własnych siłach wstać z łóżka. Ma bóle w krzyżu.

*Kobieta mówi po polsku, z mocnym akcentem niemieckim:*

**Kobieta:** W kszysz-zu? Po niemiecku Bandscheibenvorfall. Nie wiem jak po polsku. Jestem lekarz. Rozumiem duszo.

**Jan:** Świetnie się składa. Telepatia, więzy uczuciowe. Może pani zaraz coś doradzi ojcu przez telefon. Ach, stop. Aparat telefoniczny w ich pokoju jest na biurku, daleko od łóżka.

**Kobieta:** Mieszka nie sam w pokoju?

**Jan:** Przyjechał z przyjacielem, który już poszedł za swoimi sprawami.

**Kobieta:** Z przyjacielem?

**Jan:** Znaczy z kolegą przyjechał, nie przyjacielem.

**Kobieta:** Z nieprzyjacielem?

**Jan:** Nie. Z kolegą. Zwykłym kolegą, do pomocy. Mają osobne łóżka.

**Kobieta:** Rozumiem.

**Jan:** Co w tej sytuacji robimy.

**Kobieta:** Proszę powiedzieć, sze córka dzwoniła. Nie! Nie, tak. Proszę tak: dzwoniła Bogusia. Stoimy w... Nie, nie tak! Stoi w kolejce aut przed granica i chce się spotkać.

**Jan:** Co mam mu powiedzieć?

**Kobieta:** Dzwoniła Bogusia. Stoi w kolejce do granica. Czy chce się spotkać? Nie! Czy się spotka? Zapamiętał pan? Niech pan powtarza.

*Jan zachnął się, ale powtarza:*

**Jan:** Dzwoniła Bogusia. Stoją przed granicą, bardzo długa kolejka. Chce się spotkać.

**Kobieta:** Nein! Nie tak. Czy mosze sie z nami spotykać?

**Jan:** Czy on może się spotkać?

**Kobieta:** Nie.

**Jan:** Czy ona?

**Kobieta:** Nie. Wystarczy, że pan powie czy może się spotkać.

**Jan:** Czy może się spotkać?

**Kobieta:** Bardzo dobrze. Wszystko jasne? Zatelefonujemy później. Do usłyszenia.

**Jan:** Do widzenia.

*Rozlega się sygnał przerwania połączenia. Jan odkłada słuchawkę, mówiąc do siebie:*

**Jan:** Alles klar. Keiner weiss Bescheid, aber alle machen mit. (*Wszystko jasne. Nikt nic nie wie, ale wszyscy robią to, co inni.*)

*Jan podchodzi do drzwi wejściowych, bierze za ogon nieżywego kota, na którego pysku jest świeża krew, zastanawia się i niesie go do kuchni. Znowu dzwoni telefon.*

**Jan:** Guten Morgen. Hotel in Frankfurt-Oder-Słubice. Mein Name ist Marszałek. Was kann ich tun?

Tym razem męski głos w telefonie:

**Mężczyzna:** Hotel „Polonia”?

**Jan:** Ja. Jan Marszałek przy aparacie.

**Mężczyzna:** Mam dla pana propozycję sprzedaży..

**Jan:** Nie potrafi pan porządnie się przywitać? Nie ma pan nazwiska? Co to za zwyczaj w tym kraju? Wieczna konspiracja! Do jasnej cholery. Skoro wstydzi się pan swojego nazwiska, to niech je pan zmieni!

Rzuca słuchawkę i włącza radio.

**Radio:** Dziś sobota, 13 grudnia roku 2003. Rocznicą wprowadzenia stanu wojennego w komunistycznej Polsce. Jest zimno, jak wtedy, tak samo było w ów mroźny poranek 13 grudnia roku 1981. Uzbrojeni po zęby...

*Jan puka się w głowę, wyłącza radio i idzie na schody. Wtem rozlega się krótki dzwonek u drzwi głównych, ktoś uchyla je i wrzuca do środka miękką paczkę.*

### Epizod 3

*Jan zbiega po schodach, podnosi paczkę, rozrywa opakowanie. Wpada Pola.*

**Jan:** Dzień dobry, mój skowronku. Szybko się obrobiłaś.

**Pola:** Śnieg, zimno, cicho i spokojnie. Niemców na rynku tyle, co na lekarstwo. Kamele wypytują koleżków, jaka grupa celników na granicy, czy zabierają fajki, gdy masz więcej? Kolejka aut na naszej stronie niezbyt długa. Ale po tamtej stoją już na samej górze.

**Jan:** Sobota, czas na tanie tankowanie i zakupy.

**Pola:** Tak jest. Jasne. Pytania uzupełniające, obywatelu kapitanie?

**Jan:** Spoczniczcie, obywatelko aktorko ze spalonego teatru.

**Pola:** Według rozkazu, obywatelu kapitanie ze spalonego komitetu partii.

*Śmieją się. Jan otwiera paczkę.*

**Pola:** Słyszałam, że telefon dzwonił, gdy przed drzwiami rozmawiałam z tym miłym młodzieńcem z poczty.

**Jan:** Spoglądał tobie głęboko w oczy i prawił ciepłutkie słówka?

**Pola:** Wyobraź sobie, że tak.

**Jan:** On ma zdaje się kompleks mamusi, potrzebuje przytulaniek odstawionych na progu dorosłości oraz ochotę na więcej.

**Pola:** Myślisz, że chciałby uprawiać ze mną seks?

**Jan:** Jestem tego pewien.

**Pola:** Przecież wie, że mam ciebie.

**Jan:** Natura nakazuje młodym byczkom rywalizować ze starymi. Im wydaje się, że taki stary, jak ja, seksu już nie uprawia. Po części prawda, ja faktycznie seksu nie uprawiam.

**Pola:** Jak to?

**Jan:** Uprawianie, uprawa to czynność dająca namacalny efekt. Ziemię się uprawia, orze ją, by mieć ziemio-plody. Zwierzęta uprawiają seks, bo ich celem jest spółdzenie potomka. Zero erotyki. Widziałas byka smok-tającego wymiona krowy lub krówkę zadawalającą swego byka oralnie?

**Pola:** Były prezydent USA też nie miał seksu ze stażystką.

**Jan:** Doskonały przykład. Ich sąd najwyższy potwierdził mniemanie tego saksofonisty. Bill i Monika nie uprawiali seksu: praktyki oralne, całuski to nie jest seks.

**Pola:** Za młodu jednak uprawiałeś seks i to z byle z kim i byle gdzie.

*Jan uśmiecha się.*

**Jan:** Kochanie, nie uprawiałem, a praktykowałem, trenowałem, dla wprawy, swojego zadowolenia, iście sportowo. Wiesz, gdzie młodzież chętnie ćwiczy?

**Pola:** Ze mną masz seks, ale go nie uprawiasz?

**Jan:** Tak, cudowny seks, ale go nie uprawiam. Ja go celebruję. Celebruję od pierwszego razu, od czasu, gdy ciebie poznałem. Czy wolałabyś, bym cię orał?

*Pola śmieje się i odpowiada przekornie:*

**Pola:** Czasami. Ale miło mi. Kto dzwonił?

**Jan:** Jakiś pośrednik. Narobiła się ich cała kupa, w najbrzydszym znaczeniu tego słowa. Typowy cwaniaczek bez nazwiska.

**Pola:** Czego chciał ten nasz pan reżyser? Widziałam go z daleka, jak zamykał drzwi, wsiadał do samochodu i szybko odjechał. Przygadateś mu co?

**Jan:** Aaa, to był on. Nie. Skądże. Nie, nawet nie wszedł nawet do środka.

**Pola:** Co to przyszło?

**Jan:** Flaga Unii Europejskiej. Wreszcie przystali. Zapotrzebowanie ponoć ogromne i nieustające. Czeka się długo i jest drogo.

**Pola:** Nie mogłeś gdzie indziej zamówić?

**Jan:** Chciałem, ale uprzedzili mnie, że mają wyłączność.

**Pola:** Ciekawe, jak to sobie załatwili?

**Jan:** Spytał brata. Działal w „Solidarności”. Musi dobrze wiedzieć, skoro załatwił sobie licencję na import śmieci z Niemiec. Chodzi im o bezpieczeństwo śmieciowe naszego kraju?

**Pola:** Coś taki zgryźliwy?

**Jan:** To chyba ta polityka, to ich szczucie od samego rana mi się udziela.

**Pola:** Tę flagę trzeba wyprasować. Strasznie pognieciona. Wygląda, jakby ktoś ją psu z gardła wyrwał.

**Jan:** Właśnie zamierzam to zrobić. Co kupiłeś?

**Pola:** PRL-owskie bułki.

**Jan:** Jakie?

**Pola:** Takie, co piekli za komuny. Nowy sklep powstał.

**Jan:** Przemysł pada lub idzie za grosze do obcych. Wokół handel pokątny, pośrednicy. Prawica rozdaje majątek narodowy, eksportuje siłę roboczą i mięso armatnie. Polacy budują obce państwa. Co solidnego zbudowano w tym kraju po komunie? Kilka przeszklonych wiat?

*Pola nie słucha go.*

**Pola:** Kupiłam te bułki, bo przy śniadaniu ten gość kwękał, że za takie wydmuszki, w królewskich czasach, piekarza chłostał publicznie. U nich, w Poznaniu, na rynku stoi jeszcze taki pręgierz.

**Jan:** Nie tylko w Poznaniu. Polecam jemu ten w Bytomiu Odrzańskim.

**Pola:** Pobiegłam więc zaraz do tej nowej piekarni. Jeden coś palnie i zaraz inni zazniają truć. Czepią się nas znowu, że my to komuchy, że oszukują, że tanie pieczywko.

**Jan:** Już raz jeden, w telewizji nazwał mnie komuchem. Dzwonił potem, pytał, czy nie ma racji, bo dostał cynk, że nie netutejszy, że Szczecina. Skąd mam kasę na taki hotel?

**Pola:** Bezczelny. Strzela podejrzeniami i ty tłumacz się. Samozwańczy pismak. Dziennikarzem śledczym każdy może się nazwać. Gadał tak samo, jak ten urzędas. Te same słowa.

Pola zaczyna naśladować tamtego:

Ten hotel chcesz pan nazywać „Marszałek”? Jaki marszałek? Ten ruski, którego żołdacy sforsowali Odrę? Czy Spychalski, ten PRL-owski minister obrony? Nie lepiej od razu marszałek Piłsudski? Hotel „Marszałek Józef Piłsudski”. Bardzo dobra nazwa byłaby. Tu przy Odrze. Na przestrożę Niemcom. Nazwij go, pan, tak i jest zgoda. Zrehabilitujesz się, pan, trochę za wysługiwanie się komuchom.

Pola zmienia ton głosu na swój naturalny.

Ty mu mówisz: ten hotel zbyt marny na taką pompatyczną nazwę. I po co drażnić Niemców. Oni znowu w 20 lat stali się potęgą gospodarczą i militarną. Nazwa neutralna jest lepsza. Polska też powinna teraz być neutralna, razem ze Szwecją i Austrią oraz byłymi demoludami powinna utworzyć bufor między Wschodem a Zachodem. Znowu pchamy się do gipsu. Owszem Piłsudski tu był.

*Pola zmienia ton głosu:*

Nasz bohater narodowy, marszałek Józef Piłsudski był tutaj? Nic mi nie wiadomo.

*Pola znowu zmienia ton głosu:*

Był, przejazdem. Z niemiecką obstawą wojskową. Dowodził nimi Harry von Kessler, dyplomata. Ten facet pertraktował z Piłsudskim w więzieniu pod Magdeburgiem, by powstała Polska, zaporą dla Armii Czerwonej, która niechybnie planuje marsz na Zachód.

*Pola znowu zmienia ton głosu.*

Pertraktował? Co to znaczy pertraktował?

*Pola znowu zmienia ton głosu:*

Pertraktować znaczy chcieć zyskać coś za coś.

*Pola zmienia ton głosu, tym razem na swój, normalny:*

Ten facio dostał iście białej gorączki. Brzuch mu się trząsał, wydarł się.

Pola znowu zmienia ton głosu:

Skąd ty to wiesz?! Komunistyczna propaganda! Ja waszą czerwoną sitwę załatwię. Skąd masz kasę? Kim byłeś w tym wojsku? Historykiem?

*Pola znowu zmienia ton głosu na swój, normalny.*

**Jan:** Zgadza się. Ty masz pamięć. Ten urzędas miał alergię na czerwone.

**Pola:** Tydzień później wynieśli go z krzaków. Ludzie widzieli: zataczał się pijany, wpadł w zarośla i z nich już nie wyszedł. Pisali, że robota ubowców, a pokątnie gadano, że to robota mafii.

**Jan:** Właśnie...

**Pola:** Ten drugi gość był już na śniadaniu?

**Jan:** Zaniostem mu je do pokoju i pomogłem wstać z łóżka. Cały obolały. Problemy z kręgosłupem. W rajchu jeździł autem po 80 tysięcy kilometrów rocznie.

**Pola:** Narobił się. Dzieci wykształcił. Teraz choroby i bidę ma.

**Jan:** Właśnie. Choroby i rentę taką, że musiał wrócić do Polski. Płacił niskie składki, bo z początku każdy fe-nig był potrzebny, to teraz mała renta.

**Pola:** Przyjechał do nas kurować swoje boleści?

**Jan:** Ma spotkać się ze swoją córką, z Niemiec. Ona jeszcze po tamtej stronie, stoją w kolejce przed granicą. Jakieś nienormalne mi to.

**Pola:** Co w tym nienormalnego? Kolejka? Za mało mostów do Europy?

**Jan:** Że spotyka się w hotelu ze swoją córką.

**Pola:** Nienormalne byłoby, gdyby spotykał się w hotelu z cudzą córką.

*Jan śmieje się.*

**Jan:** Racja. Cudze córki najbardziej kręcą facetów. Większość chce mieć seks z młodą i ładną, w wieku córki lub jeszcze młodszą. To zakrawa mi na pedofilię. Wierutna pedofilia!

**Pola:** Zapominał wół? Ty zakochałeś się we mnie, choć jestem od ciebie dużo młodsza.

**Jan:** Byłaś i jesteś o niejeden roczek młodsza oraz bardzo miła.

**Pola:** Zakochałeś się jednak na sam mój widok.

**Jan:** Nie tylko. Ty wykazałaś się charakterem, okazałaś się być bardzo odważna.

**Pola:** Odważna? Niby dlaczego?

*Jan z rozrzewnieniem:*

**Jan:** Mam ten obraz przed oczami. Wchodzę na salę restauracji „Bajka”. Światła gasną, orkiestra milknie, by zaraz zagrać tusz, bo oto zbliża się hit, najciekawszy punkt programu estradowego. Sensacja w PRL-u lat siedemdziesiątych! Dzisiaj nie do pomyslenia. Oczy wszystkich gachów, kobiet też, skierowane na scenę, podążają za światłem reflektora. Wtem zatrzymał się, kogoś zauważył, ktoś tu jest. Wraca powoli. Jest! Jest naga kobieta. Naprawdę, zupełnie goła? Nie ma nic na sobie? Kuli się więc, osłania i ucieka. On za nią. Ona rusza w tany. Śliczna i ślicznie tańczy. Pomyślałem wtedy: ta dziewczyna jest bardzo odważna. Ona odsłania piersi, jak Rejtan i wolność na barykadzie? Rozebrał się kiedy publicznie jakiś nasz polityk do naga? Ci mają wiecznie coś do ukrycia...

*Pola ociera łezkę.*

**Pola:** Upięszasz. Aż tak nie było. W gimnazjum chodziłam na lekcje baletu. Występy miałam nie tylko w „Kaskadzie” i w „Bajce”. We wszystkich teatrach mnie wtedy chcieli. Lecz wszędzie tylko jedna rola: se-blykanie się na scenie, gdy ja chciałam więcej, bardzo chciałam być aktorką.

**Jan:** Niestety, tak wyszło. Dobrze, że pomagałaś charakteryzatorce. Przydaje się teraz... „Kaskada” była bardzo pięknym lokalem: dwie sale, jedna na górze, drugą pod nią, a w sufity-podłodze orkiestra grająca dla wszystkich.

**Pola:** Piękne szybko się kończy. „Kaskada” spaliła się, ciebie wylali z wojska, mnie z pracy i koniec naszej bajki. Wylądowaliśmy tutaj, bo nam nadarzyła się okazja na biznes, jeden kupił i szybko oraz tanio nam sprzedał i wyjechał... Dobra, zamykaj drzwi. Gadanie o przeszłości nic nam nie da. Dzisiaj jest sobota, nikt nie przyjedzie. Flagę wyprasujemy jutro.

**W domu Emily**

Widzę cię zamyśloną przy oknie  
W białej sukni z kwiatami we włosach  
Na czereśniowym stoliku lampa oliwna  
Świeci i budzą się słowa z nocnego snu

Niedługo słońce wejdzie nad Amherst  
Wiewiórka wieści przyniesie nowe  
W pokoju na piętrze zaskrzypią drzwi  
I wierny pies Carlo zamerda ogonem

A wiersze w kuferku zamknięte na klucz  
Wzlatują już ku odległym brzegom  
Lecz nie wie o tym prawie nikt  
Ten sam nikt od pokoleń

Amherst, Massachusetts, 17 sierpnia 2023

**Zima**

białość i lekkość  
zimowych tancerek  
zagląda do moich okien  
w niedzielny poranek

roześmiane baletnice  
przywołują wspomnienia

wędruję z Mamą  
srebrne sanki płyną powoli  
w gęstym puchu

na śniegu  
jeszcze świeże ślady  
niczym białe kołyski  
w których baletnice  
układają się do snu



**Romans**

mój romans z gwiazdami  
zaczął się minionej nocy

na nic się zdał protest  
przyziemności

kto raz wleciał ku gwiazdom  
jest uwiedziony na zawsze  
i bez wzajemności

# Moje imię zaczyna się na K

(fragment)

## Prolog

Stukot jej krwistoczerwonych szpilek rozbrzmiewał jednostajnym rytmem wśród wszechobecnego paryskiego zgiełku. Kroczyła przed siebie na tyle dumnie, na ile była w stanie. Mogła pojechać metrem, a teraz zapomniała już o powodzie, dla którego nie wybrała tej opcji. Wody Sekwany uderzały o wybetonowane brzegi, niosąc ze sobą przyjemny powiew bryzy.

Chyba powinna zająć się pisaniem. Tak, powinna wykrzesać z siebie na papier choć odrobinę treści. Tylko od czego miała zacząć? Może od tego mężczyzny, który właśnie siłował się z rowerem przypiętym do drzewa kilkanaście metrów od niej? Mogłaby mu przypisać jakąś historię, w całości zapewne nieprawdziwą, lecz pełną nadziei i pasji. Mogłaby uznać, że spieszy mu się niezmiernie i jak na złość, nie może sobie poradzić z odpięciem kłódki. Może jego żona cierpi katusze z powodu jakiejś nieznannej choroby, a on heroicznie przemierza rowerem zaułki paryskie w poszukiwaniu starej zielarki, co powiadają, że leczy dotykami. I ta zielarka, być może, mogłaby być Bożą personifikacją, choć schowana w ciasnej klitce pod rzędem schodów. Mężczyzna w wichurze i deszczu pędziłby chodnikiem wzdłuż rzeki na pomoc swej lubej, z bezradności roniąc tży mieszające się z kroplami z nieboskłonu, uderzającymi w niego z siłą tysiąca pięści. Kobieta zaś, leżąc na wznak ledwo dychając, modliłaby się przerażona do Boga o ratunek i zbawienie dla małżonka, co to poświęcał swe zdrowie i życie dla jej dobra wyłącznie. A uczucia jej tak silne, towarzyszące składanym modłom wzmagająby ich moc nawet stukrotnie. I wtedy, nagle, niespodziewany zwrot akcji. Błagania dotarłyby do adresata niezwłocznie, prosto do ucha malutkiej staruszki zamieszkującej ciasną klitkę pod rzędem skrzypiących schodów. Powiadało się o niej, że leczyć potrafiła dotykiem za ledwie opuszką małego palca.

Jednak facet wyprostował się raptownie, odrzucił w bok kłódkę i z uśmiechem pełnym samozadowolenia spoglądał na rower, jak gdyby to była wielka nagroda wygrana na loterii po dziesięcioleciach co ponieśliżkowej żłudnej wiary w moc zdrapka Lotto. Po chwili dopiero dziewczyna dostrzegła staruszkę, usiłującego nieudolnie dobiec w to samo miejsce. Niestety stare kości nie pozwalały mu nawet na trucht, przez co jedynie szedł krokiem z lekka przyspieszonym, wołając coś w eter. Słowa wylatywały z jego ust, lecz wiatr rabował je całkowicie z sensu. Odlatywał on gdzieś w korony przydrożnych platanów i zostawał tam, gdzie usłyszeć go mogły jedynie ptaki. I ewentualnie dachowy kot.

Dopiero gdy człowiek z kłódką, a raczej już bez, wsiadł na rower i odjechał w pośpiechu z prędkością nie gorszą niż maratończyk Tour de France, zrozumiała, że sprzęt ten wcale nie należał do niego. Krępy staruszek przystanął zziębnięty pod drzewem, opierając dłoń o pień, o który jeszcze kilka chwil wcześniej stała oparta jego własność. Nie była pewna, czy urojenia przejęły kontrolę nad jej umysłem, czy kiedy wstąpiła, naprawdę dostrzegła szklące jego oczy tży. Stał tak dobrych kilka chwil, a jej zrobiło się go tak niesamowicie żal, że niemal zapłakała. A może to też jej się tylko wydawało? Bo może ten człowiek sam był złodziejem, albo zwyczajnie złym człowiekiem i spotkała go zasłużona kara? Ale może on teraz nie mógł udać się czym prędzej do malutkiej zielarki zamieszkującej ciasną klitkę pod rzędem schodów, o której się mówiło, że leczy dotykiem, żeby pomóc zonie cierpiącej katusze? A może wcale tak nie było.

I być może, ale tylko może, nie powinna zwracać na niego uwagi i jak każdy inny przechodzień ostentacyjnie zignorować dziejącą się na jej oczach tragedię ludzką, minąć biedaka obojętnie i zapomnieć po pięciu minutach całkowicie o jego istnieniu. Tylko czy byłaby w stanie to zrobić? Nim sama rozpoczęła w ogóle rozmyślanie na ten temat, jej nogi jakby usłyszały wewnętrzne rozterki i same podjęły nieodwracalną decyzję, że należy ją stamtąd niezwłocznie zabrać. I tak właśnie zostawiła staruszka samego, nie oferując ani pomocnej dłoni, ani nawet opuszka małego palca. A kiedy tylko ten zniknął jej z oczu, razem z nim w jej pamięci rozplynęły się wymyślone na jego temat historie. Nim zdążyła wyjąć z torebki notes i zapisać choć skrawek pomysłu, uleciał on cały z wiatrem, lądując gdzieś między koronami platanów, wśród nie-mych krzyków, z dala od ludzkich uszu.

\*\*\*

Styczeniowe powietrze wydawało się szczypać mrozem jej policzki i uszy, choć temperatura nie spadała tu przecież poniżej zera. O mało nie zapomniała, dokąd zmierzała, kiedy wspinając się po schodach, oddalając się coraz bardziej od tajemniczego klimatu rzeki. Mimo że znajdowała się w samym środku wielkiego miasta, miała wrażenie, że kryły się tam tysiące sekretów, pochowanych między falami jak w katakumbach. Niedostrzeganych przez nikogo, lecz czasem częściowo wyciąganych na powierzchnię przez ciekawskie oczy. Coś w wodach Sekwany zdawało się do niej przemawiać niezrozumiałym szeptem.

Jednak odgoniła te myśli, otulając się szczelniej futrem i przyspieszając kroku. Było już prawie południe, musiała się pospieszyć. Doszła do wniosku, że nie ważne jak szybko pobiegnie, nie zdąży na czas. Nie miała również ochoty na niszczenie nowych szpilek, toteż odnalazła najbliższą miejską hulajnogę. Urządzenie zagrało skoczną melodyjkę, kiedy włączyła aplikację. Po chwili przemierzała już Rue de l'Université z trzy razy szybszą prędkością. Czowała się jak żywa reklama firmy Lime, gdy mijając turystów wjeżdżała na jezdnię. Nie potrafiła zrozumieć, kto z własnej woli odwiedzał Paryż zimą. Uważała to za całkowite marnotrawstwo pieniędzy, bo o tej porze roku miasto kusiło bardziej do samobójstwa niż zwiedzania malowniczych krajobrazów. Choć może tylko ona odnosiła takie wrażenie.

W końcu dotarła na miejsce trzy minuty przed dwunastą. Zaparkowała hulajnogę i przytruchtała pod wejście do kamienicy tuż obok Panteonu. Ogromna budowla wydawała się spoglądać na nią oceniająco i z politowaniem, kiedy przemierzała okalający ją plac. Mogła pokusić się o stwierdzenie, że było to jedno z jej ulubionych miejsc i właśnie rozmiary Panteonu budziły w niej dziwny spokój. Gdy siadywała na kamiennych ławkach, całkowicie skąpana w cieniu rzucanym nań przez te niebotycznie wysokie ściany, mogła poczuć, że jej małe życie porównywalne do jej ogólnej maleńkości widocznej w tym miejscu, wcale nie było aż tak poważne. Przechadzała się tam, żeby przypomnieć sobie o tym, jak bardzo nieznacząca była jej egzystencja. Jak szybko przeminie i popadnie w zapomnienie oraz jak bardzo każde jedno z jej zmarłych nie miało najmniejszego znaczenia. Mogłoby się to wydawać komuś tragicznie przykre, ale jej nie trapiły te myśli. Nikogo nie informowała o powodach swojego specyficznego uwielbienia do mauzoleum. I może dlatego właśnie plac ten zawsze pełen ludzi wydawał się jej paradoksalnie miejscem prywatnym. W jej odczuciu budynek rozpościerał nad nią niewidzialne dłonie chroniące ją przed całym złem tego świata i uśmiechał się doń przyjaźnie za każdym razem, gdy jej stopa stawała na Rue Cujas.

Wyobrażała sobie wtedy, że razem z nią kroczyli tamtędy jedni z najwybitniejszych pisarzy świata. W zależności od samopoczucia były to przeróżne osoby. Dostojewski, Sylvia Plath, Virginia Woolf, Camus czy Jane Austen. Przechadzali się wraz z nią, bez celu. Panteon był jedynym miejscem, które pozwalało jej poczuć choć ćwierć grama przynależności do społeczności, w której tak bardzo pragnęła dostać stałe członkostwo. Tego dnia budynek nie rzucał jednak bezpiecznego cienia na plac, słońce nie oświetlało jego strzelistej kopuły, a spokój wyparował jakby bezpowrotnie. Wolała nie dać tej myśli rozgościć się w jej umyśle na dobre. Gdyby było to gdziekolwiek indziej, nie przejęłaby się zbytnio. Ale tutaj? Panteon nie mógł stracić dla niej

swego uroku, co by się nie działo. A przecież nie działo się nic. Dla niej jednak właśnie miejsce miała śmiertelna rozgrywka o jej żywot. Tego dnia utożsamiała się jak nigdy z Franzem Kafką, tak jak niegdyś on pragnęła spalić wszystkie swoje prace i nie pokazać ich nigdy na światło dzienne. Jednak kroczyła przez plac sama. I nawet przypadkowi ludzie, którzy zwykle zasiadali na ławkach lub błądzili po placu, gdzieś zniknęli. Jakby budynek wiedział, do czego miało dojść, i postanowił ukarać ją zupełną samotnością. Ona zaś nie potrafiła zdecydować, czy ją to bardziej cieszyło czy dobijało. Bo w końcu jej porażka miała nie mieć publiki.

Przystanęła dokładnie pod wejściem. Drzwi biblioteki wydawały się prychać na nią z pogardą. Malowane na granatowo drewno pachniało jeszcze z lekka farbą, choć od malowania minęło już kilka tygodni. Wejście od strony Place du Panthéon było niepozorne jak na tak dostoyny przybytek. Nie dekorowały go żadne zdobienia czy znaki. Jedyne niezbyt wyróżniające się gzymsy odejmowały mu – według niej – brutalizmu, choć właściwym stylem architektonicznym był tam neorenesans. Zwyczajne, chociaż dość spore, drzwi tkwiły jak każde inne w ścianie, sąsiadujące z nimi okna posiadały swoich bliźniaków wpuszczających do korytarzy światło dzienne co kilka metrów. Po nienaturalnie głębokim wdechu odważyła się nacisnąć klamkę.

Ciężko było jej samej sobie wyjaśnić, co spodziewała się zastać w środku. Tłum szyderców wyśmiewających ją wniebogłoty? Ochroniarza, który nieomylnie zwęszył podstęp, proszącego ją niezbyt uprzejmie o opuszczenie placówki? Własną zawiedzioną na każdej możliwej płaszczyźnie matkę? Nie była pewna, czy jeszcze pamiętała jej twarz. I nie była też pewna, czy było jej z tego powodu choć trochę przykro.

Ale za drzwiami nie powitała jej ani jedna, bynajmniej żywa, dusza. Nie pozostało jej nic jak westchnąć ze zrezygnowaniem i ruszyć przed siebie w kierunku sali owalnej. Im dalej zapuszczała się w głąb biblioteki, tym wydawała jej się mroczniejsza. Było to nieco niepokojące, bo przecież nieraz już odwiedzała to miejsce. Przekonywała się uparcie, że koniecznie musi zjawić się na ogłoszeniu wyników, i że nic, ale to absolutnie nic jej przed tym nie powstrzyma. Nawet ona sama.

W końcu odnalazła odpowiednie pomieszczenie. Weszła po cichu, starając się zwracać na siebie jak najmniejszą ilość uwagi i usiadła prawie na samym tyle. Rozległe owalne sklepienie było na samym szczycie przeszklone grubymi szybami, które teraz pozwalały tłumionym przez chmury promieniom minimalnie przynajmniej rozświetlić stojące pośrodku drewniane stoły. Pod ścianami ustawiono obszerne regały, po brzegi wypełnione różnego rodzaju książkami, z których każdą zdobiła elegancka skórzana oprawa. Sala sama w sobie szczyła się okazałymi rozmiarami, jednak większość miejsca zajmowały podłużne ławy, ustawione rzędami sięgającymi od ściany do ściany. Przed dziewczyną siedziało kilka innych osób, wszyscy rozsypani po siedzeniach jak rozrzucone przez niesforne dziecko zabawki. Uczestnicy wciąż się schodzili, co chwilę do pomieszczenia wchodziła nowa, obca twarz. Każdy kierował się do przodu, siadając jak najbliżej prowizorycznej sceny. W rzeczywistości był to zwyczajnie skrawek podłogi, gdzie odsunięto ławki, żeby zrobić miejsce dla kobiety ogłaszającej wyniki. Minuty mijały, jednak ta wciąż stała odwrócona do publiczności bokiem i rozmawiając z jakimś mężczyzną, żywo gestykulowała. W jednej dłoni trzymała drewnianą tabliczkę z przyklejonymi doń kartkami papieru. Najprawdopodobniej były to wyniki, które lada moment miała ogłosić wszem i wobec.

Dziewczyna w tym czasie pogrążyła się całkowicie we własnych myślach. Wpatrywała się tępo w rządzącą zieleń bibliotecznego lampki stojącej na jej stole. Taki sam klosz zdobił każde miejsce. Kiedy stary zegar ścienny wybił dwunastą piętnaście, wyrwała się jak oparzona z letargu, a jej głowa poszybowała w górę. Ubrana w krwistoczerwoną suknię dama prezentowała się niezwykle dostojnie. Przeszło jej przez myśl, że nawet zbyt dostojnie jak na taką uroczystość. Jej gęste, ciemnobrązowe włosy spływały kaskadami na odkryte ramiona i plecy, okalając idealnie szczupłą twarz.

– Witam państwa serdecznie! Mamy dziś zaszczyt ogłoszenia zwycięzców naszego rocznego konkursu literackiego – rozbrzmiał dźwięczny głos wydobywający się z pomalowanych koralową szminką ust. Makijaż ten nijak nie pasował do reszty jej prezencji.

Kobieta przez kilka minut zachwalała organizatorów oraz fundatorów przedsięwzięcia, później opowiadała jeszcze coś o historii biblioteki, ale dziewczyna niespecjalnie wsłuchiwała się w jej słowa.

– Dobrze, a teraz, bez zbędnego przedłużania, witam wszystkich uczestników naszego konkursu i zapraszam na ogłoszenie zwycięzców! – Dotarło w końcu do jej uszu, gdy już myślała, że przemówienie będzie trwać do jutra.

Publika widocznie się ożywiła, wszyscy wyprostowali się na swoich krzesłach, pochylając się nieznacznie w stronę mówiącej. Zaczęto odczytywać poszczególne kategorie. Poezja, dramat. Padały różne nazwiska i ludzie z różnych kątów sali wstawali podekscytowani na nogi, podchodzili pospiesznie, żeby odebrać upominkową nagrodę i serdeczne gratulacje oraz dyplomy. Ona zaś siedziała ukryta w tyle, schowana w cieniu rzucanym przez jeden z niebotycznie wysokich regałów. Miała nieodpartą nadzieję, że któraś z leżących na nim książek dostanie nóg i postawi dwa kroki w przód, wychyli się poza krawędź półki z głośnym hukem spadnie idealnie na jej głowę. A w ślad za nią pójdą kolejne, aż regał całkiem opustoszeje, a ona zniknie zakopana pod stertą nikogo zapewne nieinteresujących, zapomnianych przez świat dzieł. Jednak to się nie stało.

– Proza! – krzyknęła zamiast tego prowadząca, wypalając jej tym samym dziury w bębenkach usznych. Jej głos już wcale nie wydawał się melodyjny, raczej rżęący i skrzeczący niczym cherlanie chorej na ptaśnią grypę mewy.

– Nicolette Rouanet! – oznajmiła.

W tym samym momencie malutka blondynka w długim beżowym płaszczu i białej koszuli, która siedziała stosunkowo niedaleko, wstała i potruchtała podekscytowana do przodu. Z niedowierzaniem słuchała składanych w jej stronę braw i gratulacji, kiwając co chwilę głową.

Kiedy w końcu usiadła na jednym z pobliskich krzesel, a kobieta w czerwieni rozpoczęła podziękowania, Karmen przełknęła ciężko ślinę i zaczęła gorączkowo rozglądać się po sali. Inni uczestnicy powoli zbierali się do wyjścia, wstawali ze swoich miejsc, ściągali z oparc kurtki i płaszcze. Ona jednak trwała w zawieszonym, w jakimś nagłym przypiływie niemożności poruszenia się choćby o centymetr. Była w stanie jedynie obserwować pozostałych, jakby ją złapał jakiś uporczywy paraliż i nie chciał puścić. Blondynka uśmiechnięta od ucha do ucha i wyraźnie z siebie dumna przechodziła w pobliżu skoczny krok. Samozadowolenie aż wypływało przez pory jej skóry. Karmen poczuła w brzuchu znajome uczucie zazdrości. W jakim celu właściwie tam przyszła? Żeby się dobić własną porażką i przypomnieć sobie, jak bardzo jej w życiu nie wychodziło? Nie potrafiła przestać się jej przyglądać i musiała przybrać bardzo nietęgą minę, bo gdy Nicolette mimochodem zerknęła w jej kierunku, skrzywiła się momentalnie lekko speszona. I to podziało na Karmen jak kubeł lodowato zimnej wody. Blondynka opuściła salę, a ona jakby bez udziału świadomości wstała i zaczęła zakładać na ramiona futro. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie miała nawet najbardziej błahego powodu, żeby mieć nieznaną cokolwiek za złe. Miałyby prawo do zazdrości, gdyby choćby pokusiła się o nadeślanie swojej pracy. Gdyby miała tyle odwagi, żeby wystartować. Ale nie miała. To było jak przygotowanie na koszmar. Gdyby kiedyś odważyła się wysłać swoją pracę, co miało nikłe szanse na powodzenie, musiała być przygotowana na przegraną. Na swój najgorszy lęk. Sposób, który wybrała, chyba nie najlepiej to odzwierciedlał.

**retro**

piszę z panią listy  
one układają się  
w wiersze, same  
wybieram czułość  
choć się boję

pani mnie widzi naprawdę  
stanie w prawdzie niełatwe  
choć już się zgadzam:  
dobrze, dobrze

pokazać podbrzusze  
zaufać  
że mnie dotknie  
choć nie dotknie

**pogadanki**

możemy iść na herbatę  
myślę  
jak odnieść się zwięźle  
jestem prosta, trzymam postawę

a jednak się zachwycam  
z dużą pewnością

stać w prawdzie i się nie bać  
albo bać się i robić  
odsłonić coś  
lecz nie widzieć

pod zasłoną rumianą  
jak jabłko we wrześniu  
trzcina wąż na wietrze  
giętka jak smyczek

w oddali szumi woda  
już prawie ją słyszę

**z innego kraju**

chciałabym aby słowa miały dłonie  
mogłabym wtedy czuć ciałem  
to co piszę i może  
nie bałabym się tak bardzo

uwierzyłabym że w moim języku  
też tak można, że można  
być ukochanym, objętym  
jednym tylko słowem

jak kocem  
w mroźną zimową noc  
kiedy ogień rozpala się  
i bierwiona zmieniają kolor



# Miejscówka

Widok pustego przedziału jak zawsze przepełnił go radością, ale też od razu zakiełkowały ziarna niepokoju, bo wszystko, co dobre, wlecze za sobą groźbę utraty. Do czasu lekkiego szarpnięcia wagonami w napięciu wpatrywał się w przybrudzone szybki przedziałowych drzwi i każda pojawiająca się w polu widzenia jesionka sprawiała, że coś mu w środku tężało. Nie znosił ludzi, a w szczególności współpasażerów pozabawiających go świeżego powietrza i zanieczyszczających fonosferę swoimi odrażającymi rozmowami. Pociąg ruszył i nie działo się nic niepokojącego. Wagon pozostawał do jego dyspozycji – mógł nawet zdjąć buty i w geście tryumfu położyć nogi na przeciwległej kanapie. Mógł zrobić wszystko. Miał co najmniej pół godziny całkowitej swobody. Za trzydzieści minut pociąg zatrzymywał się na następnej stacji i istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że do jego przedziału wtargnie jakaś kreatura.

I tak też się stało. Był już całkiem zadomowiony (wszelkie nowe przestrzenie natychmiast kolonizował, ustawiając stosiki książek i czasopism), kiedy pociąg złowieszczo zazgrzytał i jego przestrzeń zbeczczyła swoją obecnością jakaś kobieta z dziewczynką. Od razu zaczęła go przeganiać:

– To są nasze miejsca, proszę pana. Mamy wykupione miejsca.

Machnęła mu przed oczami świstkami biletów. Skwitował to zmęczonym uśmiechem, bo przecież to on był prawowitym właścicielem miejsca. Wyciągnął swój bilet i też nim pomachał. Babsztyl nie dawał za wygraną i udał się na poszukiwania konduktora. Po kilkunastu minutach w drzwiach przedziału pojawiła się umundurowana postać. Wąsaty konduktor zaczął dość niefortunnie:

– Coś dla szanownego pana znajdziemy – powiedział.

– Przepraszam, to do mnie? – zapytał, dusząc wściekłość wszelkimi dostępnymi środkami.

– Takie tam drobne nieporozumienie... Proszę przejść do następnego wagonu. Tam jest dużo wolnych miejsc.

– To jakieś żarty! – wykrzyknął, dławiąc się oburzeniem. – Dlaczego to ja mam się przesiadać? Byłem tu pierwszy!

Konduktor przez moment przyglądał mu się badawczym wzrokiem, jednocześnie zerkając na jego bilet.

– Chwileczkę – powiedział znacznie bardziej oficjalnym tonem. – Przecież miejscówka jest na jutro.

– Co pan opowiada?!

– No jakże... Patrz pan... – Podał mu kartonik.

Popatrzył na datę i cały przedział zawirował mu przed oczami. Oni wszyscy mieli rację. Roztargniona kasjerka najpierw wydrukowała bilet na sobotę, kiedy on chciał na piątek. Zwrócił jej uwagę i wydrukowała jeszcze raz. Nie sprawdził, bo jak w takiej sytuacji można popełnić taki sam błąd? Można. Natychmiast spotulniał i wywiesił białe flagi. Starał się obrócić całą sytuację w żart. Konduktor, na szczęście, też się obśmiał i przyznał, że prywatnie miał podobną sytuację w Bułgarii. Coś tam nabazgrał na bilecie, postawił pieczętkę.

– Dobrze, że data jest jutrzejsza, a nie wczorajsza, bo zapłaciłby pan karę. Życzę przyjemnej podróży.

Po jego wyjściu zwrócił się do kobiety z dziewczynką:

– No i widzi pani, jak to człowiek nie dopilnuje... Przesiadę się, są wolne miejsca...

– Ależ niech pan tam sobie siedzi. Po co kłopot...

Został na swoim miejscu, ale już jako całkowicie nieuprawniona do niego osoba. Jak to z minuty na minutę może się zmienić status człowieka! Jeszcze pół godziny temu rozpieła go potęga, chciał kłaść nogi na kanapie... Teraz drętwiał na widok cienia czy głośniejszego chrząknięcia z korytarza.

Zgodnie z najczarniejszymi przewidywaniami na następnej stacji do pociągu wtargnął agresywny tłum tratujący wszystko na swojej drodze za pomocą ogromnych waliz. Ktoś szarpnął drzwiami przedziału. Nie chciał z początku podnieść wzroku, ale już to, co widział na poziomie podłogi, wystarczyło – ubłocone sztylety czarnych pantofli przyozdobionych złotymi klamerkami.

– Panie! – usłyszał wulgarnie zachrypnięty głos. – Kuźwa, wypad stąd! To moje miejsce.

Pozostali pasażerowie pilnie liczyli okruszki na kanapach albo mijane drzewa. Bez słowa sięgnął po swoją torbę i wyszedł z przedziału, starannie unikając widoku właściciela butów ze złotymi klamerkami. Nie udało się. Kątem oka dostrzegł ryżą szczecinę i wyłaniający się z niej kark tak gruby, jakby stanowił rodzaj huby żerującej na szyi. Delikatnie zamknął drzwi i rozpoczął wędrówkę wagonowym korytarzem. Co jakiś czas zerkał do wnętrza przedziałów. Przeważnie witały go nienawistne spojrzenia przekazujące w zasadzie ten sam komunikat: Nawet nie próbuj tu wchodzić! Czasami spojrzenie dodawało jeszcze: Gnoju!

Nadszedł znajomy wąsaty konduktor.

– Co? Przegonili pana? – powiedział z nutą satysfakcji w głosie. – A pociąg prawie pełny!

Wreszcie pod koniec wagonu znalazł wolne miejsce.

– Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

Cztery osoby milczały, jakby były głuche albo od odpowiedzi zależało ich życie. Facet z gazetą ostentacyjnie zaczął patrzeć przez okno. Wreszcie niechętnie odezwała się młoda kobieta ściskająca okazałych rozmiarów telefon:

– Zdaje się, że tak...

Usiadł, ale z przerażeniem skonstatował, że pociąg już zatrzymuje się na następnej stacji. Kolejni pasażerowie, wśród nich i ta młoda dziewczyna, która stanęła niezdecydowana w drzwiach.

– Przepraszam... – zaczęła.

Poderwał się i wyskoczył na korytarz. Przy toalecie ponownie natknął się na konduktora. Ten popatrzył na niego nieco zirytowany.

– To znowu pan? Coś mi się widzi, że to chyba jakiś handelek...

– Jaki znowu handelek?

– Piwko, papieroski...

– Niech pan nie żartuje!

– A może polujemy na torebki?

– Wypraszam sobie!

Wyminął wąsacza w mundurze i przeszedł do następnego wagonu. Był spocony. Miał już dosyć tej podróży. Kolejne wrogie twarze, ostentacyjne zasłanianie drzwi przedziałów. Wresztą zupełnie niepotrzebnie, bo nigdzie nie było wolnych miejsc. Wreszcie na samym końcu długiej łychy wagonów dostrzegł upragnioną, ostatnią w całym pociągu lukę między stłoczonymi pasażerami. Z wahaniem zapytał i dostał pozwolenie. Usiadł tak, żeby zajmować jak najmniej przestrzeni. Pasażerowie szybko przestali się nim interesować i wrócili do swoich telefonów. Nagle uświadomił sobie, że przed nim jeszcze tylko jedna stacja, a potem bardzo długi odcinek drogi dzielący go od celu podróży. Czoło zrosiły kropelki potu. Nerwowo rozejrzał się po przedziale, jakby ci obcy ludzie mogli mu w czymkolwiek pomóc. Zerknął na zegarek. Do następnej miejsciny zostało kilka minut. Poluzował kołnierzyk i tęsknym wzrokiem popatrzył w kierunku szczerze zamkniętego okna. Kropelka potu utorowała sobie drogę między kregami i spłynęła meandrami ciała, wywołując dreszcz. Niemal liczył odległości między słupami trakcji. Pociąg lekko przyhamował, ale na szczęście okazało się, że to tylko łuk torów. Za oknem nie było nic, co mogłoby odwrócić jego myśli od perspek-

tywy ponownego spotkania konduktora. O co tym razem go oskarży? Czy ludzie zaczną ciekawie wyglądać na korytarz? Oczami wyobraźni już widział rząd żądnych sensacji głów wychylających się z przedziałów na całej długości wagonu...

Teraz już nie było wątpliwości – pociąg zwalniał przed następną stacją.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała dziewczyna, wyrrywając go na moment z przykrych rozmyślań.

– Trochę tu duszno...

– Otworzę okno. I tak stacja.

„Jak wyrok!”, pomyślał. Z lękiem patrzył w okno, potem odwracał głowę. Pociąg leniwie wtoczył się tam, gdzie musiał przystanąć. Pusty, smętny peron, w dali zaorane pola. „Jest nadzieja”, wyszeptał. I nagle zobaczył! Z ławki zaczynała się podnosić ogromna kobieta oflankowana walizkami. Bez wahania poczłapała w kierunku jego wagonu. Poczłup impuls przesywający go jak strzała. „Nie poddam się!”, błysnęło w jaźni. Wyskoczył z przedziału i zepchnął ze stromych schodków wagonu zdumioną kobiecinę. Walizy z hukiem uderzyły w betonowe płyty peronu. Jedna z nich otworzyła się, obscenicznie ujawniając zapas białych majtek. Pognął przed siebie. Przeskoczył parkan i zniknął w mgłę pełzającej zaorany pole.



**Pestka**

weź ode mnie pestkę  
z jabłka z moje ogródka  
zabierz i włóż do kieszeni  
wóż ją wszędzie ze sobą  
i zasadź na piasku na plaży  
pod swoim oknem  
na pamiątkę że byłam pierwszą  
miłością która odeszła

Piesek

mój pies nie obsikuje jabłonek w sadzie  
choć mógłby gdybym zasadziła jakąś  
w labiryntach mojej wyobraźni gdzie  
zza każdego rogu wychodzi koszmar  
niekoniecznie z dzieciństwa czasami nawet  
z wczoraj gdy musiałam wstać z łóżka chociaż  
ono wołało mnie pieśnią potępionych aniołów  
może gdybym zasadziła choć jedną jabłonekę  
byłoby przez sekundę radośnie nim pożre ją  
mój pies

# Wszyscy papieże świata

Większość ludzi myśli, że rekord wielopapiestwa został ustanowiony za czasów wielkiej schizmy, gdy Benedykt XIII, Grzegorz XII i Jan XXIII rywalizowali o władzę w Kościele katolickim. Z największą ilością antypapieży mamy jednak do czynienia w XXI wieku. A ich ilość idzie w setki. W roku 2016 otrzymaliśmy z Maciejem Borowskim grant naukowy Fundacji Badań Religijnych im. Stanleya Carpentera. Celem projektu było udokumentowanie poglądów teologicznych papieży stojących poza głównym nurtem. Odbycie podróży i pielgrzymek. Rezultatem – poznanie wszystkich papieży świata.

## Wszyscy Papieże Świata X – Papież Jan Paweł VI

O sekretnej atrakcji Wenecji, chrześcijańskim jasnowidzu Janie Pawle VI dowiedzieliśmy się przypadkiem, dzięki wzmiance z lokalnej włoskiej gazety podrzuconej nam przez doktora Silvestone'a, gdy spędzał wakacje w Padwie: „Samozwańczy papież przewiduje przyszłość”.

– Ojciec Święty podpisany do Boga kablem, a Bóg widzi wszystko. Czy to determinizm? – spytałem. – Śmierdzi determinizmem.

Zatrzasnąłem laptopa. Maciek, zainteresowany, ale skonany, pokiwał tylko głową nad miską. Rzygał całą noc po łapczywym wchłonięciu czarnego makaronu zabarwionego atramentem z mątw, żołądkowe tragedie są sytuacją graniczną. Po doświadczeniu własnej śmiertelności pozostaje tylko nawrócić się na weganizm, co zrobi rok później. Ubiegam jednak fakty. Do papieża Jana Pawła VI wyruszam na niezapowiedzianą audiencję sam, absencja Maćka była znacząca, przegapia jedną z ciekawszych naszych rozmów, najdziwniejszą może, w której wyprorokowano mi śmierć.

\*

Papież ze zdolnościami parapsychicznymi wydawał się nowym pułapem i piętnem papiestwa, z penthouse'u bożego widział wszystko, zwłaszcza nadchodzące katastrofy. Przyszłość objawiała się akurat jemu, trudno uwierzyć, pięćdziesiąt lat przeciętny Paolo wykonywał drobne naprawy zegarków, prowadząc z umiarkowanymi sukcesami odziedziczony warsztat, w pięćdziesiątym pierwszym roku zniknął na tydzień bez śladu i słowa. Po siedmiu dniach niespodziewanie wrócił odmieniony, już jako papież Jan Paweł VI. Gdzie był przez tydzień, nie wie nikt, nawet on sam. Za winne trzeba uznać białe lakierowane limuzyny o płonących skrzydłach, zaniósł Paolo przed oblicze tajemnicy na siedem dni, po ich upływie gang cherubinów podrzucił nam z powrotem papieża jasnowidza. Żołądek pański przeżuł Jana Pawła VI i zwrócił, w jakim celu?

Naszym weneckim kontaktem jest Roberto, mechanik, znajomy papieża jeszcze hen, hen, sprzed lat, przyjaciel od dekad, ubolewający nad stratą kolegi przez jego religijne wywyższenie, niespodziewane i trochę, powiedzmy sobie, niepoważne. Spotykamy się na kawę, dwanaście kroków wzdłuż kanału i w głąb ślepej uliczki.

– Jest ze mną. – Uprzedził kelnera Roberto, ocalając mnie od płacenia turystycznego haraczu.

Przed moim przyjazdem wymienialiśmy długie, skomplikowane wiadomości. Teraz niemiło mnie zaszkoczył, nie znał wcale angielskiego. Włochata małpa pokazała na migi krzyż, i trzecie oko na czole, parując wściekle po włosku. Podałem się. Podałem telefon z włączonym tłumaczem usmarowanym ręką,

licząc, że nie zniszczy: „Zegarek stawały mu zawsze na nadgarstku przez pola magnetyczne. To się zdarza. U jego ojciec podobnie. Zawsze zegarki stawały i może to jest powód. Teraz Paolo mówi, że pochodzi z czasu po Chrystusie. Po koniec świata i po Nowej Judei. Nazwał się Jan Paweł VI”. Roberto próbował opisać signora Papieża, translator przekładał krzywo. „Po siedmiu dniach jak zniknął, wrócił z wypalonym metalem znakiem na przedramieniu. Mówi, że czeka aż przyjadą po niego znowu żeby go zabrać na zawsze. Przewiduje apokalipsa, potworna katastrofy. On wie co się wydarzy i widzi przyszłość. Cały czas o niej opowiada”.

Nie wszystko, ale wystarczająco dużo zrozumiałem: Jan Paweł VI jest podróżnikiem przemierzającym w skafandrze wiary eony do szybkiego rytmu italo disco. Roberto natomiast chciałby odzyskać zdrowego na umyśle przyjaciela.

„Czy ma jakiś wyznawców?” – pytam.

„Żadnego, który by się do tego przyznał”. Oddał i zabrał mi z powrotem telefon. „Ale ludzie do niego przychodzą”.

„O co ludzie go pytają?”

„Zazwyczaj pytają go o koniec”.

(...)

Czego się spodziewałem po Janie Pawle VI? Najlepszego sequelu od czasu *Ojca chrzestnego II*. Magika, potrafiącego czytać dłonie jak książki i snuć przepowiednie. Ubiegam jednak kwadratowe koła, skończone proste i nieskończone odcinki, w które papież dopiero mnie wpuści. Vaporetto buja na przystanku, silnik warczy, ruszamy. Deszcz rwie się mokrymi szmatami z wrześniowych chmur, kanały podśmierdują złośliwie, przez okna świecą złoto zapalone już od dwunastej żyrandole. Omijam ciemne Pałace Dożów, przesiadam się na prom, syrena trąbi, opuszczam Wenecję. Kadłub walczy z wodą i falami, dziób rozpina wzburzone morze jak zamek błyskawiczny. Rzym, Bizancjum, Awinion, a teraz Murano, podwenecka wyspa słynna z dmuchanego szkła, zemdlony chorobą morską wysiadam na ląd w najnowszej stolicy piotrowej, wielkie mecyje. Deszcz zacina i smaga nerwowo. Kamień, kaktus, ceramiczne donice. Wyszuszone ziemia nie przyjmuje wody, napełnia się deszczówką jak porcelana. Pytam nieznanomych o drogę. Il Papa? Il Papa? Kpią ze mną starszankowie pykający na zmianę jedną fajkę, tyłkami przyklepieni do moknącej od ulewy ławki. Wskazali mi kierunek, pod opuszkami palców mieli jednopiętrową kamieniczkę zżartą morską solą. Drzwi frontowe są uchylone, wchodzę po wytartych schodach. Skąd pewność, że zrozumiemy się po angielsku? Skąd pycha? Komory serca przed każdym wywiadem wypełnia niepokój, być może biorę udział w początkach wielkiej historii, powstawania nowego Kościoła, a moje świadectwo przetrwa stulecia, zostanie włączone do oficjalnych nauk Pisma przez konklawe w XXV wieku, jak jednego z apostołów lub co gorsza, dokument niewiernego, powtarzam zawsze identyczne lęki. Czarny grzyb skrada się miesiącami po ścianie, z której odpadły gipsowe płatki sztukaterii. Pontyfikat Jana Pawła VI musiał być ubogi jak pierwszych papieży w Jeruzolimie, jeszcze nieoswojonych z kościołem-korporacją, sąsiedni Watykan okazał jest finansowo bezkonkurencyjny. Pukam, nie ma dzwonka. Od drzwi uciekł tłusty karaluch. Życie obracało Jana Pawła VI okrutnie: uderzył mnie ciężki smród, wieże brudnych rondli i garnków zlepione dwutygodniowym pomidorowym sosem stały na podłodze. Pełen włosów nos Jana Pawła VI tłumaczy mi: „smród jest do wytrzymania, kolego”. Chudy, siedział w oknie jak tajemnica i kończył papierosa, ni to chłopiec, ni to starzec, raczej konstrukcja myślowa niż osoba, renesansowa figura na tle niewyraźnego, renesansowego tła.

Przedstawiłem się, powiedziałem, że w sprawie wywiadu.

– To dziś? Zupełnie zapomniałem – powiedział.

Przyszedłem bez zaproszenia, skąd mógł o mnie wiedzieć?

Pokazywał mi plecy, zezując przez okno w przyszłość. Czemu Pappi siedział uparcie obrócony do okna, możliwe, bo śmierdziało mu z ust? Nie skończył jeszcze pierwszego, zapalił drugiego papierosa. Deszcz mo-

czył lewą rękę wystawioną przez okno, prawą zaprosił mnie gestem do stołu, usiadłem więc grzecznie, jak na recepcji w Dublinie i pośrodku stołu położyłem drugi telefon z włączonym dyktafonem.

– Będę nagrywał. Ojciec Święty, mam do Ojca szereg pytań – powiedziałem. – Ale chciałbym zacząć od czegoś prostego, żeby się dobrze zrozumieć. Czemu Jan Paweł VI, skoro nie było jeszcze trzeciego?

– Nie było – zdziwił się, rozkojarzony. – Na pewno nie było? Ojej – powiedział ciapowato. – Ale będzie. Na pewno będzie! Chyba w takim wypadku jest jeszcze za wcześnie... pośpieszyliśmy się.

– Nikt nigdy nie zadał tego pytania Ojcu?

– Nie. Ale jeszcze je zadadzą. Jeszcze je zadadzą nieraz. Jan Paweł III dopiero przyjdzie. Jesteśmy przed czasem, zrobiliśmy... zrobiliśmy lekki falstart.

Papież bukmacher kiwa poważnie głową. Ja też coś przewiduję, najdziwniejszą z moich rozmów.

– Czemu akurat papież, a nie prorok?

– Wie pan dobrze, że nie mnie powinien pytać, nie ja decydowałem. Przyjąłem wolę Najwyższego z pokorą. Jestem tylko zawiasek, nie drzwi. Czas proroków już ustał. Skompromitował się. Teraz nadszedł nasz czas. Gorszy czas. – Angielszczyzna Jana Pawła poprawiała się, jakby przypominał sobie składnię na bieżąco w zastraszającym tempie. Pod koniec siódmego zdania mówił już jak native, korzystając czasem ze słownictwa przypominającego późnego Dickensa. Gdzie mógł się jej nauczyć, próbowałem rozszyfrować bezskutecznie.

– Niestety muszę spytać Ojciec Święty, ale jak się ma jasnowidztwo lub może lepiej proroctwo i przewidywanie przyszłości do wolnej woli?

– Skoro Bóg wie wszystko, nie ma miejsca na wolność, dobrze rozumiem? Roztrząsania... od stuleci te same. Bóg przewiduje wszystko, ale przewidzieć występki nie oznacza być za niego odpowiedzialnym. Czy przyglądając się innym, nie potrafisz przewidzieć ich grzechów, chociaż nie leżą one w twojej decyzji?

Potrafiłem przecieżyć. Nie musiałem mieć proroczej lunety, żeby widzieć błędy, swoje i cudze, oraz ich konsekwencje. Obserwując kogoś przymierzającego się do zjedzenia szklanego kieliszka, przewidujesz rezultat, no cóż... z troską i wzruszeniem ramion... Nieograniczona wiedza nie oznacza przecieży odpowiedzialności. I podobnie, moich katastrof osobistych również można się było spodziewać, wystarczyło spojrzeć na nie z pozycji obserwatora.

(...)

Jan Paweł VI opowiedział mi o końcu świata. Przyszłość ofiarowała mu siebie samą w spadku, martwą jak przeszłość, sprawiając że przepowiednie były nieodróżnialne od wspomnień. „Początek, ale i koniec rozgrywają się pośrodku rajskiego ogrodu”, powiedział świadek nieskończonych apokalips. Potem wygłosił kontrowersyjne tezy o Jezusie przychodzącym po Jezusie, powtórnym, potrójnym, poczwórnym itd. ukrzyżowaniu, powtarzającym się nieustannie cyklu świata, dopóki nie zostanie on wypolerowany do doskonałości, a każdy z ludzi nie osiągnie pełni swojego potencjału, snując gnostyckie, niedogmatyczne wizje. Zagubiony wewnątrz przeludnionych fantazji, gołymi rękami próbowałem schwytać czarnego pstrąga nocą w zimnym potoku i pamiętać, po co tu właściwie przyszedłem.

– Wiesz, jak kończy się ta historia? Historia Kościoła? – Zgasił ostrożnie papierosa. Wciąż zaprzyjaźniony z oknem, stojąc do mnie tyłem. – Kończy się. A potem zaczyna od nowa. Czas jest kołem tortur. Czas jest krzyżem. Słowa stają się dopiero ustami, z których padły. Syn daje życie własnemu Ojcu. Tylko tak Ojciec może być Synem, a Syn Ojcem. Wszystkimi osobami naraz, trójcą w jednej osobie.

– Ktoś stoi za drzwiami? – spytał, nagle przestraszony Jan Paweł.

Zmarznięty kark gwałtownie sztywnieje. Ile godzin spędziłem na Murano? – musiałem spytać, widząc dookoła siebie ciemną, śródziemnomorską noc. Podeszedłem do drzwi. Wyjrzałem na zewnątrz, deszcz sycał za oknem, ale cień sylwetki przebiegł po ścianie. Poświeciłem komórką, przede mną zamarła na środ-



ku ściany jaszczurka, zgięty ogon miała długości mojego przedramienia. Zamknąłem drzwi, odłożyłem telefon na blat i włączyłem ponownie dyktafon.

– Jaki mamy dziś dzień? – spytał Jan Paweł VI.

– 16 września.

– Nie, to jeszcze nie dzisiaj. Mieli przyjść po czterdziestu dniach – powiedział. – Musiałem się pomylić w obliczeniach. Jeszcze nie teraz. Nie jestem gotowy... Chcą zabrać mnie z powrotem.

– Kto?

Oczywiście, Oni. Usłyszałem, że aureole świętych na średniowiecznych obrazach są tak naprawdę hełmami kosmonautów, anielskie skrzydła stanowią metaforę silników odrzutowych, rydwanami nazywano statki kosmiczne, wniebowzięcie jest uprowadzeniem przez obcych... futurystyczne, heretyckie bzdury. Dwa lata temu Jan Paweł przeszedł przez portal przejściem, którego nikomu bym nie doradzał, doszedł do szaleństwa, a może nawet przekroczył szaleństwo i kontynuował podróż dalej, w głąb odmętów, gdzie już brak przydatnych słów. Nie wiedząc za bardzo, co zrobić dalej, drapałem się nerwowo po czole. Wyczerpałem zestaw sensownych pytań. Pozostało tylko wyjść. Deszcz też wykonał robotę, dudnienie ustało, można było zejść z okna i Jan Paweł zbliżał się powoli jak krab, dotykał palcami ścian. Podniósł głowę i karmelowymi oczami, świecącymi niezdrowo, po raz pierwszy spojrzął wprost na mnie. Zobaczyłem rzeźby ludzkie z twarzami aligatorów, zobaczyłem piramidy, kamienne mastaby, olbrzymie bloki przesuwane po drewnianych balach siłą setek ramion. Zobaczyłem władcę słonecznego miasta, konającego od kilkudziesięciu ciosów sztyletami. Zobaczyłem latające maszyny i muchę odpoczywającą na czubku liścia w gaju oliwnym pokrytym kurzem pamiętającym stulecia, zobaczyłem olbrzymi pożar drewnianego miasta, zobaczyłem ludzi bez końca wędrujących przez szerokie stępy, zobaczyłem odważnego, drobnego mężczyznę, pod mężczyzną spienionego konia prowadzącego armię złożoną z tysięcy ludzi. Ale wszystko, co widziałem, przecież już było, nie znalazłem nic, czego byśmy do tej pory nie znali. Skonsternowany, podniosłem rękę. I wciąż zapatrzony w jego oczy zrozumiałem, co właśnie zobaczyłem: przyszłość na tyle odległą, że nie różniła się niczym od przeszłości.

Ale jak mieliśmy zweryfikować, co widziałem?

– Jeszcze tego dnia zginiesz – powiedział.

Przeszedł mnie dreszcz. A więc moją śmiercią miała się rozwikłać zagadka prawdziwości przepowiedni. Wyszedłem od papieża, przeciąłem pieszo wyspę, wsiadłem w prom z niebywałym spokojem, którego nigdy wcześniej nie znałem. Decyzja już zapadła, myślałem na siedzeniu, otoczony Japończykami pokazującymi sobie dmuchane szkło.

Wróciłem ostatnim tramwajem wodnym, nocą, wierząc papieżowi. Kluczyłem nieoświetlonymi jak w średniowieczu ścieżkami, labirynty ślepych ulic prowadziły zawsze nad kanał. Wracałem do obskurnego akademiku weneckiego, zamienionego na okres wakacyjny w hostel obsługiwany przez Słowaków. Do wieczora nic się nie wydarzyło. Wziąłem prysznic, jak co dzień i jak co dzień podczas podróży telefonicznie życzyłem narzeczonej dobrej nocy. Potem poszedłem spać.

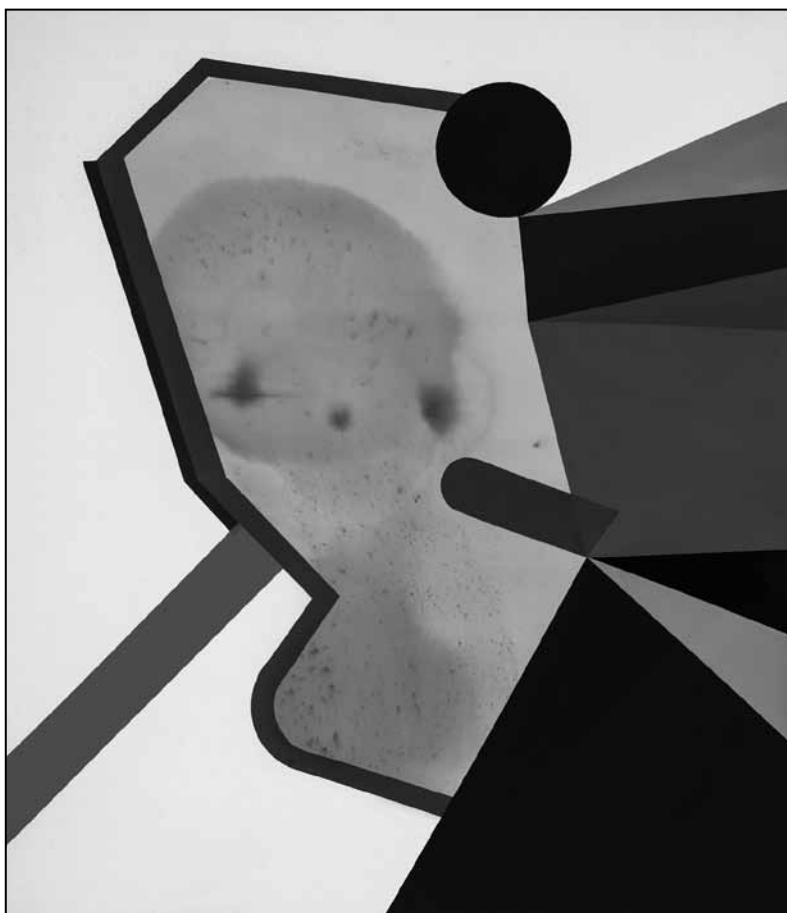
Następnego dnia rano zbudziłem się uśmiechnięty. Maciek wyzdrowiał, po zatruciu makaronem ani śladu, i popłynęliśmy razem promem do wieszcza. Z domu Jana Pawła VI zapomniałem telefonu, którym nagrywałem naszą rozmowę. Mieszkanie było puste. Wystygłe papierosy leżały na parapecie i w pełnej wody popielnicze. Wyrząłem przez okno, pranie wiszące przed domami nadyma się, jakby ktoś przez nie przechodził, ale prześcieradłami poruszał wiatr.

– Padało wczoraj – powiedziałem do Maćka.

– Wczoraj? Nic nie słyszałem – powiedział.

Kpiłem sam z siebie. Dałem sobie wmówić, że widziałem przyszłość. Dwie godziny później pojechaliśmy na lotnisko. W poczekalni, z walizką między nogami i bez polisy ubezpieczeniowej przyszła mi szalo-

na myśl: Jan Paweł może wcale nie kłamał, obiecując mi śmierć. Dla weneckiego Ojca Świętego przyszłość niczym nie różni się od przeszłości, rzeczywiście uważał, że 16 września miałem zginąć, więc pomyłka papieska nie dotyczyła przepowiedni, ale sposobu jej wyrazu. Dla kogoś tkwiącego w nieskończoności dni są nieodróżnialne, jak Jan Paweł III nie różni się niczym od Jana Pawła VI, czas jest wartością przybliżoną, a zakres pomyłki jest przecież nieskończony. Być może miałem przed sobą tylko dni, być może całe lata. Przepowiednia emerytowanego zegarmistrza była przepowiednią, którą z dużym prawdopodobieństwem mógłby udzielić każdy z nas: umrzesz. Nie była więc przepowiednią ani wyrokiem, raczej oczywistą prawdą, frazesem sformułowanym subtelniej, żeby odzyskać swoją siłę i przemówić na nowo. Po rozmowie z Janem Pawłem VI nie zapomnę już, że umrę. Teraz zostało mi tylko żyć i popełnić błędy na własną rękę, których Bóg i mądrzejsi ode mnie się spodziewali. Na lotnisku naładowałem telefon. Z całego osiemnastogodzinnego pliku na dyktafonie, nagranych po moim wyjściu, usłyszeliśmy kilka słów, więcej niż pewne, że skierowanych do nas. „Czekają was jeszcze dobre rzeczy. Lepsze rzeczy. Przepraszam. Pomyśl o mnie jeszcze raz – powiedział Jan Paweł VI. – Zanim odleczę” – nagranie się urywa. Nic więcej, oprócz szumu wiatru. Jeśli był naprawdę prorokiem i widział przyszłość, wypadało się również zgodzić, że siłą został wepchnięty do fruwej furgonetki i uprowadzony przez grupę skrzydlatych funkcjonariuszy, papież jasnowidz, papież wędrowiec, papież z braku laku, bo przecież marny prorok, o którym pomyślę ciepło na jego życzenie, gdziekolwiek jest, w tej chwili.



**w akwariu skorpiów, śpię**

szukasz czubkiem języka krawędzi?  
płatków nosa słów, włosów  
z igieł światła  
z żywych zwłok skapują krople twarzy  
talizmany kości  
biel bezdechu

gęstnieje  
w ultrafiolecie  
w zieleni oczu  
skupiony odłamek, rany cięte  
spływają w deszczu,  
rozszczerzone włosy  
oplątane dłonie,  
komputerowy BigBlue,       !7 8bitowy gig

\*\*\*

na czubku palców  
oddech  
wydma pustyni  
śpij wśród Picassa krzyżując nagość

# Skóra

*Skóra to jeden z najważniejszych organów. Ogólna jej powierzchnia u człowieka wynosi 1,5-2m<sup>2</sup>. Poza wieloma innymi skóra pełni funkcję percepcyjną ciepła, bólu, dotyku oraz ekspresyjną w wyrażaniu stanów emocjonalnych. Bez dotyku człowiek umiera. Dotyk to uczucia.*

*W latach 50. Harris Harlowe, amerykański psycholog, przeprowadził badania na rezusach. Pozbawiał je dotyku. Lub oferował naprzemiennie dotyk przyjazny i dotyk zły. Chciał udowodnić, jak ważny jest dotyk. Jakie znaczenie ma fakt, że jest lub go nie ma. I jaki jest to rodzaj dotyku. Okazało się, że brak dotyku lub zły dotyk prowadzi do zaburzeń fizycznych, społecznych, emocjonalnych. U małp po śmierci stwierdzono nieodwracalne zmiany w mózgu.*

\*\*\*

Spotykali się już rok. Nie chcieli przekraczać w tej znajomości pewnych granic, więc nie bywali w swoich domach, nie poznawali swoich znajomych. Chodzili do kina, na wystawy, kolacje. Spotykali się w hotelach. Ale pisywali do siebie codziennie. „Dzień dobry” rano, krótkie wiadomości w ciągu dnia. Dłuższe rozmowy wieczorami. Spotykali się, gdy tylko jemu pozwalał na to czas. Był bardzo zajęтым człowiekiem. Zarządzał dużą międzynarodową firmą, więc ilość spotkań, maili, konferencji była potworna. Ilość i waga decyzji, które podejmował, była ogromna. Naprawdę zaczynał wcześniej rano, kończył późnym wieczorem i przez cały ten czas ktoś czegoś od niego chciał. Ale znajdował chwilę, żeby do niej napisać. Była to jego chwila wytchnienia. Niestety z powodu jego pracy nie mogli się spotykać tak często, jakby chcieli. Wiedział, że jej to nie wystarczy i naprawdę usiłował wygospodarować więcej czasu. Ale to było niezwykle trudne. Dlatego starał się pisać do niej regularnie. Mógł dać jej chociaż tyle uważności. Zresztą lubił z nią pisać. Była zabawna i inteligentna. Miała dystans do siebie i do niego. Potrafiła też być wyuzdana. Na początku ich znajomości trochę go to zszokowało, ale teraz lubił, gdy w ciągu dnia wysyłała mu sprośne esemesy.

Napisał do niej. Spytał co u niej. Wysłał pięć buziek z serduszkowym buziakiem. Chwilę trzymał telefon w dłoni licząc, że odpowie natychmiast. Weszła sekretarka.

– Panie Henryku, spotkanie konferencyjne zaczyna się za dwie minuty.

– Już idę. – Zerknął na telefon. Nie było odpowiedzi. Włożył go do kieszeni. Ruszył.

Spotkanie trwało cztery godziny. Mogło pójść.

„No cóż, specyfika dużej firmy. Każdy musi się zaprezentować” – pomyślał. Usiadł w swoim gabinecie.

– Poproszę espresso! – krzyknął w stronę sekretarki.

Wyjął telefon. Sprawdził maile. Sprawdził wiadomości od niej. Nic nie odpisała. Wiadomości nadal miały status niedostarczonych. Zdziwił się.

– Może nie zauważyła? Napisał jeszcze jedną. *Jak Ci mija dzień? U mnie dużo pracy, ale bez burz i dramatów.* Wysłał. Po chwili napisał jeszcze jedną. *Może zjemy kolację w piątek?*

Wiedział, że cały dzień ma zajęty spotkaniami, ale pomyślał, że może zaszaleje i odwoła albo zwyczajnie nie pójdzie. Przecież nic się nie stanie. Nie widzieli się już tak długo. Tęsknił za nią. Chciał ją zobaczyć. Przytulić. Pocałować. Usłyszeć, jak się śmieje. Lubił spędzać z nią czas – nie była roszczeniowa. W przeci-

wieństwie do jego poprzednich partnerek nie urządziła awantur o to, że za dużo pracuje. Nie chciała go zmienić. Akceptowała go takim, jaki był. Był jej za to bardzo wdzięczny. Doceniał to. I dlatego postanowił, że wygospodaruje czas na wspólną piątkową kolację. Może nawet kino i tańce. Rano w sobotę miał wolny czas, mógł sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa.

Reszta dnia upłynęła mu na przyjmowaniu członków zespołu, z których każdy miał tylko krótkie pytania i tylko chciał spytać, czy tak jest OK, czy tak można. Odpowiadał, bo tak robił od trzydziestu lat.

Koło dziewiętnastej tłum się przerzedził. Pozwolił sekretarce iść do domu. Usiadł w pustym biurze, nałapał sobie wody, wyjął telefon. Nie odpisała.

– Mm... – Zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić. Nie należał do pokolenia współczesnych mężczyzn analizujących i umiejących nazwać swoje emocje. Zresztą jakie emocje? Z powodu braku odpowiedzi na esemesa. Absurd.

„Właściwie na trzy”. Wstał z krzesła. Potrzebował ruchu. Spojrzał na telefon.

„Nie no, wszystkie wysłane”. Przyjrzał się uważnie.

„Ale właściwie żadna nie jest odebrana. Zgubiła telefon?”. Uśmiechnął się na tę myśl. Trochę to było prawdopodobne. Miała w sobie jakąś taką gapowatość, a może i nieuważność na rzeczy materialne. Poczł się trochę samotny. Liczył, że się odezwie i zaplanują wspólny piątkowy wypad. Wiedział, że ona lubiła planować i chciał wziąć udział w jej zabawie. Ostatnio planowała dla niego lekcję gry na perkusji. Była trochę szalona.

„Szkoda”. Przetarł dłonią zmęczone oczy. Usiadł do komputera. Skończył czytać maile o 22. Zajrzał do telefonu, nic się nie zmieniło. *Mam nadzieję, że wszystko OK, całuję wszędzie, gdzie sobie życzysz. Dobranoc.* Wysłał.

Pojechał do domu. Przed pójściem spać jeszcze raz sprawdził telefon. Nic się nie zmieniło, a kolejna wiadomość również nie była odebrana.

„Całusy” – pomyślał i zasnął.

Rano, jak tylko otworzył oczy, chwycił za telefon.

„No, kurwa”. Trochę się zdziwił. Trochę zmartwił, trochę wkurzył. Ale, jak co rano, napisał. „Dzień dobry”. Wysłał. *Odezwij się* – dopisał. *Martwię się* – dopisał jeszcze raz.

„Co jest? Jeżeli rzeczywiście zgubiła telefon, to do południa powinna mieć już nowy”.

Ruszył do pracy. Całe przedpołudnie spędził na rozwiązywaniu niekończących się problemów, podejmowaniu kolejnych decyzji. Gdzieś daleko z tyłu głowy miał nieodebrane esemesy. Dotrwał do pory lunchu. Chciał wyjść z biura. Potrzebował ruchu i przestrzeni. Zdecydował się na hiszpański bar tapas kilka przecznic dalej. Miał ochotę od razu wyjąć telefon i sprawdzić wiadomości, ale odwlekał moment, sam nie wiedząc dlaczego.

„Spokojnie się przespaceruję. Potem usiądę, zamówię coś dobrego i zobaczę, co u niej” – tłumaczył sobie idąc szybkim krokiem. Sam nie wiedział, dlaczego idzie tak szybko.

„Noż kurwa”. Wiadomości nadal były nieodebrane. Nic z tego nie rozumiał. Nagle przebiegło mu przez głowę, że może coś się jej stało. Może miała wypadek. Może trafiła do szpitala. Właściwie nie wiedział, co miałby z tym zrobić. Ich relacja nie zakładała wypadków i chorób. Spotykali się i ofiarowywali sobie tylko miłe chwile. Na pytanie „Co u Ciebie?” odpowiadali: „Super”. Albo „Miałam ciężki dzień”. „Och, jesteś dzielny/dzielna, dasz radę”. Żyjąc w wyimaginowanym świecie, stworzyli sobie przestrzeń, w której nie było codzienności. Były pytania o muzykę. O poglądy. Przekonania. Było zadawane wiele razy pytanie „Dlaczego?”, na które trzeba było udzielić przemyślanej odpowiedzi. Było weryfikowanie i negocjowanie ram, w których funkcjonowali. Przypomniał sobie rozmowę, gdy spytała, czy są przyjaciółmi. Nie pamiętał, co odpowiedział ani co odpowiedziała ona. Gdyby byli przyjaciółmi, mógłby teraz jechać do jej domu i spytać, czy coś się stało. Mógłby zadzwonić do któregoś ze wspólnych znajomych. Do jej siostry. Kurwa mać!

Wyrównał oddech. Wstał, rzucił pieniądze na stół. Szybko wyszedł z lokalu. Nadal potrzebował ruchu i przestrzeni. Teraz chyba nawet więcej. Zastanawiał się, jakie ma możliwości. Postanowił poczekać do wieczora z jakimś decydującym ruchem. Wyjął telefon, napisał. „Czy wszystko OK? Naprawdę się martwię. Mam nadzieję, że po prostu zgubiłaś telefon. Jak kupisz nowy, założymy lokalizator, żebyś zawsze mogła go znaleźć”. Wysłał. „A ja będę miał dostęp do twojej lokalizacji, żebym mógł znaleźć Ciebie”. Żebyś mi się nie gubiła – pomyślał.

Zadzwoił telefon. Ucieszył się, że to może ona. Dyrektor działu prawnego...

Tak... Zaczął się młyn. Skażona partia produktów z fabryki, którą nadzorował, dotarła do 6 europejskich krajów. Zaczęły się korowody prawników, księgowych, szefów, laboratoriów, dostawców, szefów szefów. Trwały trzy miesiące. Wykończyło go to. Schudł. Przybyło mu zmarszczek. Potrzebował coraz więcej energii, żeby się skupić i rozumieć, co czyta, co do niego mówią. Był permanentnie zmęczony. Nie mógł spać. Wychodził rano i wracał w nocy. Wziął na siebie całą odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Uważał, że niepotrzebnie zaufał podwładnym, że jedynym sposobem uniknięcia takiej katastrofy następnym razem jest kontrolowanie całego procesu produkcyjnego. Od samego początku. Od tej pory zaczął czytać wszystkie umowy i sprawozdania finansowe. Zabierało mu to mnóstwo czasu i energii.

Nie odebrała jego esemesów. Nie przeczytała ich. Nie odpisała na nie. On pisał, dzwonił. Kilka razy już do niej jechał. Gotów wtargnąć do jej świata, żeby się dowiedzieć, co się stało, dlaczego nie odebrała jego wiadomości. Ale zawsze coś stawało mu na drodze. W pracy cały czas działo się coś ważnego. Katastrofa za katastrofą. Narady. Odprawy. Kolacje firmowe. Spotkania członków zarządu. Prezentacje. Naprawdę nie miał kiedy jechać. Coraz częściej przypominał sobie dopiero wieczorem, że to dzisiaj miał być ten dzień, w którym miał pojechać, by dowiedzieć się, co się z nią stało, dlaczego do cholery, nie odbiera jego esemesów i telefonów. Była to jego ostatnia myśl, gdy padał na twarz ze zmęczenia, gdy zasypiał. Ale pojawiała się coraz rzadziej.

Wiele miesięcy później, w środku nocy czy dnia, nachodziła go ogromna tęsknota. Nie umiał zlokalizować jej źródła. A gdy słyszał wyjątkowo gównianą piosenkę, chciał jej wysłać, żeby dołączyła do ich listy The Shittest Songs Ever. Ale wtedy sobie przypominał, że nie ma jej już w jego życiu

Nachodziła go wtedy złość. Na nią. Za niespodziewaną ciszę. Za zniknięcie.

„Przecież pojechałem do tego cholernego miasteczka, żeby się z nią spotkać a ona... – myślał intensywnie – nie przecież w końcu nie pojechałem. Miałem zamiar. Właściwie, dlaczego nie pojechałem? Aaa, sprawa Maindcrowd! No tak...”

To było niezłe gówno, ale udało mu się świetnie opanować sytuację. Dwa miesiące balansowania na linie, ale pełen sukces.

Z czasem dotarło do niego, że może do kogo innego z rana pisać „dzień dobry”. Że innej kobiecie może zasugerować utworzenie listy The Shites Songs Ever. I tak zrobił. Napisał. Zasugerował. Było miło.

Raz, wiele lat później, zamawiając zupę rybną, przypomniał sobie o niej. Przypomniał sobie, jaką była fanką zup. Uśmiechnął się do siebie. Chciał nawet na chwilę zanurzyć się we wspomnieniach, ale telefon od sekretarki przypomniał mu, że za chwilę ma spotkanie. Wynurzył się na powierzchnię. Ruszył do biura.

Pracował bez wytchnienia jeszcze wiele lat. Kochanki odchodziły i przychodziły. Żadna nie wytrzymywała jego zaangażowania w pracę. W końcu firma zdecydowała za niego, że czas odejść. Bał się przeraźliwie.

Szybko więc znalazł młodszą partnerkę, mając nadzieję czerpać z jej młodości i żywotności. Zaczął zwiedzać. Miło go zaskoczyło, jak bardzo podróże, które teraz odbywał, różniły się od podróży służbowych. Z przyjemnością odkrywał świat. Jego różnorodność. Jako wytrawny smakosz próbował w egzotycznych krajach egzotycznych potraw. Egzotycznej muzyki. Egzotycznych przedstawień. Tańczył. Wziął lekcję gry na perkusji. Zupełnie nie wiedział, skąd mu się to wzięło, ale było świetnie. Naprawdę dobrze się bawił.

Z kolejną dziewczyną, miłą Nowozelandką, z którą wieczorami lubili pić gin z tonikiem, wybrał się do Bangkoku. Trafił do Siriraj Medical Muzeum.

Nie było to muzeum, w którym można przyjemnie spędzić czas. Płody z wrodzonymi patologiami, naturalnej wielkości, w ogromnych słojach. Ciała zamordowanych ludzi. Ludzkie truchła, których śmierć była niespodziewana, zaskakująca lub zadziwiająca. Jednak oglądał kolejne eksponaty z jakąś zaciętą fascynacją i metodycznością.

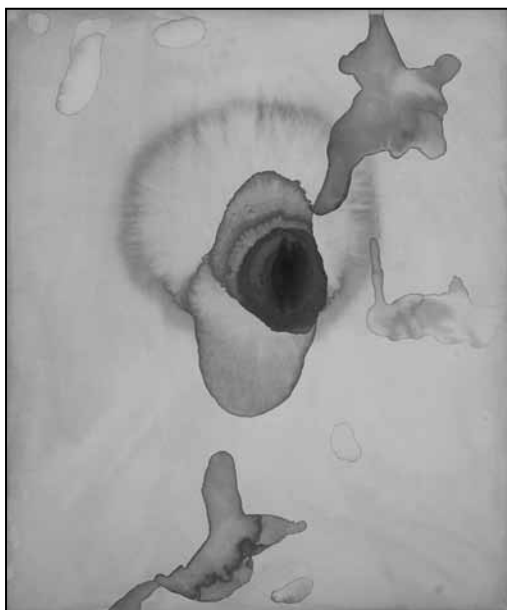
Przechodząc z sali do sali, zwrócił uwagę na ogromny słoć, w którym była skóra. Cała. Zdjęta z białej Europejki. Informacja umieszczona obok wyjaśniała, że kobieta zmarła z braku dotyku. Zaskoczony czytał o badaniach i eksperymentach, z reguły nieetycznych, które dowodziły, jak ważny jest dotyk dla podstawowych funkcji życiowych człowieka. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że coś, co uważał za dodatek do życia, było czymś absolutnie niezbędnym. Jak woda, jak powietrze.

„Przesada” – pomyślał.

W sumie ten słoć i ta skóra były obrzydliwe, ale nie mógł przestać patrzeć. Wodził wzrokiem po białej, białej skórze upstrzonej piegami. Słoć się obracał. W którymś momencie dotarło do niego, że jeżeli słoć się obróci, to na lewej łopatkę zobaczy brązową plamę. Nagromadzenie pigmentu. Wstrzymał oddech. Zakręciło mu się w głowie. Absolutne zrozumienie tego, co się za chwilę wydarzy, uderzyło go z całych sił.

Ogarnął go zimny przeraźliwy strach. Wiedział, że za chwilę przypomni sobie smak i zapach tej skóry. Rozrzucone rude włosy na zielonym mchu, promienie słońca odbijające się od białych ud, róż barwiący skórę policzków. Palce na swoim torsie. Śmiech. Oddech. Że wróci wspomnienie pocałunków i zanurzania się w niej. Kłótnie, których nie zdążyli mieć i wakacje, na które nie zdążyli pojechać. Wrócą też decyzje, które podejmował. Te małe. Każdego dnia. O odebranych telefonie. O służbowej kolacji. O godzinach spędzonych na czytaniu umów. O niepojechaniu.

Nadal wstrzymywał powietrze. Czuł się, jakby stracił umiejętność oddychania. Jak tonący próbował złapać chociaż jeden mały haust powietrza, żeby przeżyć. Tylko tyle chciał w tym momencie. W końcu udało mu się zrobić głęboki rozpaczliwy wdech. Straszliwie go to zabolalo. Tak bardzo, że aż po policzku pociekły mu łzy. Wybiegł zgarbiony z sali, roztrzącając innych zwiedzających. Nie zaczekał, aż słoć się obróci.





niosła czarno-białe zdjęcie, z taką odpowiedzialnością,  
z jaką niosło się do szkoły wymuszki na czerwonych wstążeczkach,  
konkurs na najpiękniejszą pisanekę w zasadzie był konkursem  
na najbardziej oddaną matkę

kiedys był to cmentarz małych zwierząt, użyźniona gleba pod malinami,  
mówili: dobrze kupić dzieciom chomika, żeby oswoić się ze śmiercią,  
maliny mają puszyste owłosienie jak futerko małego gryzonia,  
gdy próbuję je pogłaskać, wypływa słodka krew

matka zbierała dewocjonaia, figurki wszystkich świętych,  
do czyszczenia używała osobnej ściereczki, dopiero później usuwała kurze z  
meblościanki,  
jednej matce boskiej opiekunce ułamałam kawałek szaty i dłoni,  
tak, że nie mogła dłużej chronić porcelanowych dzieci,  
bałam się, że spotka mnie gniew boży, taki sam, jaki spotyka rolnika,  
któremu kombajn wciąga rękę do samego ramienia za wszystkie przemielone koty  
pozostawione na polu, za to, że zwierzęta nie mają duszy i takie są prawa natury,  
pochowałam matkę boską w ogródku obok chomika, żeby miała towarzystwo,  
urządziłam jej naprawdę katolicki pogrzeb

# Epizod

*Najbliższą istotą dla człowieka staje się drugi człowiek w chwili, kiedy obaj zrzucają z siebie skorupę różniących ich wyznań i poglądów, kiedy obcuje z sobą wyłącznie jako istoty o czysto ludzkich słabościach.*

Szalom Asz, *Mąż z Nazaretu*, s. 37.

Nurt Narwi nie jest narowisty, Narew jest leniwa i obojętna na wszystko i na wszystkich. Wlecze się szarą wstęgą między łąkami i nic jej nie obchodzi, co wyprawiają dwunogie istoty tratujące trawę po jej obu brzegach swoimi bosymi stopami. Albo stopami uzbrojonymi w żołnierskie buciory. Albo stopami owiniętymi burą onucą.

Jeszcze podczas pierwszych dni tego lata młodzież wiejska i chmara dzieciaków mąciły nurt rzeki beztroską kąpielą i pluskaniem, za nic mając dochodzące od wschodu pomrukiwania dział i trwającą kolejne lato okupacyjną rzeczywistość. Ale ostatnie wieczory i ranki są inne, cisza przysiada nad brzegiem Narwi jak wiejska szeptucha i zda się zaklinać rzeczywistość. Ale spłoszona umyka jak bezradny wiejski znachor, który widzi, że nie zdoła rozprawić się z tym nawracającym choróbskim, jakim zawsze była i jakim jest wojna.

Rosjanie przegonili Niemców na zachodni brzeg, a sami rozłożyli się na wschodnim. Obie strony respektują nocną ciszę, a i pobliska wioska też szykuje się do snu, płytkiego snu, nerwowego snu, mączonego troską o jutro.

Lipcowy dzień pachnie zbożem, a noc dławi się spóźnionym jaśminem i wczesną lipą, które także, jak i ta leniwa rzeka, za nic mają okupacyjną rzeczywistość i ich kwietna biel zda się nie dostrzegać bezsensu ludzkich poczynań. A ludzkie poczynania zawierają się w trzasku krótkich rozkazów – nie strzelać, czekać. Z zachodniego brzegu słychać: *Jawohl!* – a na wschodnim mówią: *Tak, toczno.*

Ludziska z wioski nie boją się ruskich, bo i mowa ich jakaś taka prawie swoja, choć i na Niemców nie narzekali, bo obyło się bez gwałtów i przemocy, tylko kwatery trzeba było im uszykować, no i zapewnić żarcie. Sońka musiała wyszykować najlepszą w chałupie izbę dla tego ich dowódcy, ale gorzej było z jedzeniem, bo to przednówek, zboże stoi w słońcu i pokornie czeka na sierpniową rzeź, a zapasy zeszłorocznej mąki kończą się, więc jedyne dostępne pożywienie to mleko albo maślanka. Bo taki Niemiec to ani spojrzy na zalewajkę na lebidzie. Ten dowódca to przysłał najpierw swojego adiutanta, żeby obgadał wszystko co i jak, choć ten adiutant to ma gębę taką jakąś jakby nie nordycką. Rozsiadł się na ławie i obserwuje krzątanie obu kobiet.

Sońka do matki:

– *Mamu*, a gdzie poszewki z bawełny, bo jak te lniane go w dupę pogryzą, to jeszcze nas gotowi rozwalić...  
Olga zaciska usta i wyciąga ze skrzyni białą bawełnianą pościel.

– *Na!*

Sońka wymienia siano, kuksańcami upycha je równomiernie w brzuszysku siennika.

– A może będzie maślankę jadł? *Czort jewo podieri...* – ni to pyta, ni to głośno myśli.

– A bo ja wiem? Toż oni chyba nie nauczone *kuszat'* takie nasze frykasy! Ale my tak sobie jak i im tylko *kartoszki* nagotujem, maślanką polejem – *ot i wsio!* – Olga ledwie tłumii irytację.

– A będzie taki jeden z drugim chciał to jeść? – W głosie Sońki nie brzmi troska, lecz ledwie skrywany strach.

No i wtedy odzywa się ten adiutant.

– Maszlanka i *Kartoffeln* to topsi, to baldzo, baldzo topsi! Tak jeść, jeść – a potem srać!

Sońka prycha śmiechem, Olga posyła jej grom karzącego spojrzenia, a ten Niemiec o wyglądzie młodego Yeti leci dalej:

– Ja była ze Szlonsk, *verstehen?* Ja ze Szlonsk, moja *Mutter* była polska!

I do Sońki:

– Ty moja *Schwester*, a ten *Krieg* to baldzo, baldzo źle..

Sońka aż poczerwieniała, ma ochotę przywalić mu rondlem w ten kanciasty łeb.

– A nasz *sobaka* jest twoja „*szwester*”, szkopie, a nie ja – mruczy pod nosem, ale tak, żeby to tylko Olga usłyszała, a nie ta szkopska małpa.

No a potem Niemcy poszli sobie za rzekę, a przyszli ruskie, a ci to nawet rosół z lebiody jedli i nie narzekali. No, może z tym „poszli”, to trochę nie tak – Rosjanie katuszami przegonili Niemców, ale wioskę wzięli bokiem, chałupy stoją nienaruszone, nawet odłankami niedrażnione.

A teraz jedni i drudzy siedzą po obu stronach rzeki już trzeci dzień. Jednych od drugich oddziela tylko sina wstęga Narwi i jak cisza wieczorna zapada, to ruskie słyszą brzęk niemieckich menażek. A kolację dla ruskich przynoszą w nosiółkach wioskowe dzieciaki. Sońka prowadzi ich całą chmarę i tylko palec do ust ściśniętych w ciup przykłada, nakazując ciszę, bo choć Niemcy podczas „gościny” w wiosce nikogo nie skrzywdzili, to jednak to wredne szkopy. A siedzą tak blisko, choć za rzeką, za ledwie na odległość strzału.

Ruskie chłepcą rosół z lebiody, zapijają maślanką. *Ot, zakurit' хочziet sia. Ale nie Lzia*, ogniki papierosów mogą sprowokować Niemców, choć to wieczór.

Bo tak dla zasady wiadomo, że jeśli ma coś być, to zawsze rano. Bo do ataku to zawsze rano, bo wtedy widoczność lepsza. No i wieczorem, przed porannym atakiem, dowódca zawsze rozdziela po ćwiartce wódki na łebka. Zawsze wieczorem, zawsze po kolacji, jakkolwiek postną ta kolacja jest.

Sońka zbiera pospiesznie naczynia, bo tego wieczoru woda idzie w obieg. Cieszą się nią tylko młodziki, co to prochu jeszcze nie wężali, ci bardziej doświadczeni przez wojnę nalewają ją do musztardówek i piją z ciężkim westchnieniem, atmosfera zaczyna nasiąkać wonią podłego alkoholu, rozlewanego *po stakan-czikam*. I wtedy zza rzeki, z jej zachodniego brzegu, dochodzi do ruskich zawołanie, wykrzywane z twardego, obcym akcentem:

– *Wanka, Wanka, daj zakuryt!*

Ruscy już sobie golnęli, Sońka wie, że lepiej jest teraz niepostrzeżenie się ulotnić, ale niemiecka zaczepka skierowana do Rosjan tak ją zaskakuje, że przygarbawszy do siebie gromadkę dzieci, zatrzymuje się i ciekawie nadstawia ucha.

Szmerek i chichoty poszły po ruskich okopach.

No to teraz kolej na Rosjan.

– *Hans, Hans, bitte rauchen!*

I tu rechot podchmielonych mężczyzn okopanych na wschodnim brzegu Narwi.

Mija kilka sekund i Sońka z przerażeniem dostrzega lecący w kierunku ruskich stanowisk niewielki przedmiot. Granat! – pierwsze, co jej przychodzi na myśl, więc instynktownie wtula głowę w ramiona i usiłuje objąć ramionami całą gromadkę zaskoczonych dzieciaków.

Ale to nie granat, Rosjanie rozpakowują „przesyłkę” – papierosy. W ładnym pudełku, pachnące, zawięte w mocny papier, całość dociążona niewielkim polnym kamykiem. Rosjanie owijają papierem garść machorki i wraz z kamykiem przerzucają na zachodni brzeg, a potem śpiewają rzewnie na kilka głosów, zaciągając się „*trofiejnymi*” papierosami:

„Wieczernij zwon, wiczernij zwon,  
kak mnoga dum zawodit on...”

A nad ranem rozpętało się piekło. Front walk przewalający się to na jedną, to na drugą stronę rzeki nie oszczędził wioski. Ludzie pochowali się do piwnic, ziemianek – gdzie kto mógł, a dźwięk moździerzy rznął powietrze na strzępy, przy wtórze rechotu erkaemów.

Sońka i Olga razem z innymi babami uciekły do chałupy Bondarczuków, bo ta była podpiwniczona. I ta cudza piwnica zdawała się być bezpieczniejszym schronieniem przed świstem kul niż ich własny dom, czyli tak zwana *piatistienka* z klepiskiem.

Ludzie stłoczeni w piwnicy oświetlonej tylko nikłym ognikiem świeczki trwają w milczeniu, przerywanym tylko czasem westchnieniami: „*Hospodi, pomiluj!*” lub „*Boże ty mój!*” w zależności od tego, czy ktoś chodzi do cerkwi, czy do kościoła.

A jak wreszcie wszystko ucichło, jak cisza znów podeszła pod próg i ludzie zaczęli przelazić przez umieszczone w podłodze właz z piwnicy do izby, oczom ich ukazał się dziwny widok. W izbie tej, w dwóch jej krańcach, pod ścianami, siedziało dwóch przerażonych chłopców, takich coś koło osiemnastki. Obaj byli ranni, bo krew nasączyła lewy rękaw jednego, a ten drugi podwinął pod brodę prawą nogę i ściskając ją, usiłował zatamować krwotok. Obaj mieli na sobie strzępy mundurów. Dwóch różnych mundurów. Dwóch wrogich sobie mundurów. I tylko te mundury ich różniły. Byli tej samej postury, obaj jasnowłosi, obaj niebieskoocy. Obaj dziecięco przerażeni.

– Ano, Sońka, ruskiego trzeba opatrzyć! – decyduje stary Bondarczuk.

Dziewczyna rozejrzawszy się pobieżnie dookoła i nie znalazłszy niczego, co mogłoby sprawdzić się jako bandaż, drze rąbek swojej kretonowej sukienki i opatruje ranę na ramieniu Rosjanina. Niemiec patrzy na nią błagalnie, ale stary Bondarczuk spluwa na podłogę:

– A szkopowi soli posypać na ranę, ot co!

Po ludziach wyłazących z piwnicy idzie szmerek, ale Sońka urywa drugi kawałek sukienki, podchodzi do Niemca i opatruje go tak samo dokładnie jak Rosjanina.

– Zabrać im giwery, *nichaj idut k'jebieni matieri*, do swoich. – Stary Bondarczuk podnosi z podłogi broń, odrzuconą na bok przez obu chłopaków.

– Ot, ty *durak!* – Olga puka się w czoło. – Toż jak oni wrócą do swoich bez broni, to czapa!

Bondarczuk marszczy brew, skrobie się w poorane zmarszczkami czoło, ale Olga już człapie do niego i nadstawia fartuch.

– *Anu, dawaj!* – dyryguje głosem tak stanowczym, jak stanowczy jest charakter poleskich bab.

Bondarczuk opróżnia magazynek pepeszy i mausera, naboje sypią się na podótek Olgi niczym fasola, kobieta aż przysiada pod ich ciężarem.

– *Anu – paszli, czort was padier!* – warczy stary, rzucając broń pod nogi młodzików. Chłopcy łapią się każdy za swoją i na oślep, jak wypuszczone z klatki króliki, kuśtykają w zarośla za domem. Każdy w swoją stronę.

### Wizyta

na spasionym łóżku kilim w pasy  
sama utkałam – mówi  
czeka na słowa  
co, powiem, że mi się nie podoba  
na kilimie lalka  
lala w szerokiej spódnicy w pasy i białej bluzce  
sama uszyłam  
nawet majtki – pokazuje  
ładna  
wiem, że za mało

dziś żałuję,  
co mi szkodziło  
zachwycić się  
patrzeć jak się rozpromienia

tak niewiele potrzeba,  
by sprawić radość  
zapamiętałabym słońce w jej oczach  
uśmiech wąskich warg

pamiętam smutek

**Czy to sen?**

Woda życia  
woda śmierci  
powoli zanurzam się po szyję  
oplata mnie jak wąż  
miękki i oślizły  
owija w kokon  
kołysze powoli  
do wiecznego snu  
żarłoczny piasek pochłania stopy  
z głębi trzewi wyrывa się  
krzyk  
rozedrgane powietrze niesie głos  
jak telefon, myślę  
telefon  
dzwoni i dzwoni



# Kult bogini Mylitty

Jest bramą do istoty wszechrzeczy. Tylko przez jej ciało wiedzie droga poznania wiecznej jaźni, która przenika wszystko. Jest jej widowym ziszczeniem. W niej żeński czynnik dwoistej zasady istnienia przybiera najdoskonalszą postać spośród wszystkich, jakie zna Stworzenie. To ona, w tej ziemskiej postaci, ma w sobie pierwszy promień światła, z którego powstaje wszystko.

Jest żywym wcieleniem Mylitty, królowej niebios i ziemi, wiatru – świętego tchnienia, wszystkich krain i bogów. Przez nią, wszechobecną, mogę zjednoczyć się z tym, co otwiera dla mnie wieczność.

O tym myślę, gdy patrzę na scenę z akwareli Stanisława Wocjana, malarza kapłanek mrocznych kultów i nagich dziewic, składanych w ofierze. Namalował swój *Kult bogini Mylitty* w 1934 roku. Mistrz i nauczyciel Wocjana, Marian Wawrzeniecki, Strażnik Wiary Przyrodzonej Słowian, ciągle jeszcze sygnował swoje płótna swastyką, lecz niedalekie były czasy, gdy wielbicielom oper Wagnera złamany krzyż posłużył do rytuałów w oparach cyklonu B. W malarstwie Wocjana jest jakby zapowiedź ofiary całopalnej, jaką Polska złożyła na ołtarzach czcicieli trupich czaszek. Mam też olejny akt jego pędzla; nawet tam kobieta stoi pochyłona i udęczona, oparta o ścianę rękami, które wyglądają na skrępowane – jakby czekała na uderzenie bąta.

Świątynia z akwareli Wocjana stoi na peryferii bezczasu. Nie można przypisać jej do żadnej epoki dziejów, żadnej cywilizacji, żadnego porządku w architekturze. Anachroniczna i eklektyczna, gromadzi je w sobie wszystkie. Przybytek asyryjskich bogów ma rozmach rzymskiego *templum*, obcy budowlom Sumerów lepionych z suszonej gliny. Belkowanie wysokiego stropu wspierają egipskie kolumny z hatoryckimi kapitelami, ołtarz flankują chaldejskie skrzydlate byki lamassu.

Przed moimi oczami odbywa się rytuał świętej ofiary. Przy ołtarzu stoi naga kobieta, której ciało posłuży do zjednoczenia z boską Mylittą. Bogini zstąpi z przestworzy ponad zikkuratem i objawi się w postaci swojej kapłanki, która sama stanie się Mylittą. Przez krótki czas, tyle ile potrzeba do spełnienia liturgii, będzie boginią.

Kim jest ta kobieta? Widzę jej zmieszanie. Arcykapłan w baniastej tiarze czuwa nad ceremonią. Przed obnażoną kobietą stoi ten, który zaraz dostąpi łaski, zgięty w pół starzec, któremu dotknięcie bogini ma zapewne rozgrzać stygnącą krew. Panuje tropikalny upał, lecz starzec przywdział królewskie szaty, które mają świadczyć o jego bogactwie. Jest tam jeszcze naga harfistka, siedząca na posadzce przy ołtarzu, młody eunuch okryty tylko przepaską na biodrach, który przypatruje się tej scenie, a w oddali widać jeszcze inne nagie kobiety, które czekają na swoją kolej, aby złożyć z siebie ofiarę.

Ta, która to właśnie czyni, stoi oparta o mensę ołtarza i odwraca głowę od arcykapłana i starego człowieka w pięknych szatach, który wpatruje się, osłupiały, w jej łono. Nie jest ciekawa, kim będzie ten mężczyzna, z którym dopełni się rytuał. Jak każda z babilońskich kobiet jeden raz w życiu musi oddać się obcemu mężczyźnie, w imię Mylitty.

Napisał o tym Herodot. Mylitta miała świątynie w Niniwie, Ur chaldejskim, Uruk, Nippur i Babilonie. Każda babilońska kobieta raz w życiu oddawała się za pieniądze nieznanemu, co czyniło ją poświęconą wielkiej bogini. Młode dziewczęta mogły ofiarować bogini swoje dziewictwo, w czym pośredniczył kapłan. Defloracja, dokonana przez uświęconą osobę, miała aspekt świętości.



Według Herodota, bogini, która u Asyryjczyków nosi imię Mylitta, przez Arabów zwana jest Alilat. Imię nasuwa skojarzenie z Lilith, pierwszą żoną Adama, o której milczy Biblia. Kabaliści utrzymują, że Adam przez sto lat wystrzegał się Ewy, aby nie zapełnić piekła ich potomstwem. W chwili słabości Lilith uwiodła go i została jego żoną, a z ich związku powstały demony. Ewa natomiast została kochanką upadłego anioła Samaela, który wśliznął się do raju w postaci węża. Amerykańska dziewiętnastowieczna wolnomyślicielka i mistyczka seksualna Ida Craddock, która badała dzieje niebiańskich oblubieńców, przyznała się, że sama dostąpiła wielkiego przywileju, zostając ziemską żoną anioła o imieniu Soph, nawiedzającego ją nocami z niewidzialnego świata.

Pisma Craddock z zakresu studiów nad ezoteryczną seksualnością niektórzy zaliczają do najbardziej niezwykłych ludzkich dokumentów, jakie kiedykolwiek powstały. Zajmowała ją zwłaszcza okryta mrokiem niedopowiedzeń i usuwana z powszechnej świadomości tradycja dotycząca aniołów Bożych, którzy wzięli sobie żony spośród córek ludzkich. Mówi o tym Biblia, a komentarze na ten temat pozostawili Paweł Apostoł i ojcowie Kościoła. Ireneusz z Lyonu napisał, że kobieta powinna mieć na głowie zasłonę ze względu na aniołów. Tertulian zaleca noszenie zasłon przez dziewice, ponieważ ich twarz jest tak niebezpieczna, że skłania aniołów do grzechu. Justyn Męczennik mówi, że aniołowie dali się uwieść miłości do kobiet i spłodzili dzieci, a zniewoleni przez swoje pożądliwe namiętności rozplenili wśród ludzi wszelką niegodziwość. Święty Augustyn nie śmiał zaprzeczyć, że duchy powietrzne mogą być cielesne, skoro ten żywioł, tylko poruszany wachlarzem, wyczuwalny jest zmysłem ciała i dotykiem, mogą też ulegać pożądaniu i obcować z kobietami w taki sposób, by one to odczuwały. Wierzył jednak, że aniołowie Boży w żadnym wypadku nie mogli się aż tak zatracić.

Asyryjska Mylitta była tą samą boginią, którą hebrajskie źródła zwą Asztoreth, zaś Abraham znał jako Astarte. Jej anachroniczne hipostazy to mezopotamska Inanna, przerażająca punicka Tanith, owiana dymem palonych żywca niemowląt i „szepcząca o miłości, która jest straszniejsza niż nienawiść”; babilońska Ishtar, ugaryckie Hanat i Anath, egipska Izyda, może też egipska Qadesh, koryncka Afrodyta, syryjska Wielka Kochanka – Atargatis oraz rzymskie Dea Caelestis i Wenus Erycyńska. Wspólną cechą liturgii tych kultów było założenie, iż miłość zmysłowa ma wartość uświęcającą. Gdyż miłość jest wyzwaniem rzuconym ciemności. Być może jedyną drogą, by w najwyższej harmonii ducha i ciała osiągnąć poczucie jedności tego co ludzkie z boskością.

To, co widzimy na ołtarzu w świątyni Mylitty, jest tylko zewnętrznym przejawem tego, co Wocjana w istocie interesuje. Co onosi się, niewidoczne, w aurze nasycającej tę scenę, gdyż przyziemne ma pozwolić osiągnąć nadziemskie, niebiańskie. Wocjan bada mistykę miłości zmysłowej, która dla niego jest czymś więcej niż tylko zespoleniem płci. Bada duchowość skupioną w transcendencji kobiety. Akt, którego ziemski obraz mamy przed oczami, odbywa się w kosmosie, gdyż zasadnicze znaczenie mają najgłębsze powiązania pomiędzy wewnętrznym światem człowieka a rzeczywistością makrokosmosu. To akt stwórczy w najbardziej pierwotnej, metafizycznej postaci. To nie kobieta i mężczyzna łączą się w murach świątyni, lecz boska mądrość – wieczna święta siła życiowa i czynnik przemiany w stwórczym procesie, dynamiczny aspekt Absolutu, przenika teologiczny kobiecy aspekt boskości, sferę, która staje się dawczynią formy dla niebios i ziemi, i wszystkiego. Akt, który prowadzi do powstania nowego życia, jest stworzeniem całego Wszechświata.

Objawienia wiecznej kobiecości, obecne w adoracji Mylitty i pokrewnych jej, pogańskich kultach, nie należą bynajmniej do zamierzchłej przeszłości. Zdarzają się i dzisiaj. Około 1990 roku na Ukrainie iluminacji dostąpiła Marina Cwigun, dwudziestosiedmioletnia pracownica komitetu okręgowego Komsomołu w Dniepropietrowsku, później dziennikarka radiowęzła w donieckiej fabryce przędzy czesankowej. Boga rozpoznał w niej mąż, Jurij Kriwonogow, sowiecki inżynier-cybernetyk z Instytutu Neurologii, Psychiatrii i Narkologii Akademii Nauk Medycznych Ukrainy w Charkowie, założyciel ezoterycznego Instytutu Duszy,

a zarazem współpracownik tajnego wydziału KGB, zajmującego się badaniem manipulacji masową świadomością. Kriwonogow – nowe wcielenie Jana Chrzciciela, ogłosił Marinę stwórcą wszechświata o imieniu Maria Devi Christos. Według niego przeżyła śmierć kliniczną, a kiedy jej dusza opuściła ciało i wstąpiła do nieba, inna dusza, boska, przeniosła się do umierającego ciała Mariny.

Maria Devi Christos wkrótce przyciągnęła do siebie sto tysięcy fanatycznych wyznawców, którzy na jedno jej słowo gotowi byli sponać.

Mówiła o sobie, że jest Matką Świata, Matką Wieczności, Wielką Niezaistniałą która Trwała Sama w Sobie, kiedy nic jeszcze nie zaczęło być, gdyż było, przed czasem, w niej samej. Odwiecznie męskie trwało w niej spójne z odwiecznie żeńskim w błogosławionej harmonii doskonałości, aż wypełnił się czas i męskie zostało uwolnione, wprawiając w drżenie wszystkie sfery jej istoty. Światłomacierz poznała męża, własnego syna, poczętego w jej ciele, które ociekając krwią utworzyło bramy rajy.

Pracowałem w tych latach w Związku Sowieckim jako korespondent prasowy. Spotkanie z żeńskim wcieleniem Chrystusa stało się dla mnie najciekawszym wyzwaniem. Imperium waliło się w gruzy, a ona wzywała do rajy dla sprawiedliwych. Najpierw jednak trzeba było przejść przez ogień na placu Katedralnym w Nowym Kijewruszale, przed Sofijskim Soborem.

Obiecywała niebiańską miłość – któż by się jej oparł?

– Wejdź we mnie – wzywała – napełnij się moim bogactwem, obmyj się w mojej krwi i współzaistniej z atomów mojej istoty, współstwórz siebie mną. We mnie jest królestwo niebieskie, jestem naczyniem świętym, napełnionym mądrością miłości, niebiańskim rajem! Wejdź we mnie na wieczność, wąska jest droga do królestwa rozkoszy. Każdy, kto mnie zazna, stanie się świętym.

Kiedy dzisiaj patrzę na akwarelę Wocjana, znajduję w niej tę samą siłę, czerpaną z idei wiecznej Boskiej Kobiecości. Wocjan – inżynier elektrotechniki, profesor geometrii wykreślnej i autor podręczników kresleń technicznych, był zarazem mistykiem. Odkrył żeński aspekt Absolutu, który sam siebie nie może wyrazić inaczej, niż przez kobietę, i w kobiecie, rodzicielce życia, ucieleśnia się jego stwórcza moc. Kobieta jest w sztuce Wocjana źródłem, esencją i substancją wszelkiego stworzenia, jego ucieleśnieniem i energią, która je ożywia i utrzymuje w ruchu, a także tą, w której wszystko ostatecznie się rozpułnie. Słyszał też muzykę niebios, którą transponował na język malarstwa. Nokturny Chopina i *Odwieczne pieśni* Karłowicza stały się dla niego najsubtelniejszym przejawem rzeczywistego istnienia Absolutu, jego głosem, którym porozumiewa się z ludźmi. Ścisły umysł artysty potrafił przypisać dźwiękom genialnej muzyki chromatyczną wartość, której walor odnajdywał w palecie barw.

Obcował z tymi ulotnymi bytami, nosicielami mistycznego piękna, odrywając się od otaczającego go świata – zgłiszcz rodzinnej Warszawy, w której podczas powstania spłonęły wszystkie jego obrazy, nawet od tego, że jako niezależny artysta, stroniący od socrealizmu, swoją pierwszą po wojnie wystawę musiał pokazać nie w ocalałym gmachu Zachęty, tylko na politechnice, w Sali Wysokich Napięć.

Był arystokratą ducha. Nie bez znaczenia było jego arystokratyczne pochodzenie, gdyż wywodził się z węgierskich książąt Arpadów o tysiącletnim rodowodzie. Jego rycerski przodek Vuosian wzmiankowany jest w roku Pańskim 1001.

Nie przeszkadza mi, że był epigonem realizmu minionych wieków, pogrobowcem Matejki, Chełmońskiego i Siemiradzkiego. Że nienawdził abstrakcji, Picassa wysyłał do psychiatry i zrywał się w swoich piśmach na współczesnych „artystów”, którzy przedstawiali kobietę jako „koślawą, obrośniętą poczwarę z kwadratową twarzą i pazuro-pierzastymi kończynami”. Odkryłem bowiem ukrytą istotę jego sztuki, zbrojnej w konsekwentny sprzeciw wyzwaniom awangardy: mistyczne przesłanie płynące z zapamiętania w otchłań czasu, opowieść o kobiecie – nosicielce prawdy, piękna i ostatecznej tajemnicy, płonącej na ofiarnym stosie, nieśmiertelnej.

**Szum szyn**

Szorstki dźwięk szyn  
w tramwaju pustka  
szklane ekrany  
ludzie

mówisz że jest żurek w garnku  
od trzech dni  
pada deszcz  
szum w uszach

masz rozpuszczone włosy w snach  
a o poranku  
dwa słowa  
na dzień

znów chce ci się spać  
znów czekamy cierpliwie  
znów przyjdzie wiosna

szorstki dźwięk szyn

**Mniej**

Spójrz na nasze zdjęcie ślubne  
coraz więcej  
osób

już tam  
nie  
ma

wujek ze starej wsi  
ciocia z zachodniego miasta  
a tego nawet nie pamiętam

coraz mniej  
mają do  
powiedzenia

ci których  
już nie  
ma

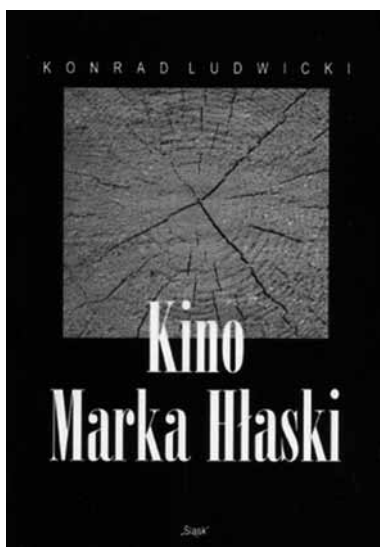
na naszym zdjęciu  
ze ślubu

# Hłasko był dla mojego pokolenia legendą

Z Andrzejem Buckiem, dyrektorem Festiwalu Filmu, Teatru i Książki, rozmawia Piotr Prusinowski

**Piotr Prusinowski:** Zwieńczeniem tegorocznego Kozzi Film Festiwalu będzie maraton filmów inspirowanych twórczością Marka Hłaski. Czy mógłby Pan zdradzić, jakie tytuły zostaną zaprezentowane w ramach przygotowywanego projektu „Hłaskover”?

**Andrzej Buck:** Rzeczywiście, twórczość Marka Hłaski będzie towarzyszyć nam podczas Festiwalu Filmu, Teatru i Książki. Sejm RP wybrał patronów roku 2024, honorując m.in. tego właśnie autora. Powszechnie wiadomo, że pisał dialogi, a jego proza stała się inspiracją scenariuszy kultowych polskich filmów fabularnych. Nawiasem mówiąc, Hłasko często nie był zadowolony z pracy reżyserów tych ekranizacji... Na 14 czerwca planowana jest debata z udziałem dwojga ekspertów: Paulina Potasińska ma w swoim dorobku pracę *Kult, mit i kompleks. Figury autokreacji w twórczości Leopolda Tyrmanda, Marka Hłaski i Tadeusza Konwickiego*, natomiast drugi z zaproszonych gości – prozaik i literaturoznawca Konrad Ludwicki – dał się



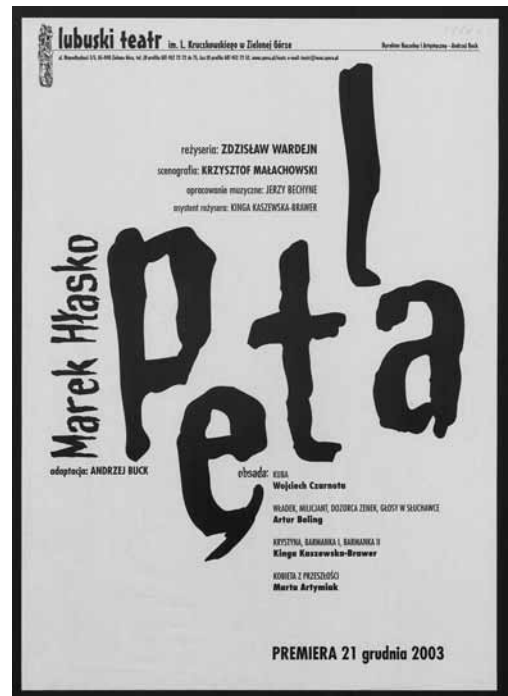
Zbliżenia

poznać m.in. jako autor monografii *Kino Marka Hłaski*. Jak Pan wspominał, zaplanowałem, aby w programie Festiwalu znalazł się maraton filmów opartych na prozie Marka Hłaski lub nakręconych z jego udziałem w funkcji scenarzysty bądź autora dialogów. W ramach tego wydarzenia odbędą się projekcje następujących obrazów: *Baza ludzi umarłych* (reż. Czesław Petelski), *Pętla* (reż. Wojciech J. Hasa), *Ósmy dzień tygodnia* (reż. Aleksander Ford), *Koniec nocy* (reż. Julian Dziedzina, Paweł Komorowski, Walentyna Uszycka), *Zbieg* (reż. Stanisław Jędryka), *Sonata marymoncka* (reż. Jerzy Ridan), *Skarb kapitana Martensa* (reż. Jerzy Passendorfer). Jako eksperta i moderatora tego cyklu festiwalowego zaprosiliśmy ks. prof. Andrzeja Dragułę.

**Planowane jest również czytanie *Pętli*. Czy będzie to adaptacja, którą przygotował Pan 20 lat temu z myślą o spektaklu w reżyserii Zdzisława Wardejna? Czy wydarzenie to będzie przywoływać pamięć o tamtym przedstawieniu, będącym pierwszą i jak dotąd jedyną „przygodą” Lubuskiego Teatru z twórczością Hłaski? Czy w trakcie pracy nad adaptacją odwoływał się Pan wyłącznie do literackiego pierwowzoru? Czy też – w jakimś stopniu – do innych interpretacji tego opowiadania, chociażby do słynnej ekranizacji w reżyserii Wojciecha J. Hasa?**

Hłasko był dla mojego pokolenia legendą. Na zajęciach ze studentami Uniwersytetu Wrocławskiego czytałem we fragmentach jego *Cmentarze* – z wydania podziemnego na tzw. małej poligrafii. Ekscytował mnie też *Pierwszy krok w chmurach*. Nie mniej silną inspiracją była dla mnie ekranowa wersja *Pętli* w reżyserii Hasa, urzekła mnie zwłaszcza scena w Barze pod Orłem w kreacji Gustawa Holoubka i Tadeusza Fijewskiego. Co prawda, zaprzętał mnie wówczas niezwykle ważny projekt pn. Scena Młodych Reżyserów i Nowej Dramaturgii, w ramach którego wystawialiśmy w Lubuskim Teatrze m.in. *Powrót*, *Koronację*, *Opowieści o zwyczajnym szaleństwie*, *Czaszkę z Connemara*, *Halo nazi!* Jednak Hłasko też był istotny, choć trudno dostępny lekturowo. Punktem wyjścia do rozważań nad fenomenem twórczości Mar-

ka Hłaski jest pytanie o znaczenie prozy tego autora, odczytywanej na rozmaite sposoby. Pytamy np. o literackich „sąsiadów” pisarza – polskich i zagranicznych, towarzyskich i politycznych, w kraju i na emigracji. Zastanawiamy się nad naukową i publicystyczną hłaskologią, a zwracając uwagę na historię edycji prozy Hłaski, nie zapominamy, że prowadził on bogatą korespondencję, a ta kierowana do niego pozostaje wciąż rozproszona. Osobne miejsce zajmuje relacja Hłaski z filmem albo też filmu z Hłaską. Mówimy o legendzie czy może pseudolegendzie Hłaski, jednocześnie unikając zamykania go w niej na klucz. Zastanawiamy się nad relacją pisarza z Warszawą i miejscem, które zajmowała w jego twórczości.



Trochę odbiegłem od zadanego pytania, przepraszam... Tak, planowany jest tzw. czytany teatr: Hłasko performatywny, otwarta próba czytana nawiązująca do spektaklu *Pętla* z roku 2003 w mojej adaptacji, w reżyserii Zdzisława Wardejna. Mam nadzieję, że uda się skompletować ekipę aktorską jak przed laty – z aktorskim udziałem Marty Artymiak, Kingi Kaszewskiej, Artura Belinga i Wojtka Czarnoty.





Ponadto czytaniu będzie towarzyszyć promocja specjalnego wydania kwartalnika „Pro Libris. Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego”, które już od 23 lat jest nieprzerwanie obecne na rynku wydawniczym, posiada utrwaloną markę najważniejszego w województwie periodyku o tym profilu, ma swoją stronę internetową ([prolibris.net.pl](http://prolibris.net.pl)), dociera w najdalsze zakątki województwa i do ważniejszych ośrodków kulturalnych w kraju. Realizując koncepcję Fundacji Lotto w aspekcie programu Patroni Roku, nagłaśniamy i propagujemy wybrane przez Sejm i Senat sylwetki twórców ze świata literatury, w tym Marka Hłaski. Ponadto w numerze odnajdą Państwo wartościowe teksty uczonych, prowadzących badania nad spuścizną Hłaski (m.in. autorstwa profesora Mariana Kisiela) oraz innych tegorocznych patronów festiwalu.

**Skąd przyszedł pomysł, żeby akurat w tym czasie, na przełomie 2003 i 2004 roku, zaadaptować opowiadanie Hłaski na potrzeby wie-**

## **lonogórskiej sceny? Czy chodziło przede wszystkim o uczczenie 70. rocznicy urodzin pisarza?**

Nigdy nie myślę i nie kierowałem się kategoriami rocznic. Chociaż niektórzy krytycy taką motywację niekiedy sugerowali (np. red. Artur Łukasiewicz w „Gazecie Wyborczej”). Hłasko skupiał moją uwagę jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku, kiedy badałem prasę literacką młodych. Jej elementem było tzw. drugie „Po Prostu”, w którym Hłasko pracował w okresie 1955-1957. Piszę o tym w mojej książce pt. *Czasopisma literackie młodych po roku 1945*.

## **Dlaczego spośród wszystkich utworów Hłaski zdecydował się Pan właśnie na *Pętlę*?**

Nim odpowiem na to pytanie, przytoczę ważną w kontekście *Pętli* postać Zdzisława Wardejny, z którym przyjaźnił się od lat. Najpierw zafascynowała mnie jego legenda, przedziwny epizod z życia przyszłego aktora (jego domniemana śmierć podczas tzw. Wydarzeń Poznańskiego Czerwca 1956), o czym wielokrotnie opowiadał. Na kanwie tej historii powstał film dokumentalny Michała Dudziwicza pt. *Paradoks o konduktorze*, w którym – notabene – Wardejn wcielił się w narratora. Podczas przygotowań do kolejnego jubileuszu Lubuskiego Teatru pojawiła się w rozmowach legenda Marka Okopińskiego (dyrektora LT w latach 1960-1963) i trzy nazwiska – Machalicy, Wardejny, Winiarskiej – osób, które z tym wybitnym reżyserem pracowały. Wardejn, po skończeniu studiów aktorskich w Warszawie, zrezygnował z pracy na tamtejszych scenach i przyjechał do Zielonej Góry. Okopiński dawał mu wolność wyboru roli, możliwość podejmowania dużych wyzwania aktorskich oraz swobodę konkretyzacji postaci. Po latach, w 1996 roku, wymienieni aktorzy zagościli na deskach LT podczas Winobraniowych Spotkań Teatralnych. Zdzisław Wardejn zagrał w *Nocnym życiu*, Henryk Machalica – w *Tylko umrzeć*, a Halina Winiarska – w *Ośmiu kobietach*. Potem zaprosiłem Wardejny do roli w *Szalonych nożyczkach* – farsie interaktywnej Paula Pörtlnera w reżyserii Grzegorza Matysika. W następnej kolejności, pod wpływem fascynacji twórczością

francuskiej dramatopisarki Yasminy Rezy, zaprosiłem Wardejna do wyreżyserowania w LT *Przypadkowego człowieka*. Natomiast *Pętlę*...



Jak wspominałem wcześniej – Marek Hłasko był dla naszego pokolenia idolem, symbolem nonkonformizmu. Szedł za tym jego mit – najpierw, w 1956 roku, Nagroda Literacka Wydawców i trzy wydania *Pierwszego kroku w chmurach*, potem ważny artykuł w „Trybunie Ludu” (*Primadonna jednego tygodnia*) zapoczątkowujący tzw. batalię o Marka Hłaskę, potem stypendium i wyjazdy zagraniczne (m.in. Francja, Niemcy, Izrael, USA). Były też konotacje z polskim Jamesem Deanem, legenda „pisarza przekłętego”, a wszystko na tle skandalizujących historii z życia Hłaski, jego związków z kobietami (m.in. Agnieszką Osiecką i Sonją Ziemann), artystycznych przyjaźni (m.in. z Krzysztofem Komedą), spotkań w Kazimierzu nad Wisłą, wojaży do Ameryki... Tak, Hłasko to kultowa postać... W Lubuskim Teatrze wystawiliśmy jego wspomnianą wcze-

śniej *Pętlę*, opowieść o tragicznych losach człowieka uzależnionego od alkoholu.

**W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć fragment rozmowy redaktor Danuty Piekarskiej z reżyserem Pętli, Zdzisławem Wardejnem, o inspiracjach, które towarzyszyły powstawaniu spektaklu:**

– **Co pana skłoniło do sięgnięcia po Pętlę Marka Hłaski?**

– Dwa powody. Jeden związany z autorem: twórczość Marka Hłaski zawsze bardzo mnie interesowała. Dawno temu w Teatrze Ochota w Warszawie zrobiłem *Wieczór autorski Marka Hłaski*, spektakl nagrodzony zresztą na festiwalu w Szczecinie. Po latach postanowiłem znów wrócić do jego prozy.

– **A drugi powód?**

– Wciąż ważny temat alkoholizmu.

– **Proponuje pan spektakl o alkoholizmie? Zapachniało dydaktyką...**

– Zapraszam na spektakl o miłości, o nienawiści, o różnych uczuciach, jakie towarzyszą nam w trudnej życiowej sytuacji, którą rodzi alkoholizm bliskiej osoby.

– **Gdyby miał pan jednym zdaniem określić, o czym jest przedstawienie, jakie dziś zobaczymy?**

– O poszukiwaniu miłości. Na przekór wszystkim i wszystkiemu. O wierze w człowieka – na przekór wszystkiemu.

– **W programie napisano też o strasliwej mocy słowa, które zależnie od tego, jak zostanie użyte, może człowieka uskrzydlić, ale może też pozbawić wiary i siły.**

– Nie umiem tak pięknie pisać... Ale o tym również mówi przedstawienie *Pętlę*.

Zawodowa znajomość z Wardejnem i Małgosią Pritulak przerodziła się w zażyłość i zaowocowała dalszymi działaniami. Zaprosiłem tę artystyczną parę do współpracy w ramach 2. Festiwalu Filmu

<sup>1</sup> D. Piekarska, *O poszukiwaniu miłości*, „Gazeta Lubuska” 2003, nr 102, s. 10.



i Teatru. I tak 21 czerwca 2013 roku w klimatycznej scenierii Przystanku Teatralnego – Stacja Agathy Christie **wystawiliśmy premierę teatralną Festiwalu Witolda Gombrowicza *Iwonę, czyli „te okropne godziny”*** (reż. Zdzisław Wardejna i Andrzej Buck, z udziałem Wardejna, Andrzeja Nowaka i Marty Bieławy).

**Przygotowując sceniczną adaptację *Pętli*, nie próbował Pan tej historii uwspółcześniać. Czy z perspektywy czasu, jaki upłynął od pierwszego wydania utworu, ważne stało się również to, aby przybliżyć współczesnemu widzowi realia i koloryt minionej epoki, jaką były lata 50.?**

Sądzę, że to drugie, choć trudno mówić tu o kolorycie wobec szarości tego okresu. Dla mojego pokolenia tamten czas to emocjonalna zagadka. Podsyłali ją moi ówcześni mentorzy – prof. Kazimierz Wyka czy Andrzej K. Waśkiewicz, którzy wpoili we mnie pokoleniowość w spojrzeniu na literaturę. Przeczytałem wówczas *Ucieczkę z kamiennego świata* prof. Tadeusza Drewnowskiego i pojawiła się fascynacja Tadeuszem Borowskim. Z kolei Lesław Bartelski nakierował mnie na Gajcego, Trzebińskiego i Bojarskiego. Wszyscy wymienieni ginęli jako redaktorzy naczelni „Sztuki i Narodu”. Kazimierz Wyka natomiast spowodował, że biografia Krzysztofa Baczyńskiego stała mi się bliska, także jego postawa buntu i niezgody. I chociaż Stanisław Grochowiak twierdził, że „bunt się ustatecznia”, to nie dotyczył Hłaski. On zajął postawę z wiersza *Kopniaki* Andrzeja Bursy, autora *Ogrodu Luizy*. Bogdan Rudnicki natomiast opisał legendę Hłaski. To była pierwsza

książka, która usystematyzowała moją wiedzę i apetyt na legendę. I czekanie na pełne wydanie tekstów.

**Niedługo później przygotował Pan adaptację książki Barbary Samson *Piekło siedemnastolatki. Byłam dziewczyną narkomana*. Spektakl w reżyserii Beaty i Artura Belingów, zatytułowany po prostu *Byłam dziewczyną...*, to kolejna po *Pętli* premiera Lubuskiego Teatru. Czy bliskie sąsiedztwo w czasie obu tych spektakli wpisywało się w pewien szerszy artystyczny projekt, zmierzający do uświadomienia widzom – zwłaszcza młodym – problemów związanych z niebezpiecznymi nałogami?**

Nie lubię w teatrze publicystyki, zatem trudno mówić o bezpośrednim przełożeniu. Bardziej doszukiwałem się tu inspiracji spowodowanej przez współpracę z reżyserem Krzysztofem Rościszewskim – reżyserem, który na początku mojej dydaktyki zrealizował w Lubuskim Teatrze *Narkomanów* na podstawie książki *Byłam dziewczyną narkomana* Barbary Rosiek. Ja sięgnąłem do Barbary Samson...



**Zdzisław Wardejn swoją karierę zaczynał w latach 60. ubiegłego wieku na deskach zielonogórskiej sceny. Po niemal czterech dekadach powrócił gościnnie do współpracy z Lubuskim Teatrem, gdzie – oprócz występu w komedii *Szalone nożyczki* – dał się poznać jako reżyser trzech spektakli (m.in. *Pętl*). To wszystko w okresie Pańskiej dyrekcji. Jak zaczęła się ta twórcza współpraca, kontynuowana zresztą niejednokrotnie również w Bibliotece Norwida?**

Warto jeszcze pamiętać – jak już wspomniałem – o *Przypadkowym człowieku* Yasminy Rezy z Andrzejem Nowakiem i Tatiąną Kołodziejską. Z Wardejmem robiliśmy wspólnie Zielonogórski Salon Poezji, Czytelnię Dramatu, Drama Festiwal. Nie ukrywam, że artyści dekad poprzednich, minionych, interesowali mnie zawsze (np. Malanowicz, Zbrojewicz, Gryń, Kierc, Grochowiak...). Towarzyszyła mi w tym zainteresowaniu ówczesna krytyka, w tym wybitni dziennikarze: Jasiu J. Dębek, Danuta Piekarska, Snobka i Zdzisław Haczek. Wykorzystywali oni obecność tych aktorów, pisząc o nich i o tradycji zielonogórskiego Teatru. Ja sam prawie namówiłem

Henryka Machalicę na pracę przy *Learze*. Nie zdążył, ale chciał.

Programowo robiliśmy tzw. Tryptyk szekspirowski (*Poskromienie złoŹnicy* Grzegorza Matysika, *Makbeta* Wiesława Hejno i *Leara* Tomka Mana). Wardejn często opowiadał mi o tych pierwszych latach funkcjonowania teatru. Ja poznawałem LT dopiero za krótkiej dyrekcji Ryszarda Źuromskiego w latach 1974-76, więc siłą rzeczy ten wybitny aktor, jakim jest Wardejn, budował we mnie legendę zielonogórskiego teatru. Zaszczepił we mnie także fascynację Helmutem Kajzarem, z którym pracował w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu i Warszawie. Tej postaci nie sposób pominąć. To twórca teatru meta-codzienności, który związaną ze zwykłym, codziennym życiem powtarzalność i prostotę obejmował czułym, uważnym spojrzeniem. Już wkrótce minie 40 lat od jego śmierci.

Wardejn opowiadał wielokrotnie, jak trafił na zielonogórską scenę. To cenne. Warto by tę wiedzę zatrzymać. Tak jak to uczynił nestor Lubuskiego Teatru, Zdzisław Grudzień, w dwóch tomach wspomnień zatytułowanych *W kulisach i na scenie*.

**Dziękuję za rozmowę**



# Na tropach Hłaski

W 1935 roku Melchior Wańkowicz udał się wraz z najmłodszą córką w podróż po Prusach Wschodnich, by szukać śladów Smętka, czyli diabła znanego z kaszubskich i mazurskich legend. Ta podróż zaowocowała powieścią reportażową *Na tropach Smętka* (1936), do dziś uznawaną za jeden z najważniejszych utworów non-fiction powstałych w dwudziestoleciu międzywojennym. Nieco wcześniej, bo 14 stycznia 1934 roku, w Warszawie urodziła się inna legenda: prozai i mitoman, „Hemingway z Kuluszek” i „polski James Dean”, potomek szlacheckiej rodziny pieczętującej się herbem Leliwa<sup>1</sup> i samotny wilk z proletariackiego Marymontu, który – jak twierdziła Agnieszka Osiecka – „wymyślił sobie około stu różnych życiorysów i około tysiąca różnych scenariuszy, w których występował osobiście”<sup>2</sup>. Te życiorysy, scenariusze i odgrywane z przekonaniem role do dziś fascynują zarówno czytelniczki/czytelników Marka Hłaski, jak i badaczki/badaczy jego przyćmionej przez legendę biograficzną twórczości.

## Czytelnik pamięta

Na swoją legendę Hłasko zaczął pracować już w dzieciństwie: najpierw jako kilkunastoletni chłopiec prowadzący pamiętniki<sup>3</sup>, potem jako nastolatek, który o swoim robotniczym pochodzeniu opowiadał tak sugestywnie, że uwierzyli w nie literaci opiekujący się w Kole Młodych adeptami pióra. Nabrał nawet Igora Newerlego, który – podobnie

jak obiecujący debiutant – mieszkał w sercu inteligentckiego Żoliborza, nieopodal pl. Wilsona. Hłasko zawdzięczał Newerlemu nie tylko stypendium, podczas którego powstało socrealistyczne opowiadanie *Baza Sokołowska* (opublikowane w „Sztandarze Młodych” w 1953 roku, a rok później przedrukowane w „Almanachu Literackim”), lecz także pierwszą maszynę do pisania. Marzył o niej syn pisarza – Jarosław Abramow-Newerly, ale podczas tworzenia tekstów do Studenckiego Teatru Satyryków musiał zadowolić się piórem i „kratkowanym papierem”, bo nie jemu ojciec zaproponował pożyczanie swojego starego Underwooda<sup>4</sup>.

Kiedy w 1956 roku Hłaskę przyjmowano z pomocą do Związku Literatów Polskich, jego pozycja była już ugruntowana. W dołączonym do ankiety członkowskiej życiorysie relacjonował: „Urodziłem się w 1934 roku w Warszawie. [...] Do powstania uczyłem się w szkole powszechnej. Po powstaniu mieszkałem we Wrocławiu, gdzie skończyłem sz. Podst. Trzykrotnie usiłowałem skończyć IX kl. lecz za każdym razem bez powodzenia. Usunięto mnie wreszcie uważając za idiotę. Pracowałem potem jako pikolak, ładowacz, szofer, furman, monter itd. nie chce mi się wymieniać, bo i tak nikt nie uwierzy. Pisać zacząłem w 1951 roku”<sup>5</sup>. Swoją legendę budował konsekwentnie, uczestnicząc w życiu artystycznym stolicy, ale także konfabulując. W *Pięknych dwudziestolnicach*, czyli fabularyzowanym *quasi*-pamiętniku, wyznał: „Życie, które mi dano, jest tylko opowieścią; ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa”<sup>6</sup>. I opowiadał, mieszając prawdę z „prawdziwym zmyśleniem”.

<sup>1</sup> Zob. A. Czyżewski, *Piękny dwudziestoltni*, Warszawa 2012, s. 11.

<sup>2</sup> A. Osiecka, *Listy Agnieszki do Hani*, [w:] H. Bakula, *Ostatni bal. Listy do Agnieszki Osieckiej*, Warszawa 2001, s. 232.

<sup>3</sup> Pamiętniki 11- i 12-letniego Hłaski antycypują elementy ważne w jego późniejszej autokreacji. Zob. Z. Kwiecińska, *Opowiem Wam o Marku*, Wrocław 1991, s. 108-151.

<sup>4</sup> J. Abramow-Newerly, *Lwy STS-u*, Warszawa 2005, s. 136-137.

<sup>5</sup> A. Czyżewski, dz. cyt., s. 190.

<sup>6</sup> M. Hłasko, *Piękni dwudziestoltni*, Warszawa 2014, s. 10.

Po tym, jak „wybrał wolność”<sup>7</sup> i poprosił o azyl polityczny w Berlinie, ton tej opowieści diametralnie się zmienił. Nic dziwnego, bo z uwielbianego przez rzesze Polek i Polaków prozaika stał się „loserem, czyli przegrywaczem”<sup>8</sup>, któremu latami odmawiano powrotu do kraju, nawet po śmierci. Zmarł nagle 14 czerwca 1969 roku w niemieckim Wiesbaden na skutek połączenia dużej ilości środków nasennych z alkoholem. Nigdy nie dowiemy się, czy to było samobójstwo, czy nieszczęśliwy wypadek. Pochowano go w Niemczech i dopiero po 11 latach starań Marii Hłasko udało się sprowadzić do kraju prochy jedynaka i złożyć je na Starych Powązkach. Na warszawskim grobie „pięknego dwudziestoletniego” obok wieńców i zniczy można zwykle znaleźć papierosy i butelki po czymś mocniejszym, bo w młodości – jak podkreślał – „z entuzjazmem śledził pracę Polskiego Monopolu Spirytusowego”<sup>9</sup>. Czytelnik pamięta.

## Hłasko upupiony

To, że Hłasko nadal ciekawi i inspiruje, nie ulega wątpliwości. Mam jednak wrażenie, że choć trwa, to raczej w legendzie niż w swoich utworach. Mimo licznych akcji społecznych, debat i petycji na liście lektur szkolnych nie ma ani opowiadań, ani wspomnień „pięknego dwudziestoletniego”. „Hłaskologia” kwitnie, o czym niedawno przekonywali organizatorzy i organizatorki konferencji „Marek Hłasko dzisiaj”<sup>10</sup>. Wznawia się jego dzieła, publikuje listy, i niewydane wcześniej utwory (np. odnalezioną przez Radosława Młynarczyka młodzieńczą „powieść marymoncką” pt. *Wilki*). Powstają opracowania poświęcone twórczości Hłaski oraz jego biografie (pióra Andrzeja Czyżewskiego i Młynarczyka). Przeważnie te działania dostrzega jednak tylko wąskie grono osób i tak zainteresowanych fenomenem pisarza. Szerokie masy znają Hłaskę upupionego – przyszpilonę-

go do T-shirtów, wymyślonego przez serialowych scenarzystów i strywalizowanego przez raperów.

Ale po kolei. Ikony lat 50. lubiły stylizacje, rekwizyty, znaki szczególne. Kalina Jędrusik łączyła duży dekolt z maryjnym medalikiem, Zbyszek Cybulski chował się za ciemnymi okularami, a Hłaski prawie nie widywano bez papierosa zwisającego w kąciuku ust. Młynarczyk określił jego wygląd jako „skrzyżowanie Humphreya Bogarta z przodownikiem pracy”<sup>11</sup>. Ta stylizacja podobała się dziewczynom ponad pół wieku temu, a i dziś na niektórych robi wrażenie. Można to zresztą sprawdzić, bo z okazji 80. rocznicy urodzin pisarza firma Bytom zaprojektowała kolekcję inspirowaną jego stylem: ponad 20 modeli ubrań i dodatków, w tym koszulki z cytatami i zdjęciami Hłaski<sup>12</sup>. Oczywiście na wszystkich pali – w charakterystyczny dla siebie sposób – papierosa. To jego *differentia specifica*, o czym przekonał się Andrzej Stasiuk, bo kiedy – jak relacjonuje Krzysztof Varga – „ukazała się książka [...] *Przez rzekę*, na której okładce autor prezentował się z metafizyczną miną i szlugiem w ustach, to Stasiuka oskarżono, że na Hłaskę pozuje”<sup>13</sup>.

O pozach Hłaski i na Hłaskę zrobiło się znowu głośno w 2020 roku po emisji serialu biograficznego *Osiecka* w reżyserii Michała Rosy i Roberta Glińskiego<sup>14</sup>. Nie mogło w nim zabraknąć wątku panny Czaczkes i Fernanda, zwłaszcza że ich historia prawie zakończyła się ślubem. Osiecka nazwała swojego niedoszłego męża „proletariackim księciem z bajki, którego zazdrościły [jej – P.P.] koleżanki”<sup>15</sup>. Tak scenarzyści wymyślili tę postać. Grany przez Jędrzeja Hycnara Hłasko to wydmuszka – pusta w środku, a z zewnątrz oklejona frazesami, grymasami i po-

<sup>7</sup> Tamże, s. 79.

<sup>8</sup> Tamże, s. 89.

<sup>9</sup> Tamże, s. 32.

<sup>10</sup> Tym określeniem posłużyli się organizatorki/organizatorzy konferencji „Marek Hłasko dzisiaj”, która odbyła się w Żydowskim Instytucie Historycznym w styczniu 2024 roku; <https://www.jhi.pl/wydarzenia/konferencja--marek-hlasko-dzisiaj,2172> [dostęp: 8.05.2024].

<sup>11</sup> roku Młynarczyk, *Hłasko. Proletariacki książę*, Wołowiec 2020, s. 113.

<sup>12</sup> <https://bytom.com.pl/bytom-ikony> [dostęp: 8.05.2024].

<sup>13</sup> K. Varga, *Hłasko socrealistyczny, czyli legenda zagrożona*, „Gazeta Wyborcza – Duży Format” 2015, nr 229, s. 3. Chodzi o artykuł Mariusza Cieślaka. Zob. tenże, *Czy Stasiuk zastygnie w pozie Hłaski? Alkohol i ból egzystencji*, „Polityka” 1997, nr 8, s. 52.

<sup>14</sup> <https://vod.tvp.pl/serie/18/osiecka-odcinki,312726> [dostęp: 8.05.2024].

<sup>15</sup> A. Osiecka, *Lubię farbować wróble (z rozmów stworzyła Violetta Ozminowski)*, Warszawa 2016, s. 44.

zami, ubrana w ciuchy rodem z bazaru Różyckiego, emocjonalnie niedostępna, awanturująca się, niemal mieszkająca w SPATIF-ie i Kameralnej, ciągle pijana. To nie Hłasko. To gęba.

Owszem, autor *Sonaty marymonckiej* jest jednym „z najbardziej »kultowych« pisarzy warszawiaków współtworzących knajpiano-towarzystwą atmosferę stolicy”<sup>16</sup> – jak we wstępie do monografii *Sto metrów asfaltu. Warszawa Marka Hłaski* tłumaczyli Agnieszka Karpowicz i Piotr Kubkowski, ale to tylko jedno z jego wcieleń. Do tego wcielenia sprowadzili

---

<sup>16</sup> A. Karpowicz, P. Kubkowski, *Topo-Grafie III. Literatura i ruch*, [w:] *Sto metrów asfaltu. Warszawa Marka Hłaski*, red. A. Karpowicz i in., Warszawa 2016, s. 10.

go także reprezentanci stołecznej sceny hip-hopowej Pezet i Sokół (na marginesie dodam – prawnuk Stanisława Wyspiańskiego). „Piękny dwudziestoletni” to według nich outsider, birbant i flâneur, choć swoje przekonania ubierają w inne słowa. „Kiedy znowu wychodzimy na miasto/ To wchodzimy tam, gdzie wchodzisz na hasło/ I nieważne, kto by wygrał ten mecz/ Bo chodzimy po ulicach, tak jak Tyrmand i Hłasko” – powtarzają w refrenie utworu *Tyrmand i Hłasko*.

A może w roku, którego literackim patronem jest „piękny dwudziestoletni”, warto zajrzeć do jego książek i sprawdzić, co ma do zaoferowania Hłasko nieupupiony?

Małgorzata Mikołajczak

## Lubuski Wawrzyn Literacki 2023 w kategorii „poezja” dla Konrada Wojtyły za książkę *Scherzofrenia*

(laudacja)

„Nie znajdziesz tu nic dobrego” (*Szukanie*) – zapowiada poeta, nie można jednak brać na serio pierwszych słów tej książki. I nie należy się obawiać, że nas przytłoczy jej poważna tematyka – śmiertelnie poważna. „Umarła mi, bo nie wiedziałem, że jest to możliwe” (*Fantazmat*), „Jesień w tym roku taka piękna, a ty taka brzydko umarła” (*Hidźra*), „Gdybyś była mi umarła wcześniej, np. w słowie, dałoby się/ to jakoś znieść, nazwać, złożyć w epos...” (*Bodźce nieistniejące*).

Ile już słów i wierszy napisano o śmierci – śmierci matki, bo o niej tu mowa, a przecież, jak zauważa autor, „Wciąż trenujemy treny i budujemy dalej” (*Z desek i pali*). Także ów tom jest owocem takiego treningu. W jego tonach rozbrzmiewają echa znanych wierszy pożegnalnych, rezonują rozmaite tanatyczne wątki. Zatem jak to się dzieje, że rozmowa z umarłą nie staje się tu żałobnym lamentem, a wiersz o odejściu nie wpada w kolejną schematu? Najwyżej „trochę łez, co psują wiersz” (*Letarg*), „Kostki soli w rany, trochę scherza dla serca” (*Burza*).

Kluczowy jest język. „Kulka żalu toczy się i dotyka języka [...] Ciało obraca się w proch. Pustka/ w psotkę” (*Pustka po psotce*). Stąd „blaskfemia” (*Blaskfemia*) i „spowieść” (*Spowieść* „Nadto zbytki i apostazje, pęd kilku martwych słów, co zechcą zbiec poza słownik w niepisane liturgie znaczeń” (*Zła godzenie*). Niezwykłe rzeczy dzieją się tutaj z językiem. „Wszystko/ skrzypi, i szkli się, i iskrzy – szkwał słów” (*Szklę się, iskrzy*). „Skrzywiony skrzydłokwiat i skrzydłokist, co skisł./ I choroby liści, i planet – lecą na nas/ te wszystkie gwiazdy i gwizdy” (*Dekapitacja*). W tę śmierć wciągnięty został cały świat, kosmos i ciało, a ona i tak rozgrywa się w słowie, artykułuje się przez zaskakujące skojarzenia, nieoczekiwane zbitki, paronomazje, aliteracje i enumeracje, chiazmatyczne koncepty, barokowe paradoksy. Ostatecznie nie śmierć, ale słowo tworzy tu ramę interpretacyjną, wyznacza układ odniesienia: „Mogła żyć, a nie żyje – różnica jak między/ cyjankiem i cynamonem. Usta brudzą słowo,/ język brodzi pełen rozpaczy” (*Szarża*).

„Nie znajdziesz tu nic dobrego” (*Szukanie*), a jednak nie można było zrobić tego lepiej. Bo tylko tak, ożywając konwencję, można wskrzeszać martwe, kruszyć skamielinę żalu i rozedrgać, rozkofysać, roztańczyć obolałe serce rytmem słów, który porывa i wciąga w funeralne frenetyczno scherzo – w „scherzofrenię”.





Wojciech Browarny

# Lubuski Wawrzyn Literacki 2023 w kategorii „proza” dla Mariusza Wilka *Procidana*

(laudacja)

Są pisarze i pisarki, dla których kraj, kontynent, a nawet świat jest domem. Są również tacy, dla których dom, miejsce urodzenia lub zamieszkania, słowem: domowina jest ich całym światem. Autor tej książki nie musi wybierać. Jest mocno związany z konkretnymi, rzeczywistymi miejscami, ale poprzez biografię, lektury lub rozmowy, które prowadzi w swojej prozie z filozofami i artystami, sięga ku dalekim horyzontom w czasie i przestrzeni. Rozpina sieć wrażeń, dociekań i faktów od lubuszczyzny, przez ziemię kłodzką, rosyjską głubinkę, po Zatokę Neapolitańską.

Czym jest ta proza? Dla mnie – opowieścią o tym, jak być intensywnie tu i teraz, a jednocześnie nie stać się więźniem ciasnej „wyspy”, którą bywa codzienność, rutyna myślowa, taka albo inna wspólnota, do której należymy lub aspirujemy. Tej książki nie można jednak zamknąć w prostej formule. Meandryczna i porwana opowieść swobodnie przekracza granice kultur narodowych, poprawności politycznej, literackiego gatunku. Intelktualny przewodnik? Szkicownik pisarza? Autobiograficzna sylwa? Listy do bliskich? Autor powikłanej tropy wciąga czytelnika

w wir dyskusji, odsłania historyczne warstwy krajobrazu, ujmuje rozległością spojrzenia i rytmem zdania. Posłuchajcie. „[W] dole ciemnobraunatna plaża, obliżywana białymi jęzorami fal, po prawej tufowy obryw z wypłowiatoróżową willą i dwiema piniami na skraju, po lewej port rybacki, za nim Terra Murata, z za której wyłania się czub Capo Miseno, skąd Pliniusz Młodszy przypatrywał się słynnej erupcji Wezuwiusza (opisał ją w liście do Tacyta), na horyzoncie przy dobrej widoczności bieje Parco Virgiliano (miejsce pochówku autora *Eneidy*?), a jeśli dobrze się wpatrzyć, można dostrzec w jej cieniu niewielką Nisidę, gdzie w wili Brutusa zawiązał się spisek na życie Cezara. Nade wszystkim króluje Wezuwiusz oraz pasmo Gór Sorrentyńskich w sinoperłowej mgłę. Zimą przychodzić o świcie na Belvedere Morante podziwiać wschód słońca, które wolno wypęła z za wulkanu, jakby ten wybuchał światłem” (s. 32).

Kapituła w składzie: Jerzy Madejski, Karol Maliszewski i Wojciech Browarny (przewodniczący) po zapoznaniu się z książkami zgłoszonymi na konkurs i dyskusji przyznała nagrodę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w kategorii prozy za rok 2023 Mariuszowi Wilkowi za książkę *Procidana* (Wyd. Bogusław Mykietów, Pyrzyca 2023).



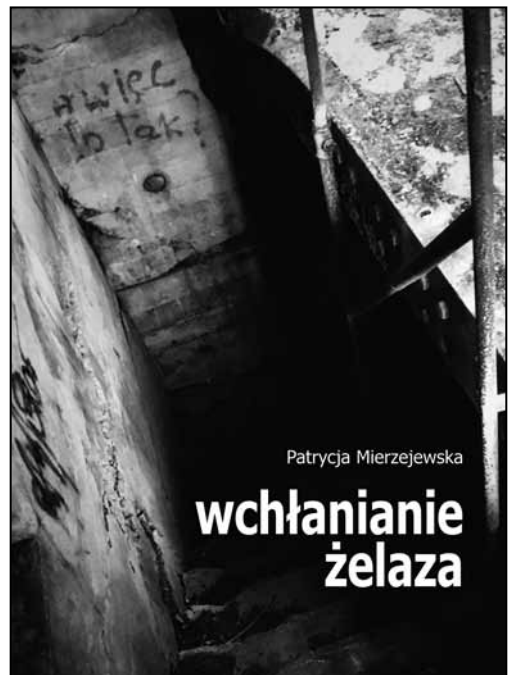
Mirosława Szott

## Książki Wydawnictwa Pro Libris zauważone podczas Lubuskich Wawrzynów 2023

Lubuskie Wawrzyny 2023 przyniosły sporo emocji i wiele nieoczekiwanych werdyktów. Impreza do czekała się wielu podsumowań, jednak tym razem chcieliśmy zwrócić uwagę na trzy wyróżnione książki wydane w wydawnictwie zielonogórskiej księżnicy (nie pomijając oczywiście głównych nagród). Laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego został Konrad Wojtyła za tomik *Scherzofrenia* (kategoria „poezja”) oraz Mariusz Wilk za książkę *Proci-dana* (kategoria „proza”). Ale wśród nominowanych do głównej nagrody znalazł się także **Konrad Krakowiak** z tomikiem *Już czas* wydanym w Wy-

dawnictwie Pro Libris (to już trzecia książka, którą Konrad konsekwentnie wydaje u nas). Tomik jasny, mocno przeniknięty wiarą w głęboki sens ludzkiego życia, nawiązujący niektórymi rozwiązaniami do poezji Wisławy Szymborskiej.

Ponadto ważne wyróżnienie (Nagrodę Rektora Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim: Srebrne Sokole Pióro) otrzymała **Patrycja Mierzejewska** za swój debiut *wchłanianie żelaza* wydany w naszej oficynie jako pokłosie Konkursu Debiut Pro Libris. Jej publikacja została pozytywnie zrecenzowana m.in. przez Rafała Gawina i Czesława Sobkowiaka. A Karol Maliszewski napisał w blurbie na okładce: „Gorzkie i zwarzone komunikaty, wy-



pełnione fantomowym bólem urazów i utrat, chwilkami niecierpliwe i dosadne”. Warto odnotować, że za całokształt twórczości nagrodzeni zostali: Hanna Bilińska-Stecyszyn, Iwona Małgorzata Żytковиak, Edward Derylak i Zygmunt Marek Piechocki.

Z kolei Lubuski Wawrzyn Naukowy otrzymała Gabriela Augustyniak-Żmuda za książkę *Biografie językowe przesiedleńców ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej mieszkających w regionie lubuskim*. Nagroda Rektora UAM w Poznaniu za najlepszą książkę popularnonaukową 2023 Małe Srebrne Pióro przypadła **Ryszardowi Łomskiemu**, który w Wydawnictwie Pro Libris wydał *Zielonogórski big-beat i film (zespoły gitarowe i Lubuski Klub Filmowy)*. Już wcześniejsze spotkanie autorskie pokazało jak ważna i interesująca jest tematyka, którą podjął mieszkający obecnie w Finlandii Łomski. Utwierdziło nas to w przekonaniu, że warto czasem zaryzykować w wyborze tematu publikacji.

W Lubuskim Wawrzynie Dziennikarskim główny laur powędrował do Elżbiety Wozowczyk-Leszko, a Mateusz Kasperczyk uhonorowany został jako wyróżniający się młody dziennikarz. Dyplom za całokształt twórczości odebrał Marek Staniszewski. Za walory edytorskie wyróżniono książki: Zygmunta Marka Piechockiego *Listy po czasie* oraz Igora Myszkiewicza *O czarownicy i potworze: zielonogórskie procesy o czary/ About the Witch and the Monster: witchcraft trials in Zielona Góra* (Wydawnictwo Forum Art). Natomiast w plebiscytcie online Nagroda Czytelników najwięcej głosów otrzymał Ryszard Jasiński za książkę *Król Błot. Tuplickie opowieści*.

## ZIELONOGÓRSKI BIG-BEAT i FILM



RYSZARD ŁOMSKI

Wyróżnienie trzech „naszych” książek podczas Lubuskich Wawrzynów 2023 odbieramy z wielką satysfakcją jako sukces twórców oraz całego zespołu, który nad nimi pracował od strony redakcyjnej, technicznej i promocyjnej. Dziękujemy autorkom i autorom za zaufanie.

Małgorzata Mikołajczak

# Dwa razy o powieści *Aktoreczka* Barbary Wysoczańskiej

Tym razem w ramach Pracowni prezentujemy dwa omówienia tej samej książki: powieści Barbary Wysoczańskiej pt. *Aktoreczka* (Wydawnictwo Folia, Poznań 2023, ss. 492). Studentki pierwszego roku filologii polskiej UZ – Bogusława Kaźmierczak i Izabela Jabłońska wybrały tę pozycję jako przedmiot analizy na ćwiczeniach ze wstępu do literaturoznawstwa. Pierwsza z nich skupiła się na walorach książki i stosując poznane narzędzia badawcze, spróbowała swoich sił w pisaniu recenzji. Druga studentka wykorzystała wiedzę z zakresu form narracji oraz konstrukcji bohaterów i przyjrzała się wybranym aspektom powieści, również stosując elementy poetyki tekstu krytycznoliterackiego. Obie wypowiedzi można potraktować jako świadectwo odbioru, a ich zestawienie unaocznia, w jak różny, choć pod wieloma względami podobny, sposób można czytać tę samą książkę. Być może zapoznanie się z pracami przedstawicieli najmłodszego pokolenia goszczącego na łamach „Pro Libris”, zachęci także innych czytelników pisma do sięgnięcia po powieść lubuskiej pisarki? Zapraszamy do lektury!



# Przewyciężyć przeszłość

## O Aktoreczce Barbary Wysoczańskiej

Wysokie wieżowce, klaksony charakterystycznych taksówek, tysiące billboardów, różnorodnych języków i wszędzie spieszący się ludzie – z tym wszystkim kojarzy nam się Nowy Jork. Dynamiczne i pełne życia miasto przyciąga tłumy tych, którzy pragną (lub muszą) zacząć nowy rozdział w swoim życiu. Taki obraz Wielkiego Jabłka wyłania się z powieści Barbary Wysoczańskiej pt. *Aktoreczka*. I właśnie w taki sposób wyobrażam sobie to miasto. Ogromne, bogate w różne wydarzenia, zamieszkałe przez ludzi, którzy tworzą jego klimat.

Gęsty tłum może przypominać zbitą masę, ale nie możemy zapominać, że składa się on z osób, które kochają, pracują, mają swoich najbliższych lub miejsca, do których wracają po ciężkim dniu. To właśnie miejsce i czas akcji sprawiły, że z ciekawością sięgnęłam po *Aktoreczkę*. A gdy dowiedziałam się, że autorka ma wykształcenie historyczne, a na koncie kilka powieści historycznych, moje wymagania wzrosły. Z nadzieją na odczucie klimatu lat 50., które z jednej strony kojarzą się z tańcem i jazzem, a z drugiej – z ciągle obecną traumą niedawno zakończonej wojny, zaczęłam lekturę.

W *Aktoreczce* autorka spleta losy dwóch osób, które raczej nie powinny się spotkać, na pozór nie mają bowiem ze sobą za wiele wspólnego. Konrad Rogowski, Polak, który po drugiej wojnie światowej przybył do Ameryki wraz z niewiadomą córką Emilką i szwagierką Heleną, ma jeden cel: za pomocą zdjęć wykonanych podczas wojny pokazać światu okrucieństwo, jakiego doznali mieszkańcy Warszawy. Uparty, mimo przeciwności losu, kieruje się pragnieniem odnalezienia sprawiedliwości i odkupienia swoich win. Z tą postacią kontrastuje sylwetka aktorki Lauren Evans, która odniosła ogromny suk-

ces w Hollywood i stała się jedną z najpopularniejszych osób w świecie filmu. Mogłaby się wydawać, że Konrad jest głównym bohaterem, jednak z biegiem czasu, okazuje się, że to Lauren jest protagonistką. Z zewnątrz jest to kobieta idealna, nienagannie ubrana i pomalowana, prezentująca się z jak najlepszej strony. Jednak sława ma także swoje mroczne strony, które sprawiają, że podziwiana gwiazda filmowa jest osobą zmagającą się z wieloma problemami – zaczynając od mściwego menadżera, kończąc na własnej przeszłości.

Tytuł powieści sugeruje, że główna bohaterka jest marną aktorką, która błyszczy wyłącznie swoim pięknem na srebrnym ekranie. A jednak Lauren okazuje się kobietą silną, która się nie poddaje przeciwnościom. Zdecydowanie należy ona do bohaterów aktywnych, których decyzje wyznaczają kierunek rozwoju fabuły. Ta postać przekonująco dowodzi, że życie w wielkim amerykańskim mieście na oczach paparazzi i milionów fanów nie należy do najłatwiejszych.

Natomiast o tym, że Nowy Jork to metropolia, zróżnicowana pod względem kulturowym i ekonomicznym, przekonuje kreacja postaci drugoplanowych (np. mieszkańców „kotła kultur”) i epizodycznych (np. osób należących do bogatszej części społeczeństwa). To właśnie rozbudowana galeria bohaterów, w której osoby fikcyjne występują obok historycznych (głównie gwiazd złotej ery Hollywood, takich jak np. Clark Gable czy Louis Armstrong) wysuwa się na plan pierwszy tej powieści. Autorka przekonująco oddaje różne charaktery i emocje, realistycznie ukazuje cechy negatywne, w tym zawiść i przewrotność.

Akcja powieści toczy się w roku 1950, czyli tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, która – w różnym stopniu i w różny sposób – na każdym odcisnęła piętno. Amerykanie, którzy dołączyli do konfliktu dopiero w grudniu 1941 roku, a w związku z tym tak silnie nie odczuli konsekwencji wojny, nie do końca rozumieją podejście Polaków. Ci drudzy podczas wojny stracili wszystko: swoich najbliższych i majątki, a ich psychika została nieodwracalnie zmieniona, tak jak w przypadku Konrada. Zarówno on, jak i Lauren to postaci typowe dla okresu powojennego. Są tacy jak ludzie tej epoki, przy czym ich poglądy i postawy życiowe pokazują istnienie dwóch różnych światów. Autorka zamieszcza rozbudowane opisy uczuć i przeżyć postaci, udaje się przy tym wydobyć kontrast między bogatą aktorką i małym zamożnym Rogowskim, który pracuje w warsztacie samochodowym i dorabia jako fotograf. Mamy tu z jednej strony opis drogich ubrań od znanych projektantów, z drugiej – skromny ubiór emigranta, którego nie interesuje moda; ogromne apartamenty i domy, wystawne przyjęcia i pełne przepychu gale i skromne mieszkanie ludzi, którzy starają się ułożyć sobie na nowo życie w obcym kraju. Czytając powieść, towarzyszymy im w tym, poznajemy też nękające ich demony przeszłości.

Ci, którzy uznają, że powieść *Aktoreczka* jest częściowo romanssem, literaturą kobiecą, mają poniekąd rację, ale w takiej kwalifikacji nie ma nic deprecjonującego. Książka Wysoczańskiej jest jedną z wielu powieści o silnych kobietach, które zmagają się z przeciwnościami i których losy spletają się z losami mężczyzn pozornie niemających z nimi nic wspólnego. Fabuła toczy się tu dynamicznie, obfitując w mniej lub bardziej dramatyczne wydarzenia, zakończenie jest dość przewidywalne, ale nie nużą-

ce. Styl powieści – nieskomplikowany i łatwy – sprawia, że choć opowiada ona o bardzo poważnych tematach, czyta się ją lekko i przyjemnie. Bardzo ciekawe są tu dialogi, ukazujące podejście bohaterów do świata, ich charakter i relacje z innymi ludźmi. To właśnie one są dopełnieniem przeżyć wewnętrznych postaci i pozwalają stworzyć pełny portret psychologiczny. Interesująca jest również okładka, na której widnieje kobieta ubrana w wieczorową suknię, mająca fryzurę pasującą do mody panującej w latach 50. Stoi ona na balkonie i obserwuje Nowy Jork – jej ukochane miasto i miejsce akcji powieści. Tak zaprojektowana okładka przypomina plakat filmowy, stanowiąc nawiązanie do zawodu i największej pasji Lauren; jej kolorystyka ma barwy zachodzącego słońca, co może kojarzyć się z zapowiedzią nocy, czyli czasu, kiedy takie miasto jak Wielkie Jabłko tak naprawdę budzi się do życia. To wtedy rozpoczynają się premiery, bankiety i wystawne przyjęcia, na których gwiazdy szaleją do białego rana, a które niedostępne są dla zwykłych zjadaczy chleba.

Do takich właśnie ludzi, zwyczajnych czytelników adresowana jest ta książka – idealna do pochłonięcia w kilka jesiennych wieczorów przy kubku gorącej herbaty. *Aktoreczka* niewątpliwie zainteresuje czytelnika zafascynowanego historią i srebrnym ekranem, lubiącego śledzić losy silnych postaci, które dzielnie walczą z przeciwnościami i własnymi demonami. I chociaż powieść Wysoczańskiej nie zawiera doniosłego przesłania, może skłonić do refleksji na temat własnej przeszłości: czy żyjemy tu i teraz, czy utknęliśmy w minionych wydarzeniach i wciąż nie umiemy się od nich uwolnić?

# Narrator i bohater w powieści *Aktoreczka* Barbary Wysoczańskiej

Czy przeszłość jest ważną częścią nas samych i czy pamięć o niej nas niszczy, nie pozwalając na szczęśliwe życie? Czy będzie nam łatwiej przetrwać każdy kolejny dzień, jeśli zagłuszymy bolesne wspomnienia? Jaka jest cena sławy i czy warto ją płacić? Do czego może doprowadzić zazdrość i nienawiść? Kogo zemsta niszczy najbardziej? Te i wiele innych pytań może zadawać sobie czytelnik podczas lektury książki Barbary Wysoczańskiej. *Aktoreczka* to powieść, której akcja dzieje się w Nowym Jorku pięć lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Przedstawia ona losy Lauren Evans, pięknej aktorki, będącej u szczytu sławy i Konrada Rogowskiego, emigranta z Polski i fotografa. Los stawia ich na swojej drodze i przynosi im wiele niespodzianek, m.in. niespodziewane uczucie.

W swoich rozważaniach przyjrę się powieści lubuskiej autorki, skupiając się na wybranych elementach konstrukcyjnych. Zacznę od charakterystyki narratora. Jest on trzecioosobowy i wszechwiedzący, jednak dozuje informacje, często podaje szczątkowe wiadomości czytelnikowi, który przez całą książkę zbiera je, by na końcu ułożyć z nich całą historię. Nie mówi o pewnych rzeczach od razu, ale pozostawia osobę czytającą w niepewności, zdaną na domysły, które będzie mogła potwierdzić dopiero dalsza lektura. Sprawia to, że zostajemy pozostawieni jakby w pół kroku do poznania losów bohatera i nie możemy oderwać się od książki. Narra-

cją – obecność osoby mówiącej odkrywamy więc przez pewne szczegóły, takie jak np. wybór postaci, z perspektywy których się wypowiada czy dozowanie uwagi poświęconej poszczególnym osobom. Choć narrator nie formułuje bezpośrednio swoich sądów, możemy się ich domyślać. Wkłada on w usta bohaterów opinie na różne tematy i kieruje losami postaci tak, że pośrednio odsłania swoje stanowisko. Nie zmusza jednak czytelnika do współdziałania z nim sposobu patrzenia na pewne sprawy, raczej zostawia mu pole do własnej refleksji. Narrator nie należy do świata przedstawionego utworu, nie jest ani uczestnikiem, ani świadkiem zdarzeń, znajduje się poza obrębem rzeczywistości utworu. Możemy tu zatem mówić również o narracji transcendentnej w utworze<sup>1</sup>. Co ciekawe, narrator opowiada historię z różnych punktów widzenia, wchodzi niejako w rolę wybranego bohatera i patrzy na świat przedstawiony jego oczami, zgłębia jego psychikę i myśli. Mamy więc w utworze do czynienia z mediatyzacją. Nie ogranicza się ona do jednej postaci, najczęściej poznajemy perspektywę Lauren i Konrada. Dzięki takiemu zabiegowi czytelnikowi łatwiej jest zrozumieć motywacje postaci, może lepiej pojąć, dlaczego bohaterowie różnie patrzą na jakieś sprawy, prześledzić ich przemianę, doświadczać wraz z nimi rozterek. W ten sposób odbiorca otrzymuje

<sup>1</sup> H. Markiewicz, *Autor i narrator*, [w:] tegoż, *Wymiary dzieła literackiego*, Kraków 1984, s. 89-110.

też możliwość spojrzenia na świat przedstawiony z różnych stron, wie więcej niż postacie z powieści, bo nie ogranicza go sposób patrzenia na rzeczywistość tylko jednej osoby.

Bohaterowie są drugim istotnym elementem składowym książki. Stanowią oni siłę napędową fabuły i występują jako postacie główne, uboczne i epizodyczne. Jest ich bardzo dużo i dzięki temu, a także dzięki ich kulturowemu i charakterologicznemu zróżnicowaniu, wnoszą oni do opowieści bogactwo i różnorodność, stanowią również tło wydarzeń. Już tytuł pokazuje nam, na jakiej postaci będzie skupiała się fabuła. Lauren Evans, bo to o niej mowa, jest gwiazdą Hollywood. Wiele osób nazywa ją aktoreczką i nie jest to bynajmniej zdrobnienie nacechowane pozytywnie – świadczy o pogardzie, nienawiści i zazdrości żywionych wobec bohaterki. Lauren wie, że jest piękna, potrafi podkreślać swoją urodę, przykuwać uwagę, ma świadomość swoich zalet. Jednak nie każdy widzi w niej odważną kobietę, która zna swą wartość. Ludzie uważają ją za bogatą *femme fatale*, piękną, ale pustą i utożsamiają ją z postacią z filmu albo widzą w niej „laleczkę”, którą można sterować w odpowiedni sposób. Nikt nie dostrzega, że tak naprawdę jest to krucha i rozpaczliwie samotna kobieta, pod maską uśmiechu kryjąca wiele tajemnic i bolesną przeszłość, o której bezskutecznie stara się zapomnieć. Lauren jest postacią dynamiczną, pod wpływem różnych osób i wydarzeń stara się zmienić swoje życie, uczynić je szczęśliwszym.

Druga główna postać to Konrad Rogowski. Na jego życie bezpośredni wpływ mają wydarzenia historyczne. To podczas drugiej wojny światowej zginęła jego żona, a córka straciła wzrok. Aby dać szansę na lepsze życie swojej rodzinie, bohater uciekł do Stanów Zjednoczonych, gdyż w powojennej Polsce zajętej przez komunistów nie miał takiej możliwości. Konrad również jest bohaterem dynamicznym, zdaje sobie sprawę, że w przeszłości popełnił wiele błędów i stara się je naprawić. Dlatego troskliwie opiekuje się córką i zbiera pieniądze na jej operację, szuka także zabójcy swojej żony. Poznanie Lauren diametralnie zmienia jego życie, choć miało być tyl-

ko drogą do ujęcia poszukiwanego mordercy. Dzięki kobiecie Konrad zaczyna widzieć rzeczy, których wcześniej nie dostrzegał i zdaje sobie sprawę, że sam niesłusznie odbiera sobie prawo do szczęścia i zarazem unieszczęśliwia ludzi, których kocha.

Postacią niezwykle interesującą, choć drugoplanową, jest Helena – szwagierka Konrada. Wojna zabrała jej wiele osób, które kochała, a ona nie potrafi zapomnieć o bólu, jaki jej przyniosła. Uważa, że nikt nie może zrozumieć tak wielkiego cierpienia, nie dopuszcza do siebie myśli, że inni też przeżywają w swoim życiu prawdziwe dramaty. Całkowicie oddaje się obowiązkom domowym i zapomina o własnym szczęściu. Pragnienie miłości przysłania jej właściwy ogląd rzeczywistości, a zazdrość popycha ją do zemsty. „Ta bezmiłość, która dotknęła jej w kwiecie wieku, uczyniła z niej kobietę [...] mściwą i zawistną, która bez mrugnięcia okiem sprzedawała intymne informacje o innej kobiecie, by ją upokorzyć”<sup>2</sup> – mówi o niej narrator. Helena dopiero później uświadamia sobie, że dała się wykorzystać dziennikarzowi, z którym miała romans i że zemsta wcale nie przyniosła jej satysfakcji. Jej losy doskonale pokazują, jak bardzo złe emocje niszczą człowieka.

Nawet epizodyczni bohaterowie są ważni w tej powieści. Na przykład jedna z klientek kawiarni Heleny, Daisy O'Neill jest doskonałą obserwatorką, mądrą kobietą, która niejako wyraża przez swoje wypowiedzi pewne zasady moralne, podsumowuje zachowania bohaterów, daje dobre rady i dostrzega rzeczy, których inni nie widzą. Bohaterowie epizodyczni dodają tej książce kolorytu, sprawiają, że powieść zbliża się bardziej do życia, w którym człowiek spotyka na swojej drodze wielu ludzi, choć nie wszyscy odgrywają w nim taką samą rolę.

*Aktoreczka* to powieść, w której kreacja świata przedstawionego uwzględnia bogaty kontekst kulturowy. Czytelnik poznaje tu świat hollywoodzkich gwiazd i Nowy Jork – miasto powszechnie uważane za miejsce, w którym można zacząć wszystko od początku, zbudować swoje życie od nowa, zapomnieć o przeszłości i spełnić marzenia. Wyda-

<sup>2</sup> B. Wysoczańska, *Aktoreczka*, Poznań 2023, s. 446-447.



je się, że w tym mieście wszystko jest możliwe. Czy jednak taka jest rzeczywistość? Autorka pokazuje nam, że niekoniecznie. Być może patrzymy na te kwestie przez pryzmat stereotypów i nie dostrzegamy, że prawda jest o wiele bardziej skomplikowana. Świadczy o tym choćby wypowiedź Lauren, która wyznaje: „Wiesz, że większość Amerykanów myśli, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie? Że mam wszystko, czego dusza zapagnie, a aplauz publiki to tylko dopełnienie mojego idealnego życia? Bo świat tak postrzega ludzi, którzy odnieśli sukces”<sup>3</sup>. Książka nie pomija też trudnych tematów, takich jak: nadużywanie alkoholu, problemy psychiczne, przemoc czy choroby. Pojawiają się tu też konteksty kulturowe, charakterystyczne dla naszych czasów, m.in. feministyczne, etniczne, rasowe<sup>4</sup>. W powieści ścierają się m.in. stanowiska dotyczące roli kobiet, ich praw, możliwości rozwoju itd. Najważniejszą postacią obrazującą tę kwestię jest oczywiście Lauren, gdyż często widzimy świat przedstawiony z jej perspektywy. To właśnie ta bohaterka swoim działaniem pokazuje, że kobiety nie powinny być podporządkowane mężczyznom, że mogą być niezależne, wolne, piękne, doceniane i kochane, nieograniczone żadnymi konwenansami, a przede wszystkim że mogą robić to, co naprawdę sprawia im radość. Ale w powieści ukazane są także kobiety, które mają inne zdanie na ten temat. Pani Pansy, pracownica cukierni, twierdzi na przykład, że każda przedstawicielka tej płci powinna znaleźć sobie męża. Natomiast Lizzy, mężatka i przyjaciółka Lauren, która wydaje się szczęśliwa, zajmując się domem, boi się opinii teściowej i obwinia siebie za to,

<sup>3</sup> Tamże, s. 249.

<sup>4</sup> Por. A. Burzyńska, *Kulturowy zwrot teorii*, [w:] *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M.P. Markowski, roku Nycz, Kraków 2002, s. 41-87.

że nie może zająć w ciążę (nie dopuszcza do siebie myśli, że przyczyna może leżeć po stronie jej męża). Z kolei dla Heleny, szwagierki Konrada ubieranie się w niektóre stroje przez kobiety jest nieodpowiednie, wręcz nie do pomyslenia. Jej zdaniem, „Amerykanki, niby wzorowe panie domu, [...] w rzeczywistości bezwstydnie eksponowały swoje wdzięki, emanując wyuzdanym seksapilem”<sup>5</sup>. Pisarka pokazuje także, w jaki sposób kobiety są postrzegane przez mężczyzn i tu również mamy różne stanowiska. Wśród męskich bohaterów powieści są również tacy, którzy stosują przemoc i podkreślają swoją wyższość. Z kolei inni zdają się nieporadni życiowo. „Nie znam mężczyzny, który sam parzyłby sobie kawę”<sup>6</sup> – mówi jedna z bohaterek. W książce dostrzegamy zatem pewne odchodzenie od stereotypu, kształtowanie się nowej świadomości. Bohaterki coraz lepiej sobie radzą, o czym może świadczyć zakładanie przez nie własnych firm, takich jak cukiernia czy szkoła tańca. Są to jednak dopiero początki, gdyż trudno jest wyrwać się ze schematu, który wyznacza kobiecie rolę polegającą na zajmowaniu się domem i na podporządkowaniu się mężowi.

*Aktoreczka* Barbary Wysoczańskiej to książka, która porusza wiele istotnych kwestii i oferuje nie tylko wciągającą historię miłosną, ale także, a może przede wszystkim, opowieść o różnych ludziach, ich planach i marzeniach, o dążeniu do szczęścia i dostrzeganiu, że nie wszystko jest takie, jakie nam się na początku wydaje. Ktoś kiedyś zauważył, że książka jest dobra wówczas, gdy sprawia, że zaczynamy się zastanawiać nad naszym życiem, gdy skłania nas do myślenia i dostrzegania tego, na co wcześniej nie zwracaliśmy uwagi. Ta powieść z pewnością jest tego przykładem.

<sup>5</sup> B. Wysoczańska, dz. cyt., s. 167.

<sup>6</sup> Tamże, s. 260.

Ryszard Sławczyński

# O dwóch rzekach Odrach

To nie pomyłka – w Europie znamy nie jedną tylko Odrę ani nawet (wbrew tytułowi) nie dwie takie rzeki. Pierwsza to oczywiście ta w Czechach, Polsce i Niemczech (854,3 km), drugą znajdziemy w Chorwacji (82,7 km), a trzecią na północy Hiszpanii (65,5 km). Jest jeszcze Odrava w zachodnich Czechach oraz rzeka Oder płynąca w Niemczech na terenie Dolnej Saksonii.

## Viadrus – bóg rzeki Odry

Mieszkając w dorzeczu naszej księżnej Odry, tym bardziej nad jej brzegami, warto odkryć jej folklor, tradycje i obrzędowość, jak też zaznajomić się z jej bóstwem. Cywilizacje rozkwitały właśnie nad brzegami rzek, dlatego wizerunek boga Odry, Viadrusa, wzorowany jest na starożytnych wyobrażeniach bóstw władających Nilem, Eufratem czy Tybrem. Zazwyczaj przedstawiany jest jako mężczyzna ułożony wśród nadrzecznej roślinności, w postawie półleżącej, wspierający łokieć na naczyniu, z którego wylewa się woda. Ma długą brodę, a jego bujna fryzura symbolizuje szuwały. Czasami towarzyszą mu atrybuty w postaci wiosła (odwołanie do żeglowności rzeki) i rogu obfitości (dostatek) – w końcu dobrobyt krain leżących nad rzekami i w ich dorzeczach zawdzięczano stanowi wody w jej nurtach.



Tak właśnie przedstawiony jest Viadrus na stronie tytułowej opublikowanej w 1625 roku książki Martina Opitza, a podobny wizerunek możemy zobaczyć na umieszczonym na sklepieniu Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego fresku Jana Krzysztofa Handkego z Ołomuńca. Także w gmachu głównym, zaledwie piętro wyżej, w drodze na Wieżę Matematyczną, znajdziemy jeszcze jeden obraz Viadrusa – wykonane w 1734 roku

Wawia

przez Felixa Antona Schefflera dzieło zdoła zająć jeden z plafonów na drugim piętrze. W Sali Koncertowej wrocławskiego Klubu Muzyki i Literatury, nad wejściem, zobaczymy natomiast postać Viadrusa współcześnie namalowanego przez Edwarda Kostkę. To dużych rozmiarów olej na płótnie, a przedstawione bóstwo spogląda przez prawe ramię na płynący po Odrze zestaw pchany, ściślej: na pchacz Bizon z wypełnioną węglem barką płynącą z Gliwic do Szczecina.

Wspomniany wcześniej Opitz, urodzony w Bolesławcu na Śląsku, kształcił się w kalwińskim gimnazjum w Bytomiu Odrzańskim, studiował m.in. we Frankfurcie nad Odrą na tamtejszym Uniwersytecie Viadrina, założonym w 1506 roku i połączonym w 1811 roku z Akademią Leopoldyńską we Wrocławiu (obecnie Uniwersytet Wrocławski nawiązuje swoimi tradycjami do Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz do uczelni niemieckich). We Frankfurcie nad Odrą w 1991 roku ponownie uruchomiono uczelnię wyższą, już pod nazwą Uniwersytet Europejski Viadrina (niem. Europa-Universität Viadrina Frankfurt [Oder]), a kontakty z Polską do dziś są dla Viadriny priorytetem. W 1992 roku w Słubicach powstało Collegium Polonicum, wspólna jednostka naukowa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Europejskiego Viadrina.

Postać boga rzeki Odry Viadrusa odnajdziemy również w niemieckiej miejscowości Bad Freienwalde (Oder) w kraju związkowym Brandenburgia w powiecie Märkisch-Oderland. Przy głównym wejściu do tamtejszego muzeum (Oderlandmuzeum), po prawej stronie, znajduje się niewielka kamienna płaskorzeźba z napisem „Oderlandmuzeum”, na której dostrzeżemy trzy postacie. W jej lewej części utrwalony został wizerunek Viadrusa: w pozycji półsiedzącej, oparty prawym ramieniem o dzban, z którego wylewa się woda, prawą ręką przyciska do siebie wiosło, a lewą podnosi w geście powitania. Skąd tu Viadrus? Nieopodal miasteczka, w kierunku północnym, znajduje się koryto Starej Odry, której wody kilkanaście kilometrów dalej, w miejscowości Oderberg, wpadają do kanału Odra-Hawela.

Pomnik Viadrusa znajduje się także przy przeprawie promowej Gozdowice-Gustebieser Losse (po stronie niemieckiej). Po wejściu na prom Bez Granic w Gozdowicach w parę minut dopłyniemy na sąsiedni brzeg Odry i tam, na wzniesieniu po lewej stronie drogi, trafimy na wykonaną z metalu, pomalowaną na czerwono rzeźbę Viadrusa. Przedstawia boga Odry, który prawą ręką przyciska do siebie wiosło, ale również rzekę wraz z płynącym po niej statkiem pod żaglami. Przed schodami prowadzącymi na wzniesienie czerwona farba napisano: „vivat Viadrus”, a u podstawy pomnika wycięto inicjały twórcy oraz dodano datę: „2009 rok”. Rzeźbę zaprojektował Horst Engelhardt.

Kolejnym przykładem obecności Viadrusa nad Odrą jest jego postać na barokowej Bramie Portowej w Szczecinie wybudowanej w latach 1725-1727 według projektu pruskiego generała pochodzenia holenderskiego Gerharda Corneliusa van Wallrawe. Po zajęciu Śląska przez Prusy w 1740 roku projektował on i przebudowywał m.in. twierdze usytuowane nad Odrą, w tym te w Koźlu, Brzegu i Głogowie. W Szczecinie natomiast zaprojektował barokowe bramy miasta, z których ocalały jedynie Królewska i Portowa. Żaden podróżny wjeżdżający do miasta przez bramę od strony Berlina (Portową) nie mógł nie zauważyć na frontonie elewacji Viadrusa opartego o przewrócony dzban, z którego wylewa się woda. Bóg Odry przez lewe ramię spogląda na rzekę płynącą kilkaset metrów dalej, jakby równoległe do tej rozlewającej się z dzban na całą długość reliefu; w prawej ręce trzyma wiosło. Poniżej płaskorzeźby znajduje się napis po łacinie informujący, że król Prus Fryderyk Wilhelm zakupił Księstwo Szczecińskie od Szwedów oraz polecił wybudować bramę wjazdową do miasta, nazwaną brandenburską. Gdy patrzymy na fronton bramy, Viadrusa, rzekę i wyryty złotymi zgłoskami zapis, refleksja nasuwa się sama – *panta rhei*. Wszystko płynie i nic nie pozostaje takie samo.

Ciekawostką jest znajdujący się w Brzegu Dolnym pomnik Garonny (alegoria rzeki płynącej we Francji) – często błędnie wskazywany jako Viadrusa – w towarzystwie nimfy rzecznej. U stóp obu wykonanych w brązie postaci siedzą małe putta. Rzeźby usytuowane są na tyłach Dolnobrzezkiego Ośrodka Kul-

tury (dawny pałac rodu von Hoym). Najprawdopodobniej sprowadziła je z Francji około 1907 roku księżna Françoise von Curland. Wykonywała je na masową skalę jedna z podparyskich odlewni, której produkty znajdują się na całym świecie. Takie same rzeźby spotkamy więc w ogrodach wersalskich, ale też w parku w Sycowie na Dolnym Śląsku. Płynąc Odrą, nie sposób nie zauważyć tych postaci, mają bowiem spore rozmiary, a znajdują się stosunkowo blisko rzeki, na jej prawym brzegu. Zwrócone są bokiem do pałacu, ale wzrok Garonny jest skierowany tam, skąd nadpływa rzeka.

## Tradycje odrzańskie

Ludzie rzeki Odry mieli niegdyś, i mają nadal, swoje interesujące zwyczaje oraz różne przesady, z którymi warto się zapoznać. Patronką wodniaków, podobnie jak górników, jest święta Barbara, tak więc 4 grudnia jest także ich świętem. Ciekawym obyczajem odrzańskich wodniaków jest przyjmowanie w zawód flisaka (tzw. mataczkarz), łodziarza czy, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, marynarza śródlądowego. To tak zwane frycowanie. Na Śląsku nowicjusz nazywany był kajtkiem, a poza Śląskiem właśnie frycem. Poniżej Nowej Soli, na lewym brzegu rzeki, znajduje się największe na całej długości żeglownej Odry (442,7 km) wzniesienie, Biała Góra (95 m n.p.m.), zwana czasem Diabłą Górą. W tym miejscu – zgodnie z tradycją – należy wrzucić do Odry kromkę chleba ze smalcem lub butelkę napełnioną wodą, jako ofiarę składaną demonowi wodnemu utopcowi. Ta tradycja ma gwarantować powodzenie w fachu łodziarskim oraz ustrzec przed utopieniem w rzece. Zdarzało się, że zamiast chleba wrzucano w nurt rzeki deskę z napisem: „Chcę być dobrym łodziarzem”. Jeżeli deska dopłynęła do Szczecina, to był to dobry znak dla nowicjusza. Było też przyjęte, że koło Diabelskiej Góry nie należy kotwiczyć na postój, ponieważ czart mógł, w tylko sobie znany sposób, wynieść ładunek na ląd. Często zwyczajem praktykowanym na całej długości rzeki było wrzucanie kandydata na łodziarza w nurt Odry, aby w ten sposób sprawdzić jego odwagę i umiejętności pływackie, a wkupić się w łaski załogi należało chlebem i trunkiem. Ogólnie przyjęte było, że żaden kapitan nie wypływał z portu w południe, mogło to bowiem przynieść nieszczęście. Pilnowano też, aby statkiem czy barką nie wypływać z portu rufą, gdyż to przynosi pecha. Jeżeli wypłynięcie dziobem było niemożliwe, wówczas decydowano się na zmylenia demona tym, że wykonywano najpierw manewr do przodu, a potem dopiero wstecz. Nie wolno było zazdrościć łodziarzom ich pracy na rzece, bo takie zachowanie mogło obrócić się przeciwko osobie, która zazdrościła. Marynarz powinien być zawsze wierny swej barce (nie powinien przenosić się z barki na barkę) i nie powinien spluwać do rzeki, ponieważ takie naganne zachowanie rónało się z napluciem Matce Boskiej w twarz.

Wodniacy w czasie postojów śpiewali różne pieśni i piosenki, nie tylko te ludowe.

Dziś na Odrze parowców w ogóle nie ma,  
Z wielką falą odpłynęły w siną dal.  
Stary palacz sprośnych piosenek już nie śpiewa,  
Bo swą rolę dawno temu kiedyś grał.

W czasie wolnym od pracy marynarze wspominali o wodniackich przygodach, przywoływano kawały i na różne sposoby wzajemnie się straszono. Opowiadano na przykład co może zrobić utopiec. A ten miał wciągać ludzi w nurt rzeki, niszczyć śluzę, jazy, wywoływać wiry wodne, rozwijać sklarowane liny cumownicze na statku, niekiedy przyjmował nawet postać sternika i wydawał sprzeczne rozkazy. Wierzenie w utopca było wygodną praktyką, ponieważ wszelkie niedociągnięcia czy błędy przypisać można było demonowi.

Wszelkiego rodzaju psoty wraz z upływem lat i rozwojem techniki ulegały zmianom. Młodych adeptów sztuki żeglarskiej nabierano często w ten sposób, że nakazywano im dostarczyć wakum, który znajduje się na dziobie. W praktyce było to niewykonalne, ponieważ urządzenie przeznaczone jest do pom-

powania próżni, której nie da się przynieść. Podobny żart dotyczył przyniesienia określającego poziom zanurzenia jednostki pegła znajdującego się na każdej burcie statku, wykonanego z metalu i przyspawanego do burty. Równie zabawne było polecenie dostarczenia kilwatera, czyli wywołany pracą śrub ślad w postaci wzburzonej wody, jaki statek zostawia za rufą. Kajtkowi przykazywano też, aby przygotował duży pilnik do ostrzenia kotwicy, żeby ta lepiej trzymała...

Zwyczaję wodniaków mają swe korzenie w bezpośrednim kontakcie z wodą, starano się z ich pomocą obłąkać demona wodnego, co miało gwarantować bezpieczeństwo na rzece. Pamiętano też, by zachowywać się z pokorą i skromnością, i dzięki temu stać się dobrym łodziarzem. Śpiewali łodroki tak:

Od Opolą droga wiedzie  
Dniem i nocą po wodzie;  
Brzeg, Oława, Stary Wrocław,  
Pikne miasta po drodze.  
Głógów, Krosno, dalej Frankfurt;  
Oglądamy wielki świat.  
Do Szczecina dopływomy,  
Ojciec, jo i starszy brat.

Życie nasze jest wesołe,  
Každy naszej Odrze rod.  
I chce pływać na mataczce,  
Pokwiel styknie zdrowych lot.

### **Polowanie na rasselbocka**

Rasselbock to zwierzę zamieszkujące jedynie brzegi rzeki Odry, na całej jej długości. Podobne jest do królika lub zająca, ale ma małe rogi – takie jak jelonki – może więc być niebezpieczne. Gdy w czasie rejsu kapitan informował fryca o braku prowiantu, aby poradzić sobie z kłopotliwą sytuacją aprowizacyjną, urządzano polowanie na rasselbocki. Instrukcji dotyczących łowów każdemu uczestnikowi udzielała załoga. Wybierano miejsca podmokłe, gdzie było dużo komarów, kajtek miał stać pochylony z workiem w nadrzecznych szuwarach i czekać na mitycznego zwierzaka, którego w tym czasie naganiali starsi koledzy po fachu. W jednej ręce trzymał worek (nie wolno było spuszczać z niego wzroku), a w drugiej czerwoną latarnię. Załoga zostawiała kajtkę i cichcem wracała na statek. Nawet najwytrwalsi wracali po pewnym czasie na pokład źli, bo wystrychnięci na dutka i dotkliwie pogryzieni przez komary. Nie wszyscy dawali się jednak nabierać, byli wtajemniczeni wcześniej w żart przez na przykład rodzinę łodziarską czy kolegów. Ci potrafili przechrzyć załogę i wrócić na jednostkę zanim ona dotarła do łódki. Tak więc nad brzegami Odry żyje tajemniczy rasselbock i są ponoć szczęściarze, którzy go widzieli.

### **Odra w poezji, czyli żegluga wierszem**

W 2020 roku wrocławska Oficyna Wydawnicza „Akwedukt” opublikowała antologię (wyd. I: 1999) wierszy *Kiedy Ty mówisz Odra*. Zakresem czasowym książka obejmuje 500 lat i prezentuje utwory 146 autorów. Poprzedzona została obszernym wstępem, który jest pierwszą tak wnikliwą i obszerną próbą ukazania obrazu Odry nie tylko w literaturze polskiej. Znajdziemy tu bowiem teksty przełożone przez 19 tłumaczy z łaciny (Marek Krajewski), języka niemieckiego, czeskiego, łużyckiego oraz jidisz. W antologii uwzględniono ponadto dziesięć śląskich pieśni ludowych z przełomu XIX i XX wieku. Wybór otwierają *Renesansowe opisanie Wrocławia i Jedenastozgłoskowiec na cześć Wrocławia* pióra Bartolomeusa Steina (w prze-

kładzie Marka Krajewskiego), wieńczy go zaś wiersz Brama Odrzańska zmarłego w 2020 roku brzeskiego poety Janusza Ireneusza Wójcika. Oprócz znanego wiersza Rafała Wojaczka *Kiedy Ty mówisz Odra* w zbiorze znalazły się (podane chronologicznie) teksty wielu literackich znakomitości, poczynając od Andreasa Gryphiusa i Josepha von Eichendorffa, poprzez m.in. Wincentego Pola, Hansa Niekrawietza, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Tymoteusza Karpowicza, Tadeusza Różewicza, Witolda Wirpszę, Urszulę Kozioł, Mariannę Bocian, Urszulę Małgorzatę Benkę, Ewę Sonnenberg, Henryka Bereskę, Stanisława Srokowskiego, Henryka Wolniaka-Zbożydarzycę, Roberta Gawłowskiego, aż po noblistkę Olgę Tokarczuk, która wyznaje: „Kiedy byłam dzieckiem, każdy spacer prowadził nad Odrę”. Wraz z rzeką, i tekstami o niej, płyniemy od źródeł, mijając Bramę Morawską, Śląsk, Opolszczyznę, Dolny Śląsk, ziemię lubuską, Pomorze Zachodnie i docierając do ujścia Bałtyku. Zdecydowana większość autorów urodziła się w dorzeczu Odry i mieszkała bądź mieszka w miejscowościach usytuowanych na jej brzegach. Pochodzący z Nowej Soli Jerzy Wojciechowski w wierszu *Heraklit* pisze:

część słonego rachunku, wpisanego w koszty  
robót ziemnych na mapie Europy Wschodniej,  
gdy granice zabrała powódź – ale mostu  
nad portowym kanałem nie wzięła. Nad Odrę

idę obcy i czuły. Tutaj się urodzić  
można tylko z miłości do ciał w stanie płynnym  
lub przez słabość do barek rzecznych, więc nie szkodzi  
spytać, czy ja tu żyłem, czy ktoś całkiem inny?

Ze względów historycznych i biograficznych znajdziemy w antologii także poetyckie obrazy łączące Odrę z rzekami Kresów Wschodnich. Henryk Szyłkin w 1960 roku odnotował w wierszu *Nowa Sól*:

Zieleń. Cisza ulic. Chłody młodych skwerów  
Przyjąłem okiem słonecznym przychylnie,  
Choć nie ma w Odrze łokajskich ajerów –  
A moja rodzina – tam, w Wilnie.

O antologii odrzańskiej pisze Artur Liskowacki, że „Jest to bez wątpienia najobszerniejsza antologia wierszy o rzece, jaka ukazała się w Polsce”, Czesław Sobkowiak natomiast postrzega książkę jako „Pomnik ze słów dla rzeki Odry”. Na podstawie antologii w 2021 roku nakręcono film dokumentalno-artystyczny *Odra, poezja rzeki*.

## Odra – rzeka w Hiszpanii

Najkrótsza droga z Polski nad hiszpańską Odrę prowadzi przez Bordeaux we Francji, dalej wzdłuż zatoki Biskajskiej, w Pirenejach należy przekroczyć granicę francusko-hiszpańską, a po przejechaniu Kraju Basków wjechać na obszar wspólnoty Kastylii i León. Tu, w prowincji Burgos, płynie niezeglowna Rio Odra.

Źródło hiszpańskiej Odry wypływa na północ od masywu Peña Amaya w pobliżu miejscowości Fuentedra u podnóża Lorilli. Początkowo rzeka kieruje się na wschód, by po krótkim odcinku zmienić bieg na południowy. W miejscu, gdzie uchodzi źródło Odry, biorą swój początek jeszcze dwie inne rzeki: Arroyo del Plantino oraz Arroyo del Congosto. Nad Rio Odra znajdują się kaskady, a także rezerваты przyrody (np. Lagunas de Villasandino) z bogatą roślinnością i ptactwem. Latem stan wody jest niski, ale – jak opowia-

dają mieszkańcy tych nadodrzańskich miejscowości – w okresie jesienno-zimowym, w trakcie opadów deszczu, jej poziom potrafi się gwałtownie podnieść.

W górnym biegu rzeka przepływa przez równinę doliny Humada, a od miejscowości Villavedón obszarem, gdzie uprawia się m.in. buraki, kukurydzę, słonecznik, lucernę oraz drzewa owocowe. Pola położone w sąsiedztwie, tak w jej górnym, jak i dolnym biegu, nawadniane są wodą pobieraną z rzeki. Na terenie tym niegdyś znajdowały się winnice, a ich pozostałością są liczne winiarnie i tłocznie.

Mieszkańcy dorzecza naszej księżnej Odry mogli trafić nad brzegi tej hiszpańskiej rzeki w średniowieczu, ponieważ prowadzi tędy szlak św. Jakuba, którym w XI-XIV wieku (jak robią to także obecnie) przemieszczali się pielgrzymi udający się do Santiago de Compostela, uznanego w XII wieku za najważniejsze centrum chrześcijaństwa po Jerozolimie i Rzymie. Szlak Camino de Santiago prowadzi między dwiema nadodrzańskimi miejscowościami, Villasilos i Pedrosa del Principe. Pielgrzymi przekraczają tam rzekę przez solidny drewniany most Barceński.

Poruszając się wzdłuż hiszpańskiej Odry, można zauważyć, że we wszystkich miejscowościach, przez które ona przepływa, jak również w tych położonych w jej bliskim sąsiedztwie, znajdują się duże kościoły wniesione w stylach romańskim i gotyckim, czasami z przyległymi zabytkowymi cmentarzami, jak np. w Sandoval de la Reina, gdzie tuż nad rzeką jest stara pustelnia. Na całej długości rzeki spotykamy również stare kamienne mosty, dziś wyłączane z ruchu, stanowiące materialne ślady przeszłości, a w pobliżu dawnych przepraw wzniesiono, nowe już z betonu i stali. Zdecydowana większość miejscowości położonych nad rzeką leży na jej prawym brzegu, a koryto rzeki nie znajduje się w ich granicach. W końcowym biegu Odra nazywana jest również Odrillą (czyli wielką).

Wśród licznych małych cieków wodnych zasilających Odrę znajduje się Brullés i jest ona głównym dopływem (lewym) Rio Odry, w gminie Pedrosa del Príncipe wpływa rozlewiskiem do rzeki Pisuerga (275 km),



będącej prawym dopływem Duero (895 km). Ta ostatnia na odcinku 130 km stanowi zaś granicę między Hiszpanią a Portugalią i uchodzi do Oceanu Atlantyckiego w portugalskim Porto.

Będąc w okolicach Burgos, warto zawitać nad brzegi Rio Odry. Wizyta może się okazać szczególnie miłą i ciekawą dla mieszkańców dorzecza naszej księżnej Odry.



# Po obu stronach Odry

Wszystko zaczęło się od Odry. Niemal 70 lat temu urodziłem się w Krośnie Odrzańskim. Moje dzieciństwo, lata szkolne, sportowe rozbieganie to wioska Laski, też Odrzańskie.

Niejako z nurtem tej rzeki – od źródeł w morawskim Kozlov – spływam latami – po Bałtyk. Miejscem urodzenia czuję się duchowo spokrewniony z Klabundem<sup>1</sup>, którego twórczość fascynuje mnie do dzisiaj. Szukam jego śladów w Crossen an der Oder.

Tak chciał los, że znalazłem moje miejsce w życiu po zachodniej stronie Odry. Trudne lata stanu wojennego, niezgoda z politycznym klimatem partyjnego kraju, praca w militarnej szkole sprawiły, że podjąłem decyzję o opuszczeniu Polski. Emigracja, exodus, ucieczka, pomówienie o zdradę ojczyzny, to trudne do zdefiniowania stany mojego odważnego kroku na Zachód. Dziś przyznaję, że najbardziej męczyła mnie komunistyczna miernota, przemądrzałość, brak tolerancji, hałas, wrzask.

Te stany potęgują się przerażająco w obecnym zgiełku. Ojczyzna? Trudno mi się opowiedzieć. Nazywam ją emocjonalnie po europejsku – Odrzańskie.

Tomik poetycki brata, Mieczysława Warszawskiego nosi ten właśnie tytuł *Odrzańskie*. Zainspirowany był moim biegiem nad Odrą. Po jednym z treningów podpowiedziałem mu ten tytuł.

Lubię poruszać się po zarośniętych ścieżkach, krętych, niewygodnych, pełnych rozstajów. W tym poszukuję wartości, bliżej wyciszenia, piękna, zachwytu. Wędrowaniem, biegiem, zatrzymaną chwilą podążam w kierunku świata, który mnie wartościowo wabi.

O każdej porze roku odwiedzam ukochaną rzekę. Ubiegłorocznym latem przekraczałem promem Odrę z Güstebieser Loose do Gozdowic. Tam znajduje się dominujący wśród łąk nadodrzańskich, pomnikowy metaloplastykon Boga Odry – Viadrusa.

Żyję niejako w rozkroku granicznym, intensywnie chłonąc kulturę sąsiednich narodów. Pomaga mi w tym otwarcie na literaturę, muzykę, sztukę, przyrodnicze piękno.

Dobrze mi też z tym, gdy czytam, piszę, myślę, żyję codziennością – w języku niemieckim.

W moich przygodach czytelniczych przeżywam często podwójną radość analizowania tej samej książki w dwóch językach.

Zajmujące mnie od lat książki Miłosza, Szymborskiej, Tokarczuk, Szczypiorskiego odbieram z dwujęzyczną barwą intelektualnej intensywności.

Bliżej Odry – twórczość Sobkowiaka, Koniusza, Warszawskiego, Morawskiego.

Także „an der Oder”, kiedy czytam Kleista, Fontane’a, Klabunda, Bierbauma, Eicha – w tłumaczeniach polskich.

To bycie w drodze, ta wędrówka, podróże do miejsc... gdzie nic nie ma wyostrzają moją wrażliwość, uwagę obserwacji, dostrzeganie piękna obrazu, miejsca, chwili.

Znajduję wyciszenie i spokój myśli w zatrzymaniu.

Najtrafniej moje płynięcie Odrą oddają słowa Klabunda: „...gdzie czas wpływa do wieczności...” („...wo die Zeit mundet in der Ewigkeit...”).

I tak podążam – po obu stronach Odry – w kierunku bliskiej Wieczności: Pełen emocji i wiary, na dalsze – kiedyś – podróżnicze spotkania z tymi, którzy już po tamtej stronie.

A sił dodaje mi moja medytacyjna modlitwa, zawierająca cztery słowa: Hygge-Sisu – Mut– Pasja.

Pokłon Viadrusowi – bo Odrzańskie.

<sup>1</sup> Alfred Henschke, ps. Klabund (ur. 4 listopada 1890 w Krośnie Odrzańskim, zm. 14 sierpnia 1928 w Davos) dramaturg i poeta niemiecki.





Anna Polak

## Niezwykłe podróże lubuskich zabytków sakralnych

Bardzo często, odwiedzając różne lubuskie świątynie, pojawia się refleksja, czy widoczne w nich wyposażenie jest w danym miejscu od zawsze? Czy zostało stworzone dla tego konkretnego kościoła? Otóż z uwagi na bardzo specyficzny obszar, jakim są Ziemie Zachodnie i Północne, wiele razy po 1945 roku dochodziło do translokacji obiektów ruchomych. Dlaczego tak się działo? Dziedzictwo sakralne tego obszaru po drugiej wojnie światowej znajdowało się w szczególnej sytuacji. Zdarzało się, że kościoły nie były od razu po zakończeniu konfliktu użytkowane, dlatego popadały w ruinę, czego konsekwencją było poddawanie ich rozbiórce. Jeszcze inne pozbawiono wyposażenia na rzecz potrzeb świątyń w „centralnej Polsce” lub po prostu bezwzględnie okradano. W pierwszym przypadku, aby ratować często bezcenne historycznie artefakty, przenoszono je do innego obiektu – czasem, jeżeli nie wprost do kościoła – do magazynu. Poniżej przedstawiono w zarysie dzieje zaledwie kilku wybranych lubuskich zabytków sakralnych. Warto jednak przy tej okazji uświadomić sobie fakt, że skala przemieszczeń, których dokonano w latach powojennych, była ogromna.

**Kościół w Kunicach pod wezwaniem Matki Bożej Szkaplerznej (miasto Żary) – przeniesiono tam ołtarz i ambonę z kaplicy zamkowej w Żarach oraz dzwon z Olszyńca (gm. Żary)**

Obecny kościół w Kunicach nie jest pierwszym obiektem sakralnym w tej części Żar, włączonej do miasta w 1973 roku, ale o wciąż funkcjonującej swej odrębnej historycznej nazwie. Wcześniej istniała tam świątynia o średniowiecznym rodowodzie, która została zburzona w połowie XVIII stulecia. Nową wybudowano w latach 1895-1896 w stylu neogotyckim. Co istotne, jej najcenniejsze wyposażenie przeniesiono najpierw do starego kościoła z kaplicy żarskiego zamku w 1740 roku, a stamtąd do opisywanego obiektu w Kunicach. Mowa przede wszystkim o ołtarzu, na którego kolumnach widnieją inskrypcje „SSFHVP” i „AMGFVP” – inicjały małżonków: Sigismund Seifried von Promnitz i Anna Margaretha, z domu von Putbus. Wskazuje to na datę fundacji, czyli czas pomiędzy 1623 a 1645 rokiem. Ołtarz okazał się zbyt duży dla kunicckiego kościoła, toteż poddano go z tego powodu przebudowie, choć wciąż

imponuje wysokością. Z tej samej kaplicy pochodzi również ambona z dobrze zachowaną dekoracją rzeźbiarską i malarską, jak również z niemieckojęzycznymi inskrypcjami stanowiącymi cytaty z Pisma Świętego. Przetrwanie tych dwóch, uznawanych za wybitne przykłady sztuki swoich czasów, elementów dawnego wyposażenia jest niestety wypadkiem wybitnie rzadkim w odniesieniu do zabytków na terenie powiatu żarskiego. Tym bardziej więc należy doceniać możliwość podziwiania artefaktów dających wyobrazenie o okresie świetności żarskiej rezydencji rodu Promnitzów, z kaplicą wznoszącą się pierwotnie na wysokości dwóch kondygnacji zamku.



Ołtarz i ambona z kaplicy zamkowej Promnitzów – obecnie w kościele w Żarach-Kunicach

W kunickim kościele zawieszony jest obecnie dzwon przeniesiony z nieistniejącego kościoła w Olszyńcu, gdzie świątynia ucierpiała w czasie drugiej wojny światowej. Nieużytkowana i dewastowana popadała w ruinę, a w 1965 roku poziom jej zniszczenia szacowano na 70%. Ostatecznie obiekt poddano rozbiórce, a niektóre elementy wyposażenia przeniesiono do nowych miejsc.

Dzwon, o którym mowa, został odlany przez Heinricha Jonasa w 1684 roku (to również data znaczącej przebudowy kościoła). Na szyi instrumentu umieszczona została łacińska inskrypcja będąca cytatem z psalmu 150: „Chwalcie Pana na cymbałach...”. Ponadto na płaszczu znalazły się cenne historycznie informacje (także w języku łacińskim), oprócz daty wykonania (1684) wymienieni są także szlachetnie urodzeni patroni kościoła w Olszyńcu, żarski superintendent Abraham Rothe oraz ówczesny

proboszcz olszynieckiej świątyni Heinrich Haend-schke. Trzecia inskrypcja, w głównej części niemieckojęzyczna, zawiera nazwisko ludwisarza i upamiętnienie kustosza Bartholomeusa Fillera. Co szczególnie interesujące, badania *in situ* wykazały, że treść tego fragmentu jest w rzeczywistości inna niż prezentowano to w licznych wcześniejszych publikacjach, powtarzających wersję z niemieckiego wykazu zabytków powiatu żarskiego z 1939 roku. Oma-wiany dzwon jest jedynym znanym dziełem tego ludwisarza, a jednocześnie przykładem „podróży” zakończonych bezpiecznie w innej kościelnej wieży, co dla tego rodzaju artefaktów w Zachodniej Polsce stanowi rzadkość.



Dzwony w Kunicach – po lewej ten przeniesiony z Olszyńca (na zdjęciu dr Paweł Karp w czasie badań)

### **Kościół pod wezwaniem Krzyża Świętego (Żary) – przeniesiono tam figury z belki tęczowej z żarskiego kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa (fara)**

Kościół farny w Żarach posiada długą historię, przy czym nie jest pierwszą budowlą, jaka znajdowała się w tym miejscu. Pierwotną był stosunkowo niewielki kościół romański. W miarę upływu czasu zaczęto wznosić nowy, znacznie większy, na miarę potrzeb rozrastającego się miasta. Tak oto, po prawie całkowitym wyburzeniu starszego założenia, w 1309 roku poświęcono nowe prezbiterium, a od 1401 roku można mówić o nowej nawie głównej, którą ukończono po zamknięciu sklepień do 1430 roku. Budowla nieznacznie ucierpiała w czasie bombardowania

w kwietniu 1944 roku, kiedy to amerykańskie lotnictwo zaatakowało fabryki zbrojeniowe III Rzeszy. Nie wielkim zniszczeniom samych murów towarzyszyło niestety zerwanie pokrycia dachu, co spowodowało nieużytkowanie obiektu przez kolejnych trzydzieści lat (jedynie prezbiterium zajmowali wierni kościoła polskokatolickiego). Do czasu wielkiej odbudowy świątyni zainicjowanej w połowie lat 70. XX wieku z jej wnętrza zniknęło praktycznie całe wyposażenie.

W okresie powojennym, próbując ratować niektóre elementy zabytkowe, z fary do kościoła, wtedy jeszcze pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego, przeniesione zostały dwie figury z belki tęczowej. Składały się one na Grupę Ukrzyżowania, a są to wyobrażenia Marii i Jana Ewangelisty. Kościół, w którym się one obecnie znajdują, również ma niezwykle bogatą i burzliwą historię. Wzniesiony w kompleksie klasztorным franciszkanów, uległ zniszczeniu w czasie katastrofalnego pożaru miasta w 1549 roku. Odbudowano go staraniem Promnitzów dopiero w 1728 roku, a kolejne poważne prace, prowadzone w XX wieku, pozbawiły go cech stylowych (poza wieżą). Po zakończeniu wojny długo pełnił funkcję garnizonowego. Obecnie kościół ten jest jedynym znanym obiektem sakralnym, w którym znajduje się dawne wyposażenie żarskiej fary. Niemniej planowana jest kolejna translokacja, tym razem będzie to powrót figur do ich oryginalnej lokalizacji.

Trwają wciąż poszukiwania pozostałych obiektów, przy czym nie brakuje przykładów ukazujących skalę trudności tego rodzaju działań. Wśród wyposażenia kościoła farnego, utraconego w nieznanych okolicznościach, zapewne w 1945 roku, znajduje się również dzban liturgiczny wykonany z połączanego srebra. W 1643 roku został podarowany świątyni jako dar za szczęśliwy powrót z Polski do Żar Anny Margarethy von Promnitz z domu von Putbus wraz z małżonkiem i dziećmi. Dramatyczne, lecz szczęśliwie wówczas zakończone wydarzenia okresu wojny trzydziestoletniej, znalazły kontynuację trzysta lat później, choć i to nie było jeszcze kresem „podróży”. W 2015 roku obiekt pojawił się w katalogu monachijskiego domu aukcyjnego Neu-meister z podaniem proveniencji: Lausitz (Sorau?), informacją, że stanowił dar dla żarskiego kościoła,

a także z jednoznacznie identyfikującą inskrypcją. W 2021 roku dzban ostatecznie został sprzedany, przy czym wskazano, że roszczenia państwa polskiego nie są już dochodzone, a międzynarodowe śledztwo zakończono.



Wnętrze kościoła farnego w 1921 roku



Wnętrze kościoła obecnie



Figury z fary w kościele pod wezwaniem Krzyża Świętego – widok na ołtarz

**Dębinka, kościół pod wezwaniem Krzyża Świętego (gm. Trzebiel) i Jasień, kościół pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej – przeniesiono tam stropy z kościoła Łaski w Koźuchowie**

Budowę ewangelickiego Kościoła Łaski w Koźuchowie, jednego z sześciu na Śląsku, rozpoczęto w 1709 roku. W latach 1719-1727 upiększono go licznymi malowidłami, których autorów nie znamy. Po drugiej wojnie światowej świątynia podzieliła los wielu zabytkowych budowli. Najpierw przeszła w posiadanie ludności prawosławnej. Niestety z racji wykorzystywania jedynie zakrystii, niedługo później, bo w latach 60. urządzono we wnętrzu skład zboża, a następnie magazyn Zakładu Sprzętu Motoryzacyjnego w Koźuchowie. W wyniku starań Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków stropy kościoła zdemontowano i przewieziono do Broniszowa. Po wykonanej w Poznaniu konserwacji trafiły do świątyń na terenie diecezji zielonogórskiej w: Miodnicy, Świdnicy, Mirostowicach Dolnych, Pniewie, Jarogniewicach, Zielonej Górze, Dębince i Jasieniu. Dwa ostatnie z wymienionych przeniesień zostaną bliżej przedstawione. Samego Kościoła Łaski nie udało się jednak uratować. W wyniku rozbiórki przeprowadzonej w latach 1972-1973 pozostała je-

dynie jego wieża, tak samo jak w wypadku podobnego obiektu w Żaganiu.

Niewielki, ale posiadający długie dzieje, sięgające drugiej połowy XIII wieku kościół w Dębince, stał się nowym domem dla stropu ukazującego scenę z Księgi Liczb – Wąż Miedziany, wykonaną temperą na sosnowych deskach. Niegdyś zdołał transept, obecnie znajduje się w nawie. Sama świątynia nie doznała większych zniszczeń w czasie drugiej wojny światowej, a prace prowadzone w latach 80. XX wieku na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Zielonej Górze ukazały zakryte po zmianie konfesji katolickie, gotyckie polichromie. Można zatem bez wątpliwości stwierdzić, że ta mała budowa zawiera we wnętrzu niezwykle cenne wyposażenie oraz wystrój malarski.



Strop ze sceną Wąż Miedziany znajdujący się obecnie w Dębince

Kilkanaście kilometrów od Dębinki położony jest Jasień. Kościół pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej odnaleźć można w centrum tego miasta. Wzniesiono go w latach 1733-1734 w miejsce budowli całkowicie strawionej przez pożar. Wielokrotnie przebudowywany, z usuniętym dawnym wyposażeniem, zyskał jednak niezwykle element wystroju wnętrza. Jest to główna część stropu koźuchowskiej świątyni ze sceną Wniebowstąpienia w centrum. Wokół niej znajdują się jeszcze kolejne mniejsze wyobrażenia: Przemienienie Pańskie, Chrzest w Jordanie, Pokłon Pasterzy, Zwiastowanie, Zdjęcie z Krzyża, Ukrzyżowanie, Chrystus w Ogrójcu, Ostatnia Wieczerza.

Przedstawione translokacji lubuskich zabytków mają, z drobnym, choć znaczącym wyjątkiem, wydzźwięk pozytywny. Uratowano je bowiem z obiek-

tów całkowicie później zniszczonych (Olszyniec, Kożuchów) czy też likwidowanych (kaplica zamkowa w Żarach). Najczęściej jednak mamy do czynienia ze świątyniami ogołoconymi z wyposażenia w bliżej nieznanych okolicznościach czasu wojny i, niestety,

okresu powojennego, czego szczególnym przykładem jest kościół farny w Żarach. Bardzo liczne zabutki o wielkiej wartości historycznej i materialnej wyruszyły w „podróż”, której ostatecznego celu nigdy nie poznamy.



Strop z główną sceną Wniebowstąpienia znajdujący się obecnie w Jasieniu

## Bibliografia

*Kościół Łaski w Kożuchowie*, redakcja naukowa A. Górski, T. Andrzejewski, Kożuchów 2009.

Kubiak A., *Kościół rzymsko-katolicki pw. Matki Bożej Szkaplerznej w Żarach-Kunicach*, Żary 2005.

*Die Kunstdenkmäler des Kreises Sorau und der Stadt Forst*, bearb. von H. E. Kubach, J. Seeger, Berlin 1939

Polak A., Karp P., *Kościoly i ich wyposażenie na terenie miasta oraz gminy Żary. Przeszłość – Teraźniejszość*, Żary 2022.

Polak A., Karp P., *Kościoly i ich wyposażenie na terenie miast i gmin: Lubsko, Jasień, Trzebień, Brody, Tuplice. Przeszłość – Teraźniejszość*, Żary 2023.

# Prezentacje

Basia Bańda

Studiowała w latach 2001-2006 w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, kierunek – Malarstwo. Dyplom uzyskała w pracowni prof. Jarosława Kozłowskiego w 2006 roku. W 2018 roku zdobyła tytuł doktora na ASP w Katowicach.

Od 2008 roku pracuje na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego jako asystentka w pracowni malarstwa prof. Ryszarda Woźniaka. Współpracuje z Fundacją Salony w Zielonej Górze oraz galerią Monopol w Warszawie. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Najważniejsze wystawy indywidualne i zbiorowe w kraju i za granicą (wybór): Galeria BWA w Zielonej Górze, Miejsce Projektów Zachęty w Warszawie, Galeria Miejska Arsenał w Poznaniu, Galeria Szara w Cieszynie, Galeria Platan w Budapeszcie na Węgrzech, Muzeum Współczesne we Wrocławiu, CSW, Zamek Ujazdowski w Warszawie, Zachęta w Warszawie, Prague Biennale 4 w Pradze w Czechach, Instytut Polski w Berlinie, Galeria Arsenał w Białymstoku.

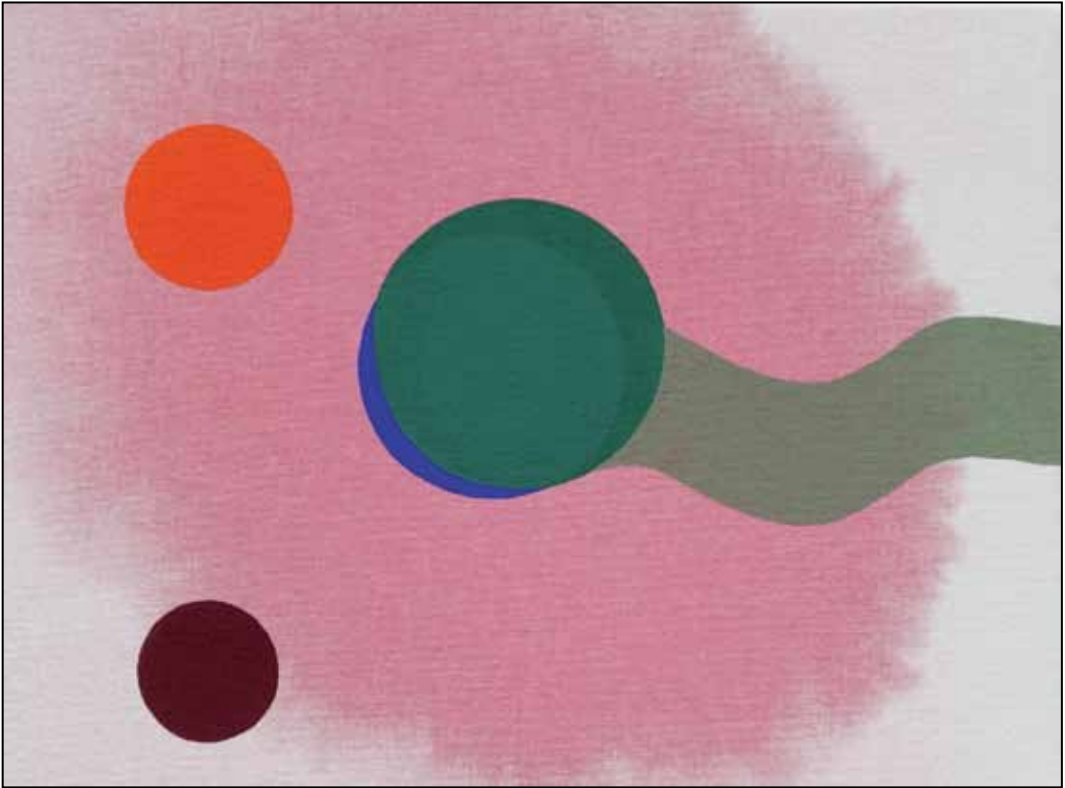
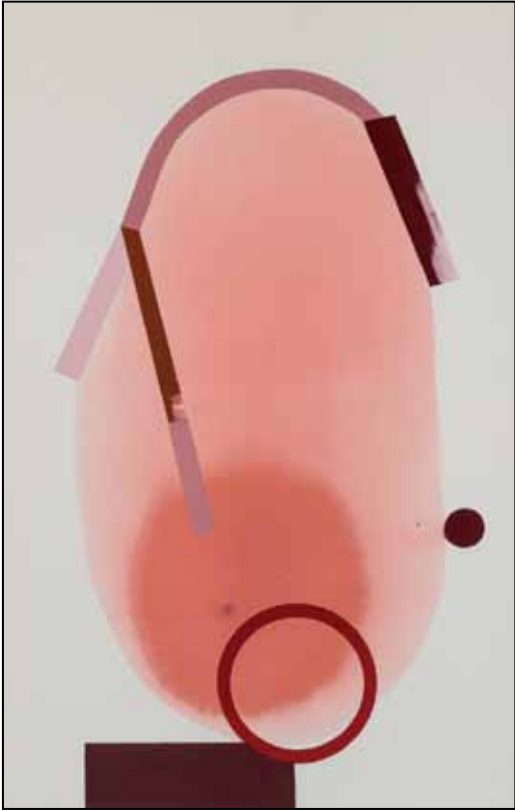
Prace artystki znajdują się w kolekcjach państwowych w Muzeum Narodowym w Gdańsku, Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim w Warszawie, Lubuskiej Zachęcie Sztuki Współczesnej, Dolnośląskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Warmińsko-Mazurskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, Fundacji Sztuki Polskiej ING, Wielkopolskim Towarzystwie Sztuk Pięknych, Bunkrze Sztuki w Krakowie, Galerii Sztuki w Legnicy, BWA w Lesznie, Galerii Labirynt w Lublinie oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

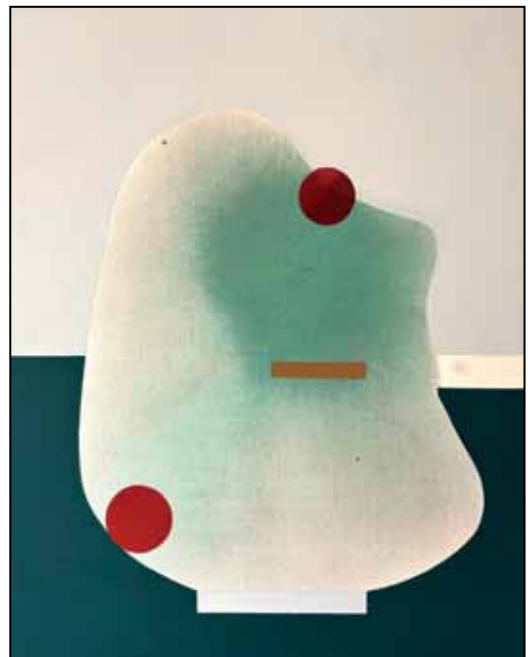
W 2009 roku Basia Bańda uzyskała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Młoda Polska, które umożliwiło mi artystyczną podróż dookoła Europy; w 2007 roku – półroczne stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W 2011 roku współpracowała z Operą Narodową w Warszawie. Zajęła wysokie miejsca w rankingach Rzeczypospolitej Kompas Młodej Sztuki.

Artystka zajmuje się malarstwem, rysunkiem, kolażem, obiektem oraz działaniami w przestrzeni publicznej.

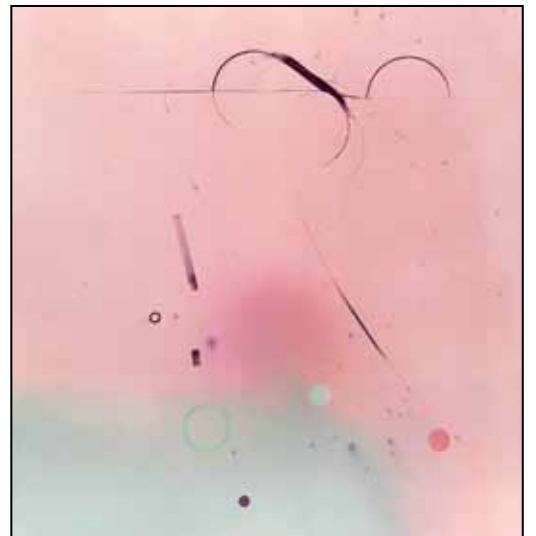
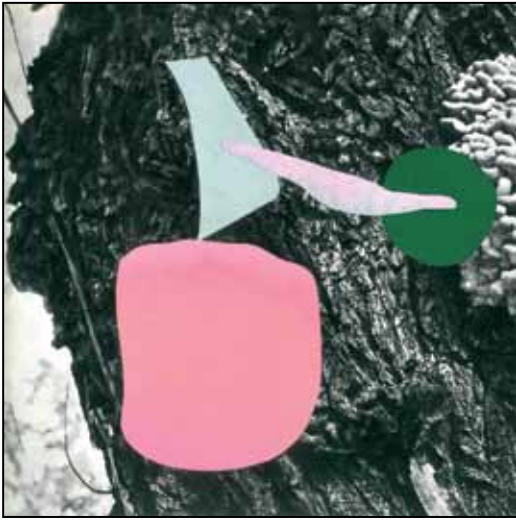


Fot. Franciszek Smoręda











Wojciech Kozłowski

# Sztuka Basi Bańdy

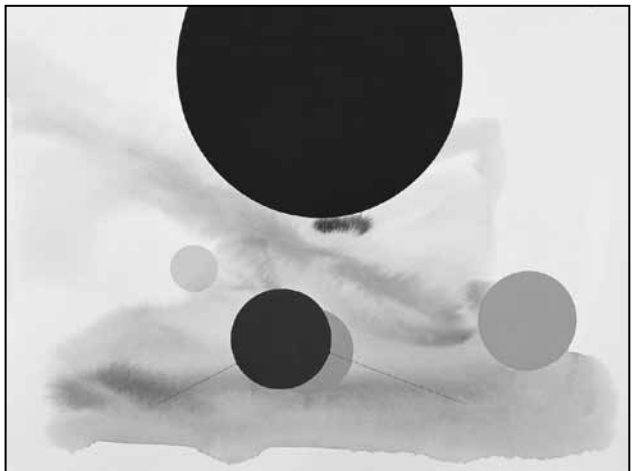
Twórczość Basi Bańdy, po wielokroć opisywana, wymyka się jednak prostym opisom i podsumowaniom. Przez ponad 15 lat obecności w sztuce artystka idzie swoją drogą, nie zwracając uwagi na doraźności i trendy, uwodząc introwertyczną opowieścią, która wydaje się jednak uniwersalnie czytelną.

Jest to bowiem malarstwo (a także rysunek, kolaż, obiekt, fotografia) od samego początku będące jednocześnie koncepcją i emocją, wolnością i pełną kontrolą, przypadkiem i perfekcyjnym założeniem. Bardzo osobiste, a jednocześnie głęboko zanurzone w historii sztuki. Bańda przyzwyczała nas, że w jej twórczości nic nie jest na stałe. Pierwsze prace, dzięki którym stała się rozpoznawalna, szybko zostały zakwalifikowane do obszaru „sztuki kobiecej”, cokolwiek miałyby to znaczyć. Artystka bardzo mocno akcentowała w nich swoje relacje z ciałem, własnym, ale też męskim, czyniąc głównym przedmiotem obrazowania swoje własne strachy, obsesje, relacje; używając ubrań, zaston, fragmentów tkanin – i fizjologicznie, i delikatnie.

Można było odnieść wrażenie, że Bańda nie uznaje tabu, żadnych ograniczeń w opowiadaniu o swoim oglądzie świata. A potem pojawiły się kolejne cykle, w których cielesność ciągle odgrywała ważną rolę, ale dotyczyła bardziej hybrydalnych form roślinno-ludzko-zwierzęcych. W innych odnosiła się do licznych podróży, dając nam wgląd w ich przebieg enigmatycznymi, czasem prawie że fotograficznymi scenami. A jeszcze później nastąpiło odejście od realizmu – nawet jeśli fantastycznego – w stronę abstrakcji, będącej reakcją na literaturę „grozy i niesamowitości”.

Najnowsze prace stanowią połączenie miękkich, rozlewających się form z precyzyjnie namalowanymi figurami geometrycznymi. Ten krótki, pobieżny przecież opis ma być tylko wprowadzeniem do tej sztuki, jednocześnie dekoracyjnej, ale głęboko przemyślanej i czasem wprost, czasem w bardzo zawoalowany sposób odnoszącej się do przeszłości malarstwa. Dającej przyjemność w percepcji, jednocześnie wielowarstwowej i niejednoznacznej.

Tak naprawdę, znając twórczość Basi Bańdy prawie że od samego jej początku, nie mam pojęcia, co będzie dalej; wiem tylko że artystka nie oszczędzi nam kolejnych zwrotów akcji w jej świecie, w którym życie i sztuka zawiązują się w nierozzerwalny splot.



# RECENZJE I OMÓWIENIA

## Byśmy proste prawdy pojęli

Irena Dowgielewicz, *Milczenia słuchajcie. Wiersze zebrane*, opracowała i postowiem opatrzyła M. Szott, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2024, 94 s.

Pamiętanie jest miarą człowieczeństwa. To ważna sprawa, to zdolność postanowiona. Zwłaszcza gdy dotyczy nie tylko osobistych przeżyć i wrażeń, ale zostaje odniesiona do cudzych, twórczych, literackich dokonań. Wiadomo, co dzieje się po śmierci pisarza. Jego dzieło trafia do literackiego czyścica. Często na bardzo długo. Poddawane jest próbie czasu. Tu decyduje się, czy autor wybitny za życia po latach także będzie za takowego uznawany. Czy zapomniany powróci w końcu do literackiego obiegu. Tworzenie, każde tworzenie, to ryzyko obejmujące. Trzeba poza tym szczęśliwego trafu, czyjś czytelniczego zafascynowania, humanistycznej misji, a nawet poświęcenia, aby mogło ponownie wrócić do życia. Powyższego rozważania niech będą kontekstem do twórczości poetyckiej Ireny Dowgielewicz. Po śmierci poetki w 1987 roku jest poezja nie była stricte zapomniana. Ukazały się bowiem wybory jej utworów: *Znalazłam światło* (1989), *Tutaj mieszkam* (2001). Te prezentacje wierszy bazowały wyłącznie na opublikowanych za życia tomikach. Zresztą, jakby nie patrzeć, niewielu. Nie dawały obrazu całości. Tak więc dopiero podjęta przez Mirosławę Szott idea przygotowania do druku i wydania w jednym zbiorze wszystkich utworów, które wyszły spod poetyckiego pióra, ziściła się ocalającą realizacją fundamentalnej pracy, której nadała brzmiały oryginal-



nie tytuł *Milczenia słuchajcie* (Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2024, ss. 94). Zawiera, co ważne, cały liryczny dorobek gorzowskiej poetki. Czyli drogę, którą przeszła pierwszymi swoimi publikacjami,

jako nastoletnia kobieta, tak powiedzmy, debiutująca poetka w „Kuźni Młodych” w latach 1933-1936. To był pierwszy inicjacyjny okres, pierwszy zarazem etap literacki. Po latach zaniechania twórczego, około roku 1960 przyszedł drugi etap, już dojrzalszy pod względem stylu poetyckiego, bardziej indywidualizowany i refleksyjny, w którym dał o sobie znać talent poetycki. Ten etap trwał do 1977. Wtedy Irena Dowgielewicz najpierw publikuje pojedyncze utwory w „Nadodrzcu” (1960), „Kierunkach” (1961), a następnie ukazują się oryginalne jej zbiorki: *Sianie pietruszki* (1963), *Stadion dla biedronki* (1970), *Tutaj mieszkam* (1973). Zasługą M. Szott jest dotarcie do rozproszonych utworów w wyniku wnikliwych poszukiwań, niejednokrotnych wyjazdów do Gorzowa, poszukiwań i rozmów z osobami mogącymi dać jakieś wskazówki i posiadać wiedzę biograficzną. Poszukiwania objęły, z pozytywnym skutkiem, Rozgłośnie Polskiego Radia w Zielonej Górze i Archiwum Państwowe w Zielonej Górze. Wyobrazam sobie tę cierpliwość, ten trud Mirosławy, warty docenienia. *Medytację* Czesława Miłosza, będącą mottem tego tomu:

Wystarczy mocno i wytrwale zastanawiać się nad  
jednym życiem,  
Pewnej kobiety na przykład, jak teraz robię,  
A ukazuje się wielkość tych jakże słabych istot,  
Które umieją być prawe i dzielne, cierpliwe  
aż do końca.

jak najbardziej można odnieść do samej redaktorki *Milczenia słuchajcie*. Apoteoza kobiety „cierplivej do końca” jest wielce sensowna. Ale wracając do zbioru. Wymienione wyżej zbiorki gorzowskiej poetki ukazały się w czasie poniekąd obowiązującego tendencji formalistycznych, postawangardowych w poezji polskiej. Janusz Koniusz np. nie w pełni doceniał styl Dowgielewicz, dla niego bowiem znacząca była niemal wyłącznie poetyka J. Przybosia z jego ideą „najmniej słów”. Potencjał liryczny Dowgielewicz zawarty był w sferze szeroko prezentowanej konkretności, malarskości, np. *Notatka* – „Same rzeczy zwyczajne. Na głogu młode liście. (Roztulają się jak piąstki dziecięce)”, zmysłowości i cudownej zwy-

czajności spraw życia, które stawiała zdecydowanie na pierwszym miejscu, obok częstych odniesień martyrologicznych, wojennych: „...znów pędzą na mnie kare konie i znów druty O. F. Lager Brandenburg”, „w moim kraju ginęli dwunastoletni kaprale”. Nie pograżała się we wspomnieniach. Jej głównym tematem była bieżąca codzienność. Jej całą egzystencjalną rzeczywistość. W niej wszystkie życia trudy, a nawet przemijanie zostało zaakceptowane: „Nie ma w przemijaniu goryczy”, jest „zgodą na ból złuszczających się nerek” i po prostu dostrzeganie kolorów życia: „w kuchni koszyk marchwi z pietruszką bardzo jest kolorowy”, „w garnku mam źródła gorące: pęcherzyki, bąble, pryski, wrzenia”. Słusznie kładzie M. Szott akcent nie tylko na gloryfikowany jako rewelacja cud istnienia (więc „zaden cud nie jest mniejszy przez to, że się powtarza”), na apologię zwykłości życia, na samą czynność patrzenia („Najlepiej patrzeć z niska”, bowiem prawdziwie, nie władczo), ale i na dostrzeżoną wartość udomowienia poetyckiego ja. Tu, w przestrzeni domu, poetka znajdowała ważne dla siebie gwarancje bezpieczeństwa i pozytywności całej prywatnej egzystencji: „Wystarczy, że jesteś. W fotelu przy radio”. Wtedy jednak ta poezja pełna zatroskania o szczegół nie znajdowała odpowiednio pozytywnej perspektywy w oczach krytyki literackiej. A była cała zanurzona w życiu i istnieniu: „czułe zebry kaloryferów,/ mucha zbija powietrze na pianę,/ komar c wysokie zawiesił na włosku”. Zdzisław Morawski też nie bardzo cenił dokonania Dowgielewicz. A tyle w niej bogactwa dostrzeżonych rzeczy i tyle urody języka. Mogła mimo tego nawet wydawać się anachroniczną, naznaczoną patyną dawności w nawiązaniach skamandryckich. Dzisiaj przywołanie poezji Dowgielewicz może jawić się opozycyjnie wobec panującego relatywizmu poznawczego, wirtualizacji rzeczywistości tudzież powszechnego dekadentckiego nastroju. Podczas gdy każdy jej wiersz wynikał ściśle z wnętrza ja lirycznego, jako rzeczywistego stanu duszy, gdy zdarzenia (np. szpitalne, pokorne, autorefleksyjne – cyt. „Nie jestem ważna”), dobiegał się dotkliwie do jej skóry, podnosił wagę realności. Osobiście uważam, że można je obecnie czytać jako swoiste antidotum na pustkę współczesnej poezji. Jest jesz-

cze jedna cecha wierszy Dowgiałewicz. Wyraża się w całościowym spojrzeniu na życie osobiste, na ową „mieszkam”, na los swojego pokolenia, które przeszło wojnę. To jest więc summa wszystkich osobistych doświadczeń, lęków i mimowolnych traumatycznych retrospekcji, towarzyszących codzienności, i jawi się ważna w sprawach prostych, prawdach pozornie drobnych, o których można mówić nawet patetycznie jako o „znalezieniu światła” w konkretności zmysłowej, która tu jest bardzo blisko sfery duchowej. Poniekąd mamy do czynienia z ucłowiczeniem świata dookólnego. Wiersze mają formę splotów z różnych odniesień semantycznych. Przez to są tak ujmujące. Zachowuje poetka przy tym równoległe do podejmowanych treści perspektywę metafizyczną, nie tylko w ważnym, definicyjnym wierszu

*Teologia*: „Jest Bóg roślin: mleczków i jemioli, / który patrzy i z uśmiechem schyla głowę”. Jak i w innych, w których apostroficznie zwraca się ze swoimi prośbami do Najwyższego.

Myślę o obecnym wyborze Mirosławy Szott *Milczenia słuchajcie* jako o bardzo cennej książce, dobrze opracowanej (nota biograficzna, postowie *Jedną ręką życie, a drugą lęk*), pełnej prawdziwej poezji, miejscami jakby nawet nacechowanej turpistycznie, poświęcającej – chcę dodać – kobiecą, poetycką wrażliwość i oryginalność językowych określeń oraz celność obserwacji, które oddają naturze i ludzkiej codzienności należną jej wartość. Można rzec: będącą jak „nagłe uderzenie światła wiedzionego ręką cudzą”.

Czesław Sobkowiak

## Człowiek wobec Historii. O *Przeklętej Europie* Czesława Markiewicza

Czesław Markiewicz, *Przeklęta Europa*, Anagram, Warszawa 2023, 341 s.

Czesław Markiewicz opublikował swoje prozatorskie *opus magnum*. Na tle jego dotychczasowej twórczości epickiej, na którą składają się trzy powieści oraz zbiór opowiadań, *Przeklęta Europa* jest najbardziej imponująca nie tylko pod względem ilościowym, ale także w kontekście podjętej tematyki (tożsamość galicyjska), jak również rozpiętości czasowej (od końca XIX wieku do lat 70. XX). Główna bohaterka omawianego utworu, Kornelia Kajzur, to postać transgresyjna. Dziewczyna od początku przekracza granice obyczajowe, historyczne, społeczne, antropologiczne: „inaczej jada. Zawsze sama, gdzieś w kącie, najchętniej plecami do ławy. – Jak Juliusz Słowacki [...] Po prostu jest inna. Sama nie wie, dlaczego, na czym to polega” (s. 34). W jej losie niczym w soczewce uwidocznione zostały dzieje ludzi zamieszkujących Galicję.

Spotkany przypadkiem oficer cesarskiej armii, w przededniu pierwszej wojny światowej, stał się ojcem dwóch córek Kornelii. Nie przysporzyło jej to szczęścia, nie dało normalnego życia, ale pozwoliło wybić się na wewnętrzną niepodległość, wbrew oczekiwa-



niom społecznym, głównie sąsiedzkim i administracyjnym. Miłość do Austriaka rzutuje na losy Kornelii oraz jej bliskich. Poświęciłaby dla niego wszystko, dla niego – „pierwszego, tylko swojego mężczyzny. Nie wie, że ostatniego” (s. 42). Czytelnik stopniowo poznaje prawdę zarówno o niej, jak i o losie jej ukochanego. W *Przekłętej Europie* dzieje bohaterów determinuje Historia, ta pisana wielką literą, której nie interesują zwykli ludzie ani ich codzienne sprawy, marzenia, plany. Pierwsza wojna światowa, dwudziestolecie, druga wojna światowa, PRL – wszystkie te okresy mają swoje odzwierciedlenie w utworze.

Powieść Markiewicza można czytać linearnie, od pierwszego rozdziału do ostatniego, ale zamysł kompozycyjny pisarza pozwala na lekturę wybiórczą, niczym w *Grze w klasy* (1963) Julia Cortázar, do której pojawia się zresztą odwołanie (zob. s. 330-331). *Przekłęta Europa* zbudowana została z krótkich rozdziałów (najbardziej obszerne liczą niewiele ponad dwadzieścia stron) i każdy z nich można postrzegać jako osobną historię, opowiadanie, nowelę. Przykładowo, rozdział *Sadybie nie grozi żaden potop* jest opowieścią o małych miejscowościach w okolicy Tarnowca, istotnych dla przebiegu akcji – Sadybie i Zimnej Wodzie, które zostały ukazane w konwencji mitologiczno-symbolicznej, niczym tytułowa miejscowość z powieści *Prawiek i inne czasy* (1996) Olgi Tokarczuk. Markiewicz poprzez zastosowane rozwiązanie kompozycyjne zaburzył chronologię wydarzeń, linearny układ akcji, dlatego proponowana strategia lektury wydaje się być jak najbardziej zasadna.

Chociaż w powieści na pierwszy plan wysuwają się skomplikowane, a na pewno nieoczywiste, kwestie tożsamości, pamięci, pogranicza, to jest ona przede wszystkim historią kobiet(y). To poprzez pryzmat bohaterki – Kornelii i jej córek czytelnik poznaje temat wojen (pierwszej i drugiej), niepewnego czasu pokoju, rodzącego się totalitarnego państwa po 1945 roku; wszystkiego w skali mikro i marko. Markiewicz precyzyjnie wskazuje czas wydarzeń – zamach na arcyksięcia Ferdynanda (s. 19), śmierć Franciszka Józefa (s. 43), wybuch drugiej wojny światowej (s. 48). Galicyjskość, którą tak sprawnie stylistycznie kreśli autor *Przezroczyściego*, jest głównym

budulcem topograficznym fabuły utworu. Do tej pory w literaturze polskiej temat Galicji był reprezentowany przede wszystkim w prozie Józefa Wittlina, Juliana Strykowskiego i Andrzeja Kuśniewicza. Markiewicz dołącza do grona tych twórców nie tylko dzięki wirtuozerii narracyjnej, językowej, umiejętnie poprowadzonej polifoniczności, ale również dlatego, że poprzez rozwiązania wysokoartystyczne wprowadza nową, ważną opowieść rozgrywającą się na terenach Galicji, którą w dodatku można zaliczyć do nurtu *herstory* – odzyskiwania kobiecej historii.

W *Przekłętej Europie* rozmaite elementy o heterogenicznej proveniencji zderzają się ze sobą, a pisarz śledzi napięcia między nimi: miasto – wieś, polskość – austriackość, szczegół – ogół, tradycja – postęp, męskość – kobiecość, aż po, a może przede wszystkim, centrum *versus* peryferie. Taka tytułowa Europa wyłania się z powieści: pełna sprzeczności. Mamy, po wielu latach, w polskiej literaturze działo na miarę twórczości wspomnianego Andrzeja Kuśniewicza – niejednorodne, frapujące, nade wszystko galicyjskie, jak również interesujące stylistycznie. Kuśniewicz nie należał jednak do grona pisarzy czytanych masowo. Był raczej twórcą elitarnym, chociaż rozpoznawalnym w – *nomen omen* – Europie; szczególnie we Francji. Tak jak on, Markiewicz próbuje uchwycić nieuchwytną, skomplikowaną kwestię tożsamości polsko-austriackiego pogranicza, ale równocześnie przedstawia historię kobiety zdeteminowanej przez miejsce i czas, w których przyszło jej żyć.

Na uwagę zasługuje styl pisarza. Z pewnością *Przekłęta Europa* nie jest utworem dla każdego, nie każdy czytelnik zaakceptuje język utworu. W powieści na poziomie leksykalnym zderzają się ze sobą rozmaite rejestry – potoczny z oficjalnym, gwarowy z ogólnym, kolokwialny z poetyckim. Markiewicz miesza struktury składniowe, wprowadza gry słowne, posługuje się różnymi środkami stylistycznymi, jest wszakże wyczulonym na język poetą, więc musi być również sprawnym lingwistycznie prozaikiem. Za pomocą mowy pozornie zależnej oddaje świat wewnętrzny swoich bohaterów, skupia się na możliwie pełnym zaprezentowaniu ich obaw, wrażeń, odczuć, emocji. Poetyka afektywna dostarcza

znakomitych narzędzi analitycznych dla akademickiego postrzegania *Przekłętej Europy*.

Należy zaznaczyć, że podobnie jak w przypadku wymienionego *Mazurka dla dwóch nieboszczyków* (1983) Camila José Celi, czytelnik przy lekturze powieści Markiewicza może odczuć nadmiar, przesyt, zagubienie. Odbiorca zostaje zmuszony do poruszania się w tekstowym gąszczu motywów, szczegółów, imion, miejscowości, wydarzeń. Pomimo tego, że z tokiem tradycyjnego czytania (rozdział po rozdziale) fabuła zdaje się rozjaśniać, wątki układać w jedną całość, to jednak niedoświadczony lekturowo odbiorca może odczuć znużenie, zmęczenie takim sposobem kreowania świata przedstawionego. A może wystarczyłoby zrezygnować ze skądinąd świetnych stylistycznych opisów codziennych czynności? A może wręcz przeciwnie? Może Markiewicz wbrew prorocctwom oraz diagnozom Jacquesa Derridy i Jeana-Françoisa Lyotarda wierzy w sens wielkich narracji? I ich wielką, profetyczną moc?

Autor *Przezroczyściego* już dawno wyrobił sobie niepowtarzalną sygnaturę, która odznacza się głęboką świadomością twórczą, erudycją, intelektem oraz intertekstualnością. Markiewicz czytelnik i Markiewicz pisarz są monolitem. Pomyliłby się jednak ten, kto zbyt pochopnie umieściłby autora *Przekłętej Europy* w szufladzie z napisem: pisarz dla akademików. Prozaik doskonale odrobił lekcję swoich ulubionych pisarzy, gigantów literatury, wielkich mistrzów słowa: Carlosa Fuentes, Elfriede Jelinek, Michela Houellebecq, Jáchyma Topola, Wiktora Pielewina i Imre Kertésza. Wie doskonale tak, jak oni, że literatura to zapis ludzkiego doświadczenia w określonych kontekstach historycznych oraz społecznych, które okazują się uniwersalne. I to właśnie doświadczenie, i te konteksty Markiewicz mistrzowsko uwiecznił w swojej najnowszej powieści, chociaż trochę zapomniał o komforcie czytelnika.

Jakub Rawski

## „Zobaczyć naprawdę” – tajemnica twarzy, latarni i róży w poezji Anny Urbaniak

Anna Urbańska, *Światłocienie: sublimacje*, Wydawnictwo MajUS, Zielona Góra 2023, 67 s.

Twarz – część naszego ciała, której nie widzimy bezpośrednio, jedynie w lustrze. A zarazem najbardziej wyeksponowana i „objawiająca” wewnątrz osoby. Mówi się, że jest obrazem, zwierciadłem ludzkiej duszy. Stanać „twarzą w twarz” to spotkać się w bezpośredniej bliskości – z Bogiem, z samym sobą, z drugim człowiekiem, a może jeszcze z jakimś zwierzęciem, stworzeniem. To ujawnić, otworzyć „drugi świat” (*Moja samotność*) i „tak się po prostu pokazać drugiemu” (\*\*\*) „Żeby tak nie bać się...”).

W poezji Anny Urbaniak tajemnica twarzy odsyła do rzeczywistości duchowej, o której mowa

w motcie tomiku: „Świat ducha jest wspaniały, bogaty, nie można go utracić, zubożyć. Można go zawsze odzyskać na nowo, nie uciekając się do cudu” (Béla Hamvas). *Światłocienie. Sublimacje* ukazują proces ponownego odkrywania tej przestrzeni, to – jak pisze autorka *Słowa wstępne* Agnieszka Urbaniak – „zapis drogi [...], intymnej podróży w głąb siebie, służącej temu, by podjąć próbę zrozumienia własnego życia, przeszłych i obecnych relacji z innymi, zbudowania własnego świata na nowo”<sup>2</sup>. To odzyskiwanie dzieje się poprzez odstawianie tego, co ukryte za zasłoną i zdejmowanie masek.

<sup>1</sup> Wszystkie cytowane i omawiane wiersze pochodzą z tomiku Anny Urbaniak pt. *Światłocienie. Sublimacje*, Zielona Góra 2023.

<sup>2</sup> A. Urbaniak, *Słowa wstępne*, [w:] A. Urbaniak, *Światłocienie...*, dz. cyt., Zielona Góra 2023, s. 9.



## Twarz, zasłona, maska

„Epifania twarzy nie jest objawieniem wszystkiego wszystkim, lecz objawieniem prawdopodobnego wybranemu”<sup>3</sup> – to słowa ks. Józefa Tischnera z *Filozofii dramatu*. Prawdopodobność, szczerść wierszy Anny Urbaniak przekonuje. „Potwierdzeniem” intymnych przeżyć są czarno-białe ilustracje autorstwa samej poetki oraz Maryny Kapusty Parkhomenko, które na dłużej zatrzymują przy słowach, sytuacjach, poetyckich obrazach. Poszczególne utwory wraz z grafikami tworzą mocne sploty i składają się na skondensowaną – jak „wieczory gęste od myśli” (*Nasza historia*) – całość, w której nie ma elementów przypadkowych i błażych.

Co wiemy o tej twarzy, którą podmiot liryczny próbuje – „idąc za radą poety” (*Ćwiczenia z Różewicza*) – „opisać bez lustra” (*Ćwiczenia z Różewicza*)? Czy jest (może umownie?) „półwieczna”, czy ma „rzadkie brwi”, „opadnięte powieki”, „nieme oczy patrzące w złą stronę” i „usta pełne wahania, zaciśnięte nie w porę” (*Ćwiczenia z Różewicza*)? Czy „zapodziała się jej radość”, „nie godzi się na codzienność”, „szuka siebie od nowa”, „ucieka od smutku”, „rozdaje siebie po trochę” i „odślania pustkę, która boli” (*Straty*)? Czy płyną po niej „strumienie łez”, „drżą wargi” (*Instrukcja żałobna*)? Czy „przełyka skrycie łzy” (*Niemoc*), „patrzy oczyma dziecka z ukrycia rozliczając i wymierzając karę za krzywdy” (*Kara*), „odwraca wzrok od tego, co niechciane” (*Niechciane*), „ucieka od siebie” (*Biegnąc*)?

A może, jak w wierszu *Taka jedna*:

[...] wdzięczy się do wszystkich,  
niby przy okazji (póki czas).  
Śliczna buzia – wstrętna gęba  
udaje kogoś lepszego.  
Uśmiecha się na zawołanie,  
czyta okładki i nagłówki,  
robi mądre i głupie uwagi.  
Wydyma usta,  
wciska swój uśmiech w każdego,  
do oczu i do gardła – niezmordowanie.

<sup>3</sup> J. Tischner, *Rozdział I. Wydarzenie spotkania*, [w:] tegoż, *Filozofia dramatu*, Kraków 2006, s. 22.

Drzemie w niej potężna siła,  
ofiary pierwotna potrzeba – przetrwanie.  
Ucieknij się do kłamstwa i do zdrady,  
podepcze Twoje świętości,  
potem bez wstydu i wahania  
złoży pocałunek na Twoim czole,  
słodko niczym anioł<sup>4</sup>

Może tej twarzy „niepewne usta łapią powietrze”, a może tej twarzy wcale „nie ma” (*Ćwiczenia z Różewicza*)...?

Jaka jest prawda o osobie, którą odślania opisywane przez zielonogórską poetkę oblicze? Co jest twarzą, co zasłoną, co maską? Kiedy i dlaczego podmiot liryczny zaleca samemu sobie: „Kamienią przywdziej twarz” (*Odwet*)? W wierszu *Twarze* dochodzi do głosu trudna refleksja Tischnera: „Zasłona jedynie skrywa twarz, maska kłamie”<sup>5</sup>:

Pożyczam od innych twarze  
Jestem mistrzynią udawania  
w teatrze życia,  
które nie chce być moim

Jestem w kolorze szyby  
i wstydzę się tego grania  
Jak zrzucić wygodne maski  
i przestać być tylko na niby?<sup>6</sup>

Z wiersza wyłania się także podobna myśl z *Filozofii dramatu*: „[...] ludzka bieda to również bieda nieprawdy, konieczności skrywania się i zasłaniania”<sup>7</sup>. Koresponduje ona także z wyznaniem podmiotu lirycznego: „Jest mnie dwie, a może nawet sześć” (\*\*\*) „Jest mnie dwie...” i odbija się w wierszu *Między nami*, w którym „zasłona” pojawia się literalnie – a wraz z nią znowu wstyd, „uciekanie spojrzeniem” (*Między nami*):

<sup>4</sup> A. Urbaniak, *Taka jedna*, [w:] tegoż, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 34.

<sup>5</sup> J. Tischner, dz. cyt., s. 57.

<sup>6</sup> A. Urbaniak, *Twarze*, [w:] tegoż, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 29.

<sup>7</sup> Ks. J. Tischner, dz. cyt., s. 63.

Jakaś dziwna zawisła zasłona  
przykładamy do niej ucho  
uciekamy spojrzeniem  
i zastygamy w pół gestu

Utkana z rozczarowań  
słysząc przez nią bicie serca  
i słowa na końcach języka

Jest cienka i gęsta  
przesącza się przez nią samotność  
i światło powoli przenika<sup>8</sup>.

## Odpowiedź na niepewność

Tymczasem, idąc dalej drogą rozważań Tischnera, „twarz to ludzka prawda”<sup>9</sup>, a nawet „śląd Transcendencji”<sup>10</sup>. Co więcej: „Twarz jest osadzona na krzyżu istnienia”<sup>11</sup>. Zatem: „Nie ma [...] objawienia twarzy bez jakiegoś krzyża w jej tle. Ale twarz nie jest odbiciem krzyża, lecz raczej wcieleniem chwały płynącej ze sposobu, w jaki człowiek ustosunkowuje się do swojego krzyża”<sup>12</sup>. Dlatego krzyż, pewien „bagaż” przeszłości, naznaczonej „syndromem euro-sieroty”<sup>13</sup>, trudnymi relacjami (*Kara, Do mamy, Odwet, Na krawędzi jesieni*), różnego rodzaju stratą (*Sen, Straty, Hiacynta i Maja, Instrukcja żałobna, Niemoc*), samotnością (*Moja samotność*), brakiem (*Dychotomia nasza*), niepewnością (*Idę, Droga*), ciemnością, mrokiem, nocą, która „podpełza cicho do stóp / i szczerzy zęby złośliwie” (*Chciałabym*), ustępuje ostatecznie miejsca spotkaniu z Bogiem, przywołanemu przez poetycki obraz bicia dzwonów (*Odpowiedź*):

Czyste bicie dzwonów  
wdarło się na scenę zwycięsko

niespodziewanie  
w środku pracy, jasnego dnia.  
A zatem wszystko jest, jak ma być?  
Przemawiasz niespodziewanie,  
w odpowiedzi na niepewność,  
że jesteś i tak...<sup>14</sup>

Odpowiedź na niepewność, jaką jest doświadczenie obecności Boga „i tak” (*Odpowiedź*), pozwala na wyznanie wiary w „Jedynego Boga, który wieczność darmo rozdaje” (*Wyznaję*), dostrzeżenie Nieba i jego „postańców” (*Postańcy*), na kontemplowanie wizerunku Jezusa (*Kupiłam sobie Jezusa*), na zaufanie do Dekalogu, także dodatkowego, spóźnionego, stworzonego z uwzględnieniem własnych potrzeb, ran i nadziei podmiotu lirycznego (*Dekalog spóźniony*). Doświadczenie światła pozwala też na powrót do wspomnień, nie tylko trudnych, ale i budujących (*Pamiętam, Prawdziwe dzieci*), do prawdy, która ostatecznie wyzwala i pozwala iść odważnie naprzód, jak w wierszu *Idę*, pomimo spotkania z „dzikimi psami” i „powarkiwaniem złych oczu”.

## „Zbawcze światło” morskich latarni

Ciemność, którą przeniknięte są wiersze Anny Urbaniak, ustępuje także miejsca „zbawczemu światłu” (*Latarnie*), przywołanemu obrazem latarni morskiej. Ten motyw – podkreślony ilustracją na okładce oraz wewnątrz tomiku – choć pojawia się tylko w jednym wierszu, zdaje się pełnić ważną rolę. Dochodzi w nim do głosu zderzenie światła i ciemności, bowiem latarnie zapala się przecież właśnie wtedy, kiedy zapada mrok i noc. Latarnia odzwierciedla antynomiczność świata – jest „strażnikiem ciemności”, który „sączy” światło w „ocean nicości” (*Latarnie*). W ten sposób staje się metaforą tytułowych „światłocieni”.

Zarówno noc, jak i przebijające przez nią światło można odnieść do życia duchowego. Mrok zawiera w sobie przeżyte straty, rany, żalobę, pustkę, nicność, śmierć, poczucie braku sensu, niemoc. Istnieje jednak możliwość „sublimacji” – w tym przypad-

<sup>8</sup> A. Urbaniak, *Między nami*, w: tejsze, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 49.

<sup>9</sup> Ks. J. Tischner, dz. cyt., s. 63.

<sup>10</sup> Tamże, s. 20.

<sup>11</sup> Tamże, s. 64.

<sup>12</sup> Tamże.

<sup>13</sup> A. Urbaniak, *Słowo wstępne*, [w:] A. Urbaniak, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 9.

<sup>14</sup> A. Urbaniak, *Odpowiedź*, [w:] tejsze, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 42.

ku wydaje się nią przekierowanie trudnych emocji na twórczość, co przynosi efekt terapeutyczny. To, co wypowiedziane, może zostać przemienione, tak jak wypłakane łzy mają szansę wyschnąć<sup>15</sup>. Co więcej, strata może przerodzić się w oddanie, dar – o czym pisze ks. Krzysztof Grzywocz w „Zeszytach Formacji Duchowej”, zatytułowanych *Przesłonięte światło. Depresja a życie duchowe*<sup>16</sup>. Noc może okazać się wręcz „inną formą światła”<sup>17</sup>, bo z niej wyłania się postać Boga jako Światła prawdziwego<sup>18</sup>, pozwalającego „zobaczyć naprawdę” (*Ćwiczenia z Różewicza*). W ten sposób wiara staje się przewodnikiem, drogowskazem, prowadzącym do bezpiecznej przystani. Orientację w przestrzeni ułatwiają także inne „punkty”, jak dobre relacje, nadzieja, „lekcje”, z których wyłania się sens trudów. Te znaki jak latarnie morskie oświetlają ścieżki życia, pozwalają unikać niebezpieczeństw w trudnych warunkach i przy słabej widoczności.

### Założyć „różany ogród”

Boża obecność jako odpowiedź na niepewność sprawia także, że „wdzięczność/ Zakwita przy grobie/ Na Wielki Piątek” (*Wielki Piątek*), a trwoga (*Sami*), obawy czy zmartwienia (*Nasza historia*) nie wykluczają nadziei i radości „małego nieba” (*Nasza historia*).

Wspomnianą nadzieję w poezji Anny Urbaniak przywołuje róża. Choć można mówić o wielu znaczeniach tego motywu w literaturze, warto zauważyć, że w symbolice chrześcijańskiej róża odnosi się m.in. do miłości Boga, męczeństwa, przebaczenia, zmartwychwstania<sup>19</sup>. Róża odsyła także do wieczności, kruchości, piękna, dziewczęcej niewinności, przemijania<sup>20</sup>. Jej znamennym elementem są kolce, które ukazują nierozłączność szczęścia i cierpienia<sup>21</sup>.

Róża w twórczości zielonogórskiej poetki ma jednak także znaczenie szczególne, związane z utraconą córką. Autorka poświęca jej kilka wierszy: *Sen, Hiacynta i Maja, Instrukcja żałobna*. Wiersz *Hiacynta i Maja* obrazuje proces przeżywania tej bolesnej straty:

Rozmawiamy tak mało o Tobie  
choć serca nabrzmięte od słów,  
nosimy każde z osobna.

Posadziliśmy kremową różę  
jakoś na jesieni  
czasem zaglądając, jak rośnie,  
nim opadły liście,  
zrobiło się zimno  
i poszarzał świat.

Nawet imię każde dało Ci swoje.  
Wciąż prawie nie mówiąc o Tobie,  
wróciliśmy na wiosnę,  
patrząc chciwie,  
czy się zazieleni.  
Jakbyś była Różą –  
każdy pączek karmi nas nadzieją,  
więc dbamy o ten kwiat  
przy pustym grobie<sup>22</sup>.

Z kolei w wierszu *Nasza historia* motyw róży pojawia się w innym kontekście, padają tu bowiem słowa o pragnieniu założenia „różanego ogrodu” – który np. we francuskiej *Powieści o Róży* z XIII wieku symbolizuje ziemski raj<sup>23</sup>. Ale i tu niepokój, który się wkrada: „czy będziemy jeszcze umieli/ cieszyć się razem tym samym” (*Nasza historia*), może być związany z przeżyty przez dwoje rodziców stratą ukochanego dziecka. Ogród pełen róż kojarzy się także z *Tajemniczym ogrodem* Frances Hodgson Burnett. W powieści tej ujmuje sposób przedstawienia natury. Bliskość przyrody wpływa uzdrawiająco na ciało i ducha, nie dziwi więc, że ogrodnictwo – jak

<sup>15</sup> K. Grzywocz, *Przesłonięte światło. Depresja a życie duchowe*, „Zeszyty Formacji Duchowej” 33/2006, s. 35.

<sup>16</sup> Tamże, s. 74.

<sup>17</sup> Tamże, s. 81.

<sup>18</sup> Tamże, s. 74.

<sup>19</sup> *Róża*, [w:] W. Kopalński, *Słownik symboli*, Warszawa 2015, s. 363.

<sup>20</sup> Tamże, s. 362-363.

<sup>21</sup> Tamże, s. 364.

<sup>22</sup> A. Urbaniak, *Hiacynta i Maja*, [w:] tejże, *Światłocienie...*, dz. cyt., s. 21.

<sup>23</sup> Tamże, s. 365.

choćby wspomniane w wierszu sadzenie kremowej róży – może mieć znaczenie terapeutyczne.

Pomimo smutku, którym przeniknięty jest tomik Anny Urbaniak, siła nadziei i ufność dochodzi do głosu. Cieniom towarzyszy światło. By uwierzyć, że „każdy pączek” posadzonej przy pustym grobie róży „karmi [...] nadzieją” (*Hiacynta i Maja*), a „kwiat zakwita w ziemi jałowej” (*Instrukcja żałobna*) oraz że spełni się marzenie: „założę różany ogród” (*Nasza historia*), potrzeba jednak czasu i zgody na to, by „serce było sercem” (*Instrukcja żałobna*), na światłocienie, dychotomię, na czarno-białe, na współistnienie dobra i zła, na pełnię i pustkę, radość i ból.

Ta akceptacja i zaufanie do Boga i życia otwiera na doświadczenie, o którym pisał w swojej poezji Karol Wojtyła:

Więc w mroku jest tyle światła,  
ile życia w otwartej róży,  
ile Boga zstępującego  
na brzegi duszy<sup>24</sup>.

Katarzyna Krysińska

<sup>24</sup> K. Wojtyła – Jan Paweł II, *Pieśń o Bogu ukrytym. Poezje*, Warszawa 1998, s. 45.

## W sieci słów, czyli o tomiku *Owad w sieci* Mariana Ziomkowskiego raz jeszcze

Marian Ziomkowski, *Owad w sieci*, postł. S. Sterna-Wachowiak, Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne, Nowy Tomyśl 2023, s.???

Marian Ziomkowski (Ziom) ukończył Akademię Rolniczą w Poznaniu, a obecnie mieszka w Prądówce. W 2013 roku nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej wydał powieść *Akt eRosa*, którą zadedykował swojej żonie. Utwór ten należy postrzegać jako pełnoprawny debiut literacki. „Powieść w sześćdziesięciu rozdziałach-sekwencjach pomyślana jest jako film życia umierającego bohatera i w jednej osobie narratora, projekcja nie łączących się ponownie z rzeczywistością dawno i ostatecznie, zdawałoby się, zagubionych obrazów”. Równolegle do powieści powstają również pierwsze utwory poetyckie, które zostaną wydane w tomie *Owad w sieci*. Ostatecznie tomik został wydany w 2023 roku nakładem Nowotomyskiego Towarzystwa Kulturalnego, za który to zbiór

autor został nominowany w 2024 roku do nagrody głównej w konkursie Lubuski Wawrzyn Literacki (kategoria poezja) za twórczość w roku 2023. Ponadto autor od 2015 roku tworzy muzykę w Teatrze S, z którym występuje w kraju i za granicą.

Tomik poetycki *Owad w sieci* składa się ze 156 wierszy i jest zadedykowany Witce. Są to zwięzłe, wręcz lakoniczne w swojej formie utwory napisane w formie wiersza białego. W skrajnych przypadkach długość wiersza zamyka się w jednym równoważniku zdania, jak w przypadku wiersza *rozmowa z miłością ślepą*: „codziennie o ciebie/ ziarenka Kocham”, czy *rozmowa ze słońcem*: „kocham cię/ w cieniu”. Utwory te dotyczą codziennego dialogu ze światem i ze spotykającymi podmiot liryczny bodźcami i do-

świadczeniami. Idea dialogu jest stale obecna w relacji podmiot liryczny – świat, gdyż każdy z tytułowych wierszy zaczyna się od słowa „rozmowa z...”. Czy jednak faktycznie mamy do czynienia z pełnowymiarowym dialogiem, czy raczej tylko z monologiem podmiotu lirycznego? W większości przypadków – jak możemy się domyślać – jest to jednak monolog, ponieważ skierowane przez podmiot liryczny pytania do zegara-antyku, do choroby, pustego pokoju czy muzyki, a nawet prawa jazdy, pozostają bez konkretnej odpowiedzi. Jak czytamy w wierszu *rozmowa z prawem jazdy*: „ćwiczę parkowanie tyłem/ spojrzenie w lusterko za siebie przed siebie/ ruchy wsteczne omackie/ tył na przód i na odwrotność/ plac manewrowy moralnie obojętny/ cierpienie pachotka wpisane w twarz/ jeden ocalał/ leje się krew z pozostałych/ ogień walczy z wodą/ trudno uwierzyć w postęp”. Można by pokusić się o uzupełnienie, że „reszta jest już milczeniem”, niedopowiedzeniem i ulotną refleksją z pogranicza haiku, jak w przypadku wiersza *rozmowa z tableau*: „zbiorowa zagadka/na osi czasu/oś żywych/ oś odciętych”. Dlatego autor często stosuje w swoich utworach ironizującą puentę, która tylko podwaja smutną refleksję nad losem osamotnionego człowieka – nomada, który jak tytułowy owad, miota się w sieci życia, codzienności, co szczególnie wybrzmiewa w wierszu *rozmowa po wyroku*: „żyję z nieobecnością/ dzień w dzień/ wokół/ puls/ wyłącznie/ własny”. Jak zauważa Sergiusz Sterna-Wachowiak, *Akt eRosa* zapośrednicza się w tomie wierszy *Owad w sieci* „[...] poprzez podkreślenie i zdanie sobie sprawy ze swojej samotności”, by „dać wyraz – poprzez empatię – samotności bliźniego. Między nami i onymi. Wśród monad. W sieci”. Obecny w wierszach monolog chce jednak wybrzmieć w formie dialogu i to odmienionego przez wszystkie przypadki. Dlatego tomik dzieli się jeszcze na kilka sekwencji-podrozdziałów zatytułowanych „ja-ty-on-ona-one-my”, co tylko podkreśla w nowatorski sposób chęć podjęcia dialogu, który z perspektywy czasu jest już niemożliwy. Interesującym i świeżym ujęciem na temat życia jest ostatni podrozdział zatytułowany „załączniki”, w którym w zwięzły i ironizujący sposób przedstawiono etapy ludzkiego życia: uniwersalne i dzięki temu wspólne dla podmiotu lirycznego – Auto-



ra – odbiorcy – *everymana*: „zbudowany z blizn/ w twarzy ślady po oparzeniach/ realia podwórka/ wśród porażek/ mimo przez pomyłkę/pozytywnych uczuć [...] miłość – imię dla zagadki/ nadzieja – natóg szarych komórek/ wiara – kiełkuje o zmroku/prawda – za figowym listkiem/ zło – w czystej postaci/ dwudziestoczyterokaratowe [...] martwy punkt/bez adresu/ bez złudzeń” (*zyciorys*).

Warto pochylić się nad treścią wierszy zawartych w tomie *Owad w sieci*, które w swojej lapidarności i lekkości formy podkreślają tylko ulotność doświadczeń i tematów dotyczących człowieka w każdej chwili, a w szczególności w chwili samotności. Jediną bronią w tak przedstawionym uniwersum człowieka jest patrzenie z dokładnością kilku par pajęczych oczu na chwile, które już się nie powtórzą oraz nicowanie na pajęczą sieć najmniejszych odpowiedzi, refleksji na temat otaczającego świata, aby – jak za sprawą nici Ariadny – nie pogubić się w tym pędzącym świecie i czerpać radość z najmniejszych doświadczeń. Czego życzyć czytelnikom.

**Anna Naplocha**

## Pisane sercem

Hanna Bilińska-Stecyszyn, *Wbrew pozorom*, Oficyna Wydawnicza Silver, Warszawa 2021, 384 s.

1 marca 2023 roku odbyła się trzydziesta gala Lubuskich Wawrzynów. Dyplomem honorowym za całokształt twórczości została wyróżniona Hanna Bilińska-Stecyszyn. Jej nazwisko w historii tej najbardziej prestiżowej nagrody na Ziemi Lubuskiej pojawia się nie po raz pierwszy. W 2019 roku opowieść biograficzna o jej matce pt. *Pelunia* (wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Zielonej Górze, 2019) została nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Dwa lata później przyszedł czas na debiut powieściowy. *Wbrew pozorom* okazało się początkiem długofalowej współpracy z Wydawnictwem Silver, a twórczość autorki podbiła serca i zaskarbiła sobie sympatię wielu czytelniczek i czytelników w całej Polsce. Było to widać na odbywających się w marcu 2024 roku Targach Książki w Poznaniu. Wiele osób przyszło na stoisko Wydawnictwa Silver po autograf i chwilę rozmowy z Hanną Bilińską-Stecyszyn, która właśnie wydała swoją trzecią powieść.

Autorka mówi o sobie: „swoje marzenie w pisaniu zaczęłam w pełni realizować jako emerytka”. Jednak gdy spojrzy się na drogę do tego debiutu – widać, że to spełnione marzenie nie jest tylko i wyłącznie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Na sukces trzeba zapracować, a szczęściu – wydatnie pomagać, i tak właśnie było u Hanny Bilińskiej-Stecyszyn. W 2013 roku rozpoczęła pisanie bloga „Kobieta domowa”<sup>1</sup>, brała udział w konkursach literackich, publikowała w antologiach. W międzyczasie też próbowała zainteresować swoją twórczością licznych wydawców.

Formę pisarską szlifowała przez lata... jako polonistka, poprawiając i redagując wypracowania swoich uczniów. Tak oto była nauczycielka języka polskiego zamieniła się w nauczycielkę życia... Ta rola często jest przypisywana autorom i autorkom powieści obyczajowych, którzy o wszystkich barwach



życia wydają się wiedzieć więcej niż inni. Nieobce są im żadne życiowe zakręty, a książkowym postaciom każą zmagać się z przeciwnościami losu. Po lekturę tego rodzaju książek czytelnicy sięgają dla zaspokojenia ciekawości: jakie życie mają inni? Co ich spotyka po drodze i jak sobie z tym radzą? Również po to, by znaleźć ukojenie, nadzieję i otuchę, że z każdej życiowej opresji da się wyjść, zły los się odmieni, karta się odwróci i wszystko ułoży się tak, jak powinno.

Panuje przekonanie, że wszyscy znają się na życiu i jeśli tylko nie ma się wstrętu do pióra (czy dokładniej: do komputerowej klawiatury), każdy może o tym pisać. Nic dziwnego, że powieści obyczajowych ukazuje się u nas bardzo dużo, także w przekładach z innych języków. Z racji ich masowej obecności (nadobecności?) na rynku książki, ich poziom zarówno językowy, jak i literacki często pozostawia wiele do życzenia.

<sup>1</sup> <https://kobietadomowa.wordpress.com/> [dostęp: 2.04.2024].

Na tym tle *Wbrew pozorom* wyróżnia się bardzo pozytywnie dobrym, potoczystym stylem, naturalnością dialogów i przemyślaną, nieprzesadzoną fabułą. Poznajemy Kasię, mężatkę z kilkuletnim stażem. Oboje z mężem Markiem żyją bez większych trosk materialnych, nie mają (jeszcze) dzieci, ale wielkim zmartwieniem żony jest teściowa Eleonora. Relacje matki z synem są toksyczne, kobieta nadmiernie ingeruje w życie młodego małżeństwa, a posłuszny syn nie potrafi postawić granic. „Mamuśka” wykorzystuje wszystkie możliwe chwyt, aby nie dać o sobie zapomnieć. Młodzi żyją na krótkiej smyczy i nietrudno się domyślić, że narastające napięcie musi doprowadzić do konfrontacji. Kiedy i z jakim skutkiem, dowiemy się z lektury.

Równoległe do wątku Kasi i Tomka toczy się – w innej perspektywie czasowej – opowieść o Adamie. Długo nie wiemy, co – i czy w ogóle coś – łączy go z młodymi małżonkami. To mocno intryguje i zmusza do uważnego czytania oraz wyłapywania szczegółów, które być może pomogą w odpowiedzi na to pytanie. O wszystkim dowiadujemy się we właściwym czasie. Historia Adama budzi wiele emocji: jest on trzymającym się na uboczu, przyzwoitym człowiekiem. Niezasłużenie dla siebie poznaje gorycz uczucia bez wzajemności, co mocno zaważyło na jego dalszym życiu. A w wieku dojrzałym znów doświadcza odrzucenia. To jednak nie koniec świata, ale nowe otwarcie... W życiowych perypetiach Adama pobrzmiewają echa popularnego serialu *Daleko od szosy*. Można doszukać się pewnych analogii, choć wyraźnie trzeba zastrzec, że absolutnie nie jest to żaden rodzaj plagiatu. Niektóre motywy powieściowe mogą przypominać film, ale nie są identyczne.

Można by rzec: wszystko już było, ale czy właśnie wiedza o tym nie jest dla czytelników źródłem otuchy? Hanna Bilińska-Stecyszyn chce nas w tym przekonaniu utwierdzić, nawiązując do biografii Adama Mickiewicza (zwróćmy uwagę na podobieństwo imion). Nasz wieszcz również „dostał kosza” od kobiety, w której był zakochany i, jak wiemy z jego biografii, mocno to przeżywał.

To niejedyny „polonistyczny” trop w powieści. Można też uznać, że postać Eleonory z *Wbrew po-*

*zoram* – przy zachowaniu proporcji, bo jej postać nie jest aż tak tragiczna – wykazuje pewne podobieństwo do zgorzkniałej i rozczarowanej życiem Róży Żabczyńskiej z *Cudzoziemki* Marii Kuncewiczowej. Dzisiaj kobiety o takim usposobieniu nazywamy toksycznymi, a ich postępowanie oceniamy jednoznacznie, choć być może warto byłoby się zastanowić, czy nie są to osoby potrzebujące pomocy i wsparcia, aby mogły wyjść z destrukcyjnych dla siebie i innych schematów zachowań.

Portret Eleonory jest jednak bardzo wielowymiarowy i gdy spojrzymy pod odpowiednim kątem, zaczynamy rozumieć, że Hanna Bilińska-Stecyszyn zdecydowała się ją obronić, co może wydawać się zaskakujące. Nie zmienia to faktu, że kontakty z takimi osobami, pełnymi pretensji do świata, okazują się nad wyraz trudne. Dowodem tego jest postać syna Eleonory, Marka, człowieka bez wątpienia biernego, ustępującego „dla świętego spokoju” i unikającego bezpośredniej konfrontacji, co jednak nie pomaga w utrzymaniu zdrowych małżeńskich relacji.

Kilka zdań komentarza na temat obecnej w książce pewnej choroby. Eleonora – jak Emilia Korczyńska z *Nad Niemnem* Orzeszkowej – często ucieka w migrenę, swoją dolegliwością utrudnia życie innym, by nie rzec – terroryzuje otoczenie. To pewne, że Hanna Bilińska-Stecyszyn nie miała złych intencji, wykorzystując ten motyw do zbudowania swojej postaci. Szkoda jednak, że niepotrzebnie utrwalają się tu negatywne stereotypy związane z tą chorobą. Rzadko kiedy się ją rozumie, o czym świadczy ironiczne powiedzenie, że migrenowe bóle głowy – jak świetnie wie każdy, kto ich nie miał – są wymyślone<sup>2</sup>. Tymczasem chorujący na migrenę to nie toksyczni histerycy ani hipochondrycy, jak powszechnie się uważa. W nawiązaniu do powieści pozwolę sobie na prozdrowotny komentarz: zamiast ulegać migrenikom, tak jak Marek wobec swojej matki, zbierzmy się na odwagę i po prostu zaprowadźmy do neurologa, bo migrenę daje się już dzisiaj sku-

<sup>2</sup> Por. J. Didion, *W łóżku*, [w:] *Biały album*, przeł. J. Maksymowicz-Hamann, Relacja 2022, s. 200-205. Polecam ten świetny esej wybitnej dziennikarki, która opisała w nim prawdziwą naturę migreny i doświadczenia w zmaganiu się z nią.

tecznie leczyć, a nowoczesne, przełomowe terapie są dostępne również u nas.

U Hanny Bilińskiej-Stecyszyn fabuła nie jest zbyt mocno osadzona w konkretnym czasie – dopiero wtedy, gdy powieść na dobre się rozwinie, dostajemy wyraźny sygnał, że czytamy o pokoleniu wchodzącym w dorosłość w późnych latach 70. XX wieku. Budzi to lekki niedosyt – zarysowana mocniej czasowa perspektywa mogłaby dodać książce jeszcze więcej specyficznego klimatu, wywołać u osób z tego samego pokolenia wspomnienia z młodości i nostalgii. Autorka kreuje tutaj na przykład jedyną w swoim rodzaju atmosferę wczasów nad jeziorem w zakładowym ośrodku...

Jeśli chodzi o osadzenie fabuły powieści w czasie, jest tu tylko jedna drobna wzmianka o czasach rządów Gierka, stanie wojennym oraz także o smutnej konieczności żegnania przyjaciół emigrujących na stałe z Polski – bodaj każdy z nas miał w rodzinie lub w kręgu znajomych osoby, które w tamtym okresie wyjeżdżały. Dzisiaj, w dobie otwartych granic, telefonów komórkowych i Skype’a to trudne do wyobrażenia, ale wtedy była to droga w jedną stronę, wyjazd bez powrotu i przeważnie bez wieści od siebie nawzajem przez dłuższy czas.

Ale nie odbiera to w istotny sposób przyjemności lektury, ponieważ na pierwszym planie są niezmiennie ciekawie ujęte życiowe dylematy bohaterów i bohaterów, zawilości uczuć, refleksje przy podejmowaniu decyzji. Także te natury etycznej; tu warto zaznaczyć, że nigdzie nie znajdziemy nachalnego dydaktyzmu i moralizowania. W pełni widać, że do-

konywane wybory nieraz decydują o całym dalszym życiu, w istotny sposób wpływają na jego kształt. Hanna Bilińska-Stecyszyn kreuje fabułę z wielką życiową mądrością, ale i empatią wobec bohaterów, z dużą dozą inteligencji emocjonalnej. To pozwala nam, czytającym skonfrontować się także ze swoimi uczuciami wobec bliskich i samych siebie. Priorytetem autorki, jak sama mówi, jest „pisanie sercem” – i to w jej utworze jest bardzo dostrzegalne.

Nie chcę wytykać autorce „srebrnego” wieku, ale to, że Hanna Bilińska-Stecyszyn została powieściopisarką po przejściu na emeryturę, uznaję za mocny atut. Nie chodzi tylko o ogromne walory autoterapeutyczne twórczości literackiej. Dojrzałość ma mnóstwo pozytywnych stron i można wtedy dzielić się z innymi bagażem doświadczeń, życiową mądrością, równowagą i dystansem do życiowych dramatów, wnieść poczucie humoru. Wszystko to we *Wbrew pozorom* jest jak najbardziej obecne. W pewnym wieku zmienia się podejście do twórczej aktywności i oznacza: „mogę, nie muszę”. Zamiast presji na odniesienie sukcesu jest: „nic na siłę, jeśli się uda, to dobrze”. W przypadku *Wbrew pozorom* Hanny Bilińskiej-Stecyszyn udało się, i to ze znakomitym efektem, ta powieść obyczajowa jest wartościową lekcją życia<sup>3</sup>.

**Joanna Kapica-Curzytek**

<sup>3</sup> Podczas pisania tekstu wykorzystałam wywiad Marzeny Mi chałek z Hanną Bilińską-Stecyszyn, <https://cam.waw.pl/pokolenia/artukul/niespieszne-dzialania-okololiterackie-pokolenia-32/> [dostęp: 2.04.2024].

## Dedykacje dla Andrzeja K. Waśkiewicza

***Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza)*, spisała i ułożyła Anna Sobecka, Wyd. Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2023, 380 s.**

W listopadzie 2023 roku w trakcie dorocznej Gali Literackiej w Zielonej Górze redaktor Anna Sobecka promowała najnowszą książkę zatytułowaną *Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza)*, w której zamieściła ponad dwa tysiące wpisów zadedyko-

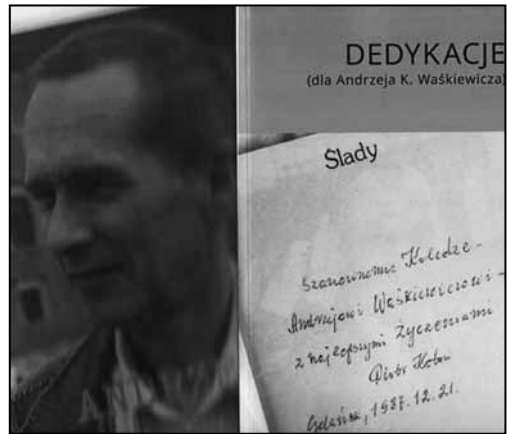
wanych ikonie polskiej literatury. Autorka jest wdową po znanym krytyku i poecie, przez blisko 40 lat była dziennikarką Polskiego Radia w rozgłośniach w Zielonej Górze i Gdańsku, zajmuje się ponadto publicystyką i przekładami literatury białoru-



skiej oraz sprawami mniejszości narodowych w Polsce, którym poświęciła cykl audycji radiowych i książkę dokumentalną *Kalejdoskop*, a także zbiór wspomnień dziennikarskich *Radio gra i... mówi* wydany z okazji 60-lecia Radia Gdańsk. Jest laureatką nagród Bursztynowy Mikrofon, a także otrzymała Pomorskie Pióro Tolerancji.

Po śmierci męża w 2012 roku A. Sobecka zajmuje się głównie jego biografią. Najpierw wydała zbiór wspomnień o pisarzu *Andrzej Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach* (2017), a następnie opracowała obszerny tom biobibliograficzny *Andrzej K. Waśkiewicz* wydany przez zielonogórski Oddział Związku Literatów Polskich w 2019 roku. Teraz przyszła kolej na dedykację poświęconę znanemu redaktorowi i edytorowi. Waśkiewicz to legendarna już postać znana w całym kraju, zwłaszcza pokoleniom urodzonym w latach 50., 60. i 70., gdyż przedstawicieli tych generacji promował wspólnie z Jerzym Leszkiem-Koperskim w seriach „Generacje” i „Pokolenie, które wstępuje”, a także w antologiach „Debiuty poetyckie”. Waśkiewicz rozpoczął karierę pisarską jako dziennikarz w redakcjach „Gazety Chłopskiej”, a później „Nadodrza”, gdzie zajmował się działem poezji. Uchodził za „łowcę talentów”, wypromował wielu znanych dziś poetów lubuskich. Ale po opuszczeniu Zielonej Góry i zamieszkaniu w Gdańsku w 1978 roku, życie jego toczyło się na osi trzech miast: Gdańska, Warszawy i Zielonej Góry, gdyż nigdy nie zerwał związków ze środowiskiem lubuskich literatów. Na Ziemi Lubuskiej spędził 38 lat, uczył się, pracował i mieszkał w Zagórzcu, Lubsku, Kożuchowie i Zielonej Górze, gdzie pracował początkowo w bibliotece. Tam – jako pierwszy z miejscowego środowiska – zajął się recenzowaniem twórczości regionalnych pisarzy, a zaczął od analizy i omówienia lubuskich legend i baśni pisanych przez Izabellę Koniusz i Helenę Rutkowską, które zamieścił w „Tygodniku Kulturalnym” w 1963 roku. Jako pierwszy na Ziemi Lubuskiej wydał też Waśkiewicz leksykon pisarski *Lubuskie środowisko literackie* w 1970 roku oraz opracował pierwszą antologię młodej poezji lubuskiej *Moment wejścia* w 1976 roku.

Zadebiutował Waśkiewicz wierszem *Odejście* na łamach „Zarzewia” w 1961 roku, będąc wów-



czas członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy w Gorzowie Wielkopolskim, a następnie Klubu Literackiego Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze. Członkiem zielonogórskiego Oddziału ZLP został w 1968 roku, potem był prezesem oddziału gdańskiego. Przez wiele lat był przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym ZLP w Warszawie, a przez ostatnie dwa lata życia pełnił funkcję wiceprezesa ZLP.

Pracował dla wielu pism literackich, m.in. „Orientacji”, „Integracji”, „Punktu” i „Autografu”, którego był redaktorem naczelnym, ale także do wielu gazet i czasopism, m.in. „Młodej Sztuki”, „Gazety Gdańskiej”, „Głosu Wybrzeża” i „Zielonogórskiej Gazety Nowej”. Ale Waśkiewicz to także znany poeta i biograf, krytyk literacki i historyk literatury, wydał ponad 30 tomików wierszy i szkiców krytycznoliterackich poświęconych m.in. Julianowi Przybosiowi, Krzysztofowi K. Baczyńskiemu, Józefowi Czechowiczowi, Mironowi Białoszewskiemu, Mili Elin, Władysławowi Broniewskiemu oraz Tadeuszowi Peiperowi, awangardzie krakowskiej i futurystom. Wiele jego tekstów badawczych dotyczyło również dziejów najnowszej literatury, skupiał się zwłaszcza na ruchu młodoliterackim i nowych pokoleniach pisarskich, na grupach i klubach studenckich i ich manifestach, na czasopismach studenckich, instytucjach literackich i współczesnych modelach poetyckich. Sam był twórcą formalizmu w poezji, który propagował w ramach Orientacji Poetyckiej Hybrydy, do której należał w latach 1960-1971.

Nie dziwi zatem fakt, że Waśkiewicz znał życie literackie od podszewki, poznawał nie tylko wytwory pisarskie, ale także samych twórców – poetów, prozaików, krytyków, dziennikarzy, naukowców czy działaczy społeczno-kulturalnych i posiadał ogromne zbiory biblioteczne w swoim gdańskim mieszkaniu. Stąd w najnowszej publikacji autorka wynotowała i przytoczyła aż 2039 dedykacji, wpisów i autografów zamieszczonych w ofiarowanych mężowi książkach. „Zapisane przed wszystkim na tomach i tomikach poezji, ale też na dziełach krytycznoliterackich, powieściach (w większości zaprzyjaźnionych pisarzy), reportażach. Do tego dodać trzeba pokaźny zbiór dedykowanych nadbitek z prac zbiorowych, periodyków (takich jak »Ruch Literacki« czy »Pamiętnik Literacki«) i zeszytów naukowych poszczególnych uczelni. – napisała we wprowadzeniu Anna Sobeca – W kilku wypadkach nie ma dedykacji, są jedynie autografy pisarzy, czasem datowane. Uznałam za słuszne włączenie ich tu ze względu na rangę autorów (jak np. Tadeusz Różewicz czy Czesław Miłosz)”.

Wpisy są uporządkowane chronologicznie, a zaczynają się od roku 1961, czyli momentu debiutu prasowego Waśkiewicza. Przepastny zbiór otwierają pozdrowienia od Jana Brzękowskiego z Paryża w grudniu tegoż roku, który przestał je w tomie *Poezje wybrane* wydane w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy rok wcześniej. Oczywiście jest, że nie sposób wymienić wszystkich autorów wpisów do książek подарowanych Waśkiewiczowi, ale warto zatrzymać się na tych znamienitszych autorach. Obok wspomnianych, Miłosza i Różewicza, spotkać możemy dedykacje od nieżyjących już pisarzy: Andrzeja Babińskiego, Stanisława Barańczaka, Jana Błońskiego, Nikosa Chadinikolau, Jana Czopika-Leżachowskiego, Bohdana Drozdowskiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Stanisława Grochowiaka, Marii Janion, Tadeusza Karpowicza, Piotra Kuncewicza, Jalu Kurka, Janusza Leppka, Jacka Łukasiewicza, Ryszarda Milczewskiego-Bruna, Stanisława Nyczaja, Longina J. Okonia, ks. Janusza Pasierba, Jana Rybowicza, Aleksandra Rymkiewicza, Stanisława Stabry, Janusza Stycznia, Tadeusza Śliwiaka, Bohdana Urbankowskiego, Wiktora Woroszyńskiego, Janusza Żernickiego, Leszka Żulińskiego, Wojciecha Żukrowskiego czy Jerzego Koper-

skiego, z którym Waśkiewicz utrzymywał towarzysko-rodzinne relacje.

Odnaleźć też można wiele wpisów od autorów, którzy dziś stanowią trzon literacko-krytycznego panteonu, jak: Józef Baran, Edward Balcerzan, Urszula M. Benka, Stefan Chwin, Zbigniew Jerzyna, Krzysztof Karasek, Ignacy St. Fiut, Marian Kisiel, Krystyna Konecka, Paweł Soroka, Eugeniusz Kupper, Tadeusz Mocarski, Janusz Drzewucki, Daniel Odija, Antoni Pawlak, Bohdan Zadura, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Marek Wawrzkiwicz i Andrzej Zaniewski.

Nie sposób też pominąć długiej listy pisarzy, żurnalistów, artystów i naukowców lubuskich, z którym znał się Waśkiewicz, pracował i promował, z którym utrzymywał żywy kontakt i recenzował ich publikacje. Należy tu najpierw wspomnieć tych, którzy już odeszli, jak: Henryk Ankiewicz, Jerzy Chłodnicki, Klem Felchnerowski, Kazimierz Furman, Jan Gross, Tadeusz Jasiński, Tadeusz Kajan, Waldemar Kajzer, Janusz Koniusz, Jacek Kotlica, Zygmunt Kowalczyk, Bohdan J. Kunicki, Jan Kurowicki, Gustaw A. Łapszyński, Zenon Łukaszewicz, Czesław Łuniewicz, Maria Przybylak, Aleksander Rozenfeld, Zbigniew Ryndak, Bolesław Soliński, Andrzej Syrokomla-Bułhak, Ireneusz K. Szmidt, Henryk Szyłkin, Anna Tokarska, Zygmunt Trziszka, Stefan Wachnowski, Mieczysław J. Warszawski, Janusz Werstler i Irena Zielińska – gorzowska poetka zmarła w 2023 roku.

Dużą grupę stanowią też literaci i badacze lubuscy, którzy nadawali lub nadają obecnie ton rozwojowi życia literackiemu lub naukowemu na Ziemi Lubuskiej, jak: Andrzej Buck, Teresa Borkowska, Krystyna Caban, Wojciech Czerniawski, Edward Derylak, Łucja Fice, Ferdynand Głodzik, Roman Habdas, Wiesław Hładkiewicz, Zbigniew M. Jelinek, Beata P. Klary-Stachowiak, Eugeniusz M. Konieczny, Krzysztof Koziółek, Marian Krzyżostaniak, Czesław Markiewicz, Małgorzata Mikołajczak, Dorota Muszyńska (Kozanowska), Wiesław Nodzyński, Jolanta Pytel, Alfred Siatecki, Czesław Sobkowiak, Wojciech Z. Śmigielski, Barbara Trawińska, Adam B. Wierzbicki, Marek Lobo Wojciechowski, Ryszard Zaradny oraz Eugeniusz Kurzawa, z którym łączyła Waśkiewicza długoletnia przyjaźń. To właśnie Kurzawa zapoczątkował krótko po śmierci autora *Mirbadu 7*. upamiętnianie jego dokonań literackich i wydawanie książek

biograficzno-wspomnieniowych poświęconych przyjacielowi. W 2012 roku wyszła książka E. Kurzawy *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*, a w 2014 roku zebrał recenzje i szkice Waśkiewicza, które wydał pt. *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*. Z kolei w 2016 roku Kurzawa zredagował i ogłosił kolejny zbiór Waśkiewicza pt. *O literaturze lubuskiej. Szkice, recenzje i inne teksty*. W roku 2017 nakładem zielonogórskiego Oddziału ZLP wyszła też broszura *Jedzenie jest niezdrowe... Ale przyjemne*, gdzie znalazły się przepisy kulinarne, które publikował Waśkiewicz w prasie, m.in. słynna zupa drwala.

Z inicjatywy Kurzawy w 2012 roku nakręcony został film dokumentalny z udziałem samego A. K. Waśkiewicza, który zrealizowała Justyna Dzienis, natomiast dwa lata po śmierci pisarza Lubuską Nagrodę Literacką przemianowano na Nagrodę Literacką im. A. K. Waśkiewicza. Również jednej z sal w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze patronuje autor *Zapisu z nieobecności*. Można rzec, że prawdziwe waśkiewicziana zapoczątkowane przez Eugeniusza Kurzawę rozkręciły się na skalę ogólnopolską, bowiem w 2014 roku Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki ogłosiło konkurs imienia Waśkiewicza, rok później ukazała się wydana na Uniwersytecie Warszawskim praca zbiorowa *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca odwiedzone*, w 2017 roku książka Piotra Smolińskiego – dyrektora biblioteki w Kartuzach pt. *Relacje: Warszawa – Zielona Góra, Gdańsk. Jerzy Leszin-Koperski, Andrzej K. Waśkiewicz. Korespondencja, autobiografia, dzieła*, natomiast w 2019 roku nakładem zielonogórskiego Oddziału wydano wspomniany wcześniej blisko 500-stronicowy zeszyt bibliograficzny nr 3 poświęcony autorowi *Wstępowania* w opracowaniu A. Sobeckiej oraz zrealizowano kolejny film dokumentalny o życiu i twórczości pisarza *To, co zostaje*.

Warto jeszcze wspomnieć o grupie autorów pochodzących czy związanych jakiś czas z Ziemią Lubuską, którzy wyjechali z regionu lub z kraju, ale których poznał Waśkiewicz i otrzymał od nich noty dedykacyjne, jak: Beata Ananiewicz-Szmidt, Teresa Ferenc, Jerzy Fryckowski, Sławomir Gowin, Bogusław Kierc, Anna Kwapisiewicz, Wojciech I. Strugała, Eugeniusz Wachowiak, Andrzej Weber, Marek Zgaiński, Jerzy B. Żimny, Joanna Ziemińska-Kurek oraz Mirosław

kuźel – pierwsza żona Waśkiewicza, poetka, autorka trzech zbiorów wierszy i sonetów, mieszkająca obecnie w Hiszpanii.

Ostatnie pamiątkowe wpisy dokonane przez twórców słowa pisanego pochodzą z marca 2012 roku, a ich autorami byli m.in. Paweł Majerski, Michał Piotrowski, Andrzej Mestwin, Jerzy Bandera, Jerzy Koperski i Stefan Jurkowski.

Komemoratywne kompendium opracowane przez Annę Sobecką poprzedza wstęp gdańskiego pisarza i wykładowcy Władysława Zawistowskiego zatytułowany *Trudna sztuka (otrzymywania) dedykacji*, w którym napisał, że „Andrzej Krzysztof Waśkiewicz podchodził do dedykacji – zarówno tych, które sam wpisywał, jak i tych, które otrzymywał – z podobnym pietyzmem, z jakim podchodził do literatury w ogóle, a poezji w szczególności, i to wszelkiej poezji – od dzieł Mistrzów po palcówki początkujących czeladników pióra. Z czasem ta miłość do słowa odręcznie pisanego pieczętującego to drukowane, przeszła w rodzaj pasji (nałogu?), polegającego na skrzytnym zabieganiu o kolejne dedykacje i kolekcjonowaniu książek z wpisami już otrzymanymi. [...] Andrzej Waśkiewicz wszystkie te książki skrzytnie i starannie przechowywał, zamieniając powoli swoje mieszkanie na gdańskiej Morenie w wielką bibliotekę poezji współczesnej”.

Warte jest też podkreślenia, że *Dedykacje* spisane i ułożone przez redaktor Sobecką są niezwykle przemyślane, uporządkowane i przejrzyste mimo ponad dwóch tysięcy wpisów, zawierają bowiem obszerny indeks nazwisk autorów dedykacji, a wszystkie wpisy są ponumerowane, opatrzone datą dokonania wpisu, zawierają autora i tytuł książki oraz miejsce i rok jej wydania. Zachowana jest kolejność dokonywanych wpisów w obrębie każdego roku. Całość zamyka *Aneks. Upominki* z 20 dodatkowymi wpisami, podchodzącymi głównie od rodziny i przyjaciół zapisanych na książkach podarowanych pisarzowi z okazji urodzin, świąt czy innych rocznic. Co również istotne, książka opatrzona jest w wiele reprodukcji kart z dedykacjami – czarno-białych wewnątrz, a kolorowych na kredowym papierze na końcu opracowania, co czyni ją edytorsko znacznie ciekawszą i bogatszą.

**Robert Rudiak**

# Już czas na Krakowiaka, czyli nadzieja i wiara w poezji

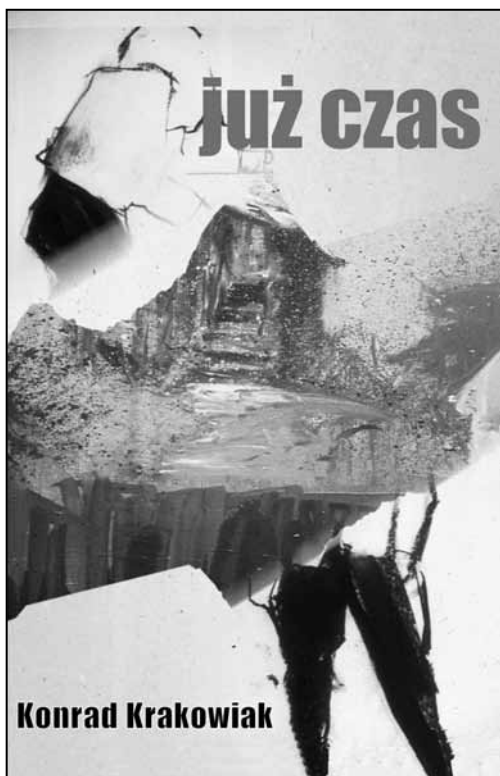
Konrad Krakowiak, *Już czas*, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2023, 66 s.

Konrad Krakowiak to znany głównie z telewizji publicznej dziennikarz i prezenter. Ukończył studia filozoficzne na zielonogórskim uniwersytecie, ale z zamiłowania pisze wiersze i teksty piosenek. Pochodzi z Lubuska, od wielu lat mieszka z rodziną w Warszawie, jednak nie zerwał związków z regionem lubuskim. Zadebiutował, mając 22 lata, w antologii *Wszędzie jest środek świata* wydanej w 2001 roku przez Zielonogórski Ośrodek Kultury i miesięcznik „Lubuskie Nadodrze” pod redakcją Czesława Sobkowiaka. Pierwszy tom poetycki Krakowiaka zatytułowany *Warto* wyszedł w 2012 roku, a trzy lata później drugi – *Lewa strona bytu*. Obie zostały wydane przez oficynę zielonogórskiej księgarni Pro Libris, która w 2023 roku po raz trzeci opublikowała zbiór wierszy Krakowiaka pt. *Już czas*, tym razem

nominowany do nagrody głównej Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w dziedzinie poezji.

W najnowszej książce autor zaprezentował 50 utworów, głównie o tematyce osobistej, podróźniczej i religijnej, często w formie filozoficznych rozważań i lirycznych dyskursów czy komentarzy. Duży wpływ na tematykę poezji Konrada Krakowiaka stanowią jego liczne wyjazdy na misje humanitarne do Afryki organizowane przez fundacje kościelne oraz telewizyjne i radiowe przekazy informacyjne, głównie z miejsc, gdzie wojna nie oszczędzała bezbronnych i niewinnych, zwłaszcza dzieci. W rozpoczynającym książkę wierszu *Dokąd?* opisywane są ślady zniszczeń po bombardowaniu, gruzy, ruiny i pył. Podmiot pyta, gdzie bawią się dzieci z przebitą pierśią, mówi, że należy uciekać, ale też zarazem zastanawia się dokąd i tonuje nadzieję na przetrwanie, bowiem z miejsca dotkniętego nalotem, gdzie brak schronów, nie można uciec. Roztrząsa też koszmar psychicznych pozostałości po czasie wojny, który będzie odtąd stale towarzyszył człowiekowi.

Ale współczesnych obrazów wojennych Krakowiak rysuje więcej, nawet jeśli nie wprost, tętnią one w tle opisywanych wydarzeń. Nawiązują do nich utwory *Ambulans*, *Muzeum tortur*, *Paruzja* czy *Teoria heliocentryczna*. Akcja zwykle osadzona jest w najbliższych realiach i choć nie dotyka ona bezpośrednio podmiotu, to porusza jego sumienie i wrażliwość, nie pozostając obojętną. Tak dzieje się na przykład w utworze o znamienym tytule *Program telewizyjny*, w którym opisuje wieczorny komunikat o emisji dwutlenku węgla, który truje ludzi i będzie to niejako czynił na nowo, w każdej antenowej powtórcie programu. Z kolei w wierszu *Anatomia dziejów* autor opisuje kontrowersyjnego profesora anatomii Eduarda Pernkopfa, rektora Uniwersytetu Wiedeńskiego w okresie drugiej wojny światowej, który zasłynął publikacją pierwszego na świecie kilkutomowego atlasu anatomicznego. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby Pernkopf nie był nazistą, dzięki czemu otrzymywał



do swoich badań zwłoki zgilotynowanych więźniów politycznych i Żydów. Ciało zamordowanych było co najmniej 1400. Atlas anatomiczny człowieka wzięty przez badaczy pod lupę dopiero w połowie lat 90. ubiegłego wieku wykazał, że jest on pełen ukrytych symboli nazistowskich. Podmiot mówi zatem:

Z jego arcydzieła korzystają współcześni chirurdzy

Pod zdartą z człowieka skórą  
widzę nieludzką złożoność dziejów

Obok opisów wojennych wiele miejsca poświęca Krakowiak także obserwacjom ludzi chorych, a jego zapisy bliskie są dziennikarskim reportażom, chłodnym, lakonicznym, bezstronnym, acz wymownym. Poeta nie chce przejść obok tragedii czy cierpienia, ale nie chce też nim epatować odbiorcę, raczej zmusić go swoim opisem do zastanowienia. Dzieje się tak w przejmujących utworach jak *Ola*, *Bagaż* czy *Terapia*. Podmiot w utworze *Ola* opowiada o chorej psychicznie dziewczynce, która w szpitalu psychiatrycznym jest uzależniona od niesienia pomocy innym chorym. W wierszu *Bagaż* opisuje z kolei Stasia i jego ulubioną zabawkę, mówiąc, że:

Chłopiec jest w Ośrodku Interwencji  
Chociaż się nie oddala

już biegnie z latawcem pod wiatr  
i toczy kulę słońca.

Gdy odnaleziono go na ulicy  
ogrzewała mu dłonie.

To ulubiona zabawka Stasia.  
Z nią najtrudniej w życiu będzie się rozstać.

Ale duża część wierszy z tomu *Już czas* to utwory o tematyce religijnej, mówiące w filozoficzny sposób o nadziei, łasce, odkupieniu win i przebaczeniu, to wewnętrzny dialog z Bogiem lub z ojcami Kościoła, jak np. ze świętym Tomaszem z Akwinu. To własny dyskurs w poszukiwaniu sensu wiary i chrześcijańskiej tożsamości. W liryku *Mniemanie* podmiot wyznaje:

Według Tomasza z Akwinu  
bez założenia istoty Boga  
nie ma istnienia świata.

Prawdopodobnie to co wiemy,  
musimy brać na  
wiarę

Z kolei w lirycznym obrazie pt. *W braku świadomości* poeta wdaje się w polemikę z Czesławem Miłoszem i jego wierszem *Degradacja*, aby autorско dopowiedzieć, że „W świadomości braku świadomości/ rodzi się wiara”.

We wstrząsającym wręcz wierszu *Paruzja* dotyczącym ponownego nadejścia Jezusa, podmiot w przeraźliwy sposób opisuje przygotowanie ofiary i samego rodzaju ludzkiego do tej zbawiennej chwili:

Już wszystko gotowe.  
Zabita kura, baran, sąsiad.

Odarliśmy ze skóry królika,  
Żyda, Araba.

Jest zupa na kościach  
i półmiski pełne ludziny.

Wszystko stygnie.  
Ciebie nie ma.

Poeta wadzi się z Bogiem, droczy i przekomara, wypomina, a czasem oskarża, nie szczędzi mu razów, głównie za jego milczenie lub nicnierobienie, za obojętność i sprawczą niemoc. To nasuwa rozczarowania i liczne zwątpienia widoczne choćby w utworach traktujących o rozmachu kosmosu czy samego nieba nad Ziemią, jak *Droga Mleczna*, *Pozegnanie*, *Koniec* czy *Zmartwychwstanie*. Swój prywatny spór z niebem i Wszechmocnym konstruuje poeta za pomocą paradoksów i antynomii, sprzeczności i antytez. Dlatego rozpaczliwie poszukuje autor nadziei lub prosi o miłosierdzie, skarżąc się zarazem, że współczesnemu człowiekowi brak czasu na modlitwę i duchowy kontakt z Najwyższym. W tekście *Obcowanie świętych* podmiot zwierza się, że:

Marny ze mnie pustelnik i filantrop  
żaden kaznodzieja, asceta.

Nie wiem, na ile jestem człowiekiem łaski,  
na ile człowiekiem woli. [...]

Jeśli obcowanie świętych  
jest wymianą darów między niebem a ziemią,

weźcie wszystko,  
co trzymam w pustych dłoniach.

Z kolei w liryku *Akt pokuty* podmiot wtrącony do egzystencjalnej celi, co potęguje jego rozgoryczenie, mówi wprost:

Definicję grzechu zapisuję ołówkiem.  
Poprawiam ją, gdy popędy świata  
górują nad duchem.

Staram się pogodzić w sobie  
wierność i zwątpienie,  
życie przed i po.

Jednak każda spowiedź przed sobą samym  
kończy się brakiem rozgrzeszenia.

Podobnych wierszy utrzymanych w nurcie religijno-filozoficznym w tomie *Już czas znajdziemy więcej*, jak choćby *Odkupienie*, *W kaplicy*, *Tę samą drogą*, *Pożegnanie* czy tekst zaczynający się od incipitu „Zawiesić konflikty zbrojne...”. Niektóre z nich de-

dykowane są osobom duchownym. Wiara katolicka jest nader często manifestowana przez Krakowiaka, ale nie czyni tego natrętnie ani nachalnie, raczej podsuwa subtelnie, w sposób delikatny lub zawalowany. Katarzyna Krysińska, autorka załączzonego do zbioru postłowa zatytułowanego „*Huśtawka na tęczy*” – *nadzieja nad przepaścią w wierszach Konrada Krakowiaka*, zauważa, że „W klasycznej liryce Krakowiaka wiara zajmuje ważne miejsce [...] lecz nie tylko ona nadaje sens istnieniu i ludzkiej drodze. Tym, co ocala od przepaści, w jakiś sposób pozwala uciec przed końcem, jest też zwyczajne... życie i smakowanie go, spokojna afirmacja i zaangażowanie, wdzięczność i doświadczenie”.

Poetyka Konrada Krakowiaka z pewnością wypływa z jego bogatego doświadczenia życiowego i zawodowego oraz z aktywizacji, ze społecznej i wolontariackiej pracy na rzecz chorych, biednych i utrapionych koszmarami wojennymi. Jest wnikliwy w swoich opisach i bystry w komentarzach, często-kroć odwołuje się do dzieł filozoficznych, literackich i malarskich, do sztuki sakralnej i religijności pojmowanej w niewyszukany, pospolity sposób. To sprawia, że jego przekaz brzmi autentycznie, jest wolny od napuszenia i patosu, raczej skupiony na grze emocjami i uczuciami, które za każdym razem mają skłonić czytelnika do refleksji i sprowokować go do poszukiwania swojej odpowiedzi, do osobistego zastanowienia i odnajdywania własnej drogi i sensu istnienia. Na tym polega emanacja i osobiwa siła poetyckiego obrazowania Krakowiaka.

**Robert Rudiak**

## Muzyczna Zielona Góra lat 60. i 70. ubiegłego stulecia

**Ryszard Łomski, *Zielonogórski big-beat i film (zespoły gitarowe i Lubuski Klub Filmowy)*, Pro Libris, Zielona Góra 2023, 220 s.**

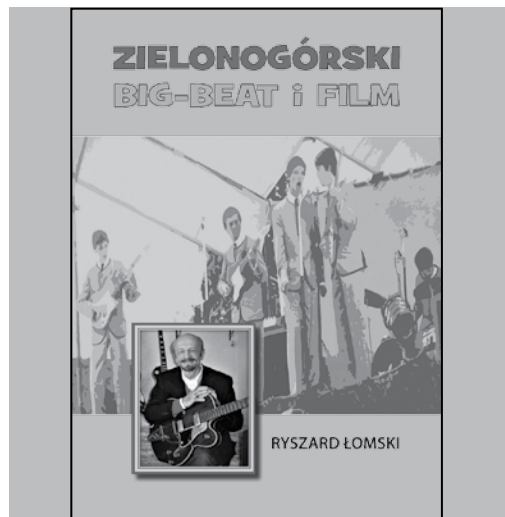
Pragnę podzielić się kilkoma osobistymi refleksjami po lekturze tej – jakże ważnej dla środowiska muzycznego Zielonej Góry – książki. Piszę z naciskiem na refleksje subiektywne, gdyż – jako nastolatek – byłem mocno zaangażowany w młodzieżowy ruch big-beatowy opisywanego okresu. Między innymi z tego powodu, jeszcze w trakcie pisania książki, jej

autor, Ryszard Łomski, kilkakrotnie dzwonił do mnie, konsultując zawartość dzieła, uściślając daty, fakty, nazwiska. Takich rozmów z wieloma żyjącymi do dziś muzykami autor przeprowadził nieskończoną ilość, co było sporym utrudnieniem dla człowieka, który od ponad pół wieku mieszka w Finlandii. Autorowi udało się dotrzeć do wielu z ówczesnych ar-

tystów, by zweryfikować własne wspomnienia z zapamiętanymi przez innych muzyków tego okresu.

Od początku popierałem ideę wydania książki o zielonogórskiej scenie muzycznej, wiedząc, jak ulotna jest pamięć ludzka, a rzecz utrwalona na papierze przetrwa długo. Autor sprowokował mnie swoim zamysłem do przypomnienia faktów sprzed 50 lat oraz do przeszukania albumów z archiwalnymi zdjęciami. Warto dodać, że właśnie w tamtych zamierzonych czasach miałem zaszczyt tworzyć razem z Rysiem Łomskim, Tadzkiem Sroczyńskim, Włodkiem Żurawskim i Milem Czerniwczanem pierwszy skład zespołu muzycznego Jolanie. Nim do tego doszło, na początku drugiej połowy ubiegłego wieku, byliśmy karmieni muzyką i piosenkami PRL-u, w wykonaniu ówczesnych gwiazd piosenki, w tym Marii Koterbskiej, Reny Rolskiej, Marty Mirskiej czy Mieczysława Fogga. Nie było to złe, ale my, młodzi, słyszeliśmy już o modnych trendach muzycznych na Zachodzie. A tam już się działo! Dochodziły do Zielonej Góry informacje o czwórce z Liverpoolu – zespole The Beatles. Chodziliśmy wówczas do kina nie tylko na filmy, ale przede wszystkim na tzw. *Kronikę Filmową* wyświetlaną przed seansem. To ona właśnie dostarczała nam wiedzy o nieocenzurowanych światowych nowościach, także z koncertów Beatlesów, których twórczość nas zachwycała. Kupowaliśmy pocztówkowe płyty muzyczne, które później odtwarzaliśmy na adapterze Bambino, w kilku zielonogórskich prywatnych sklepikach zaopatrywaliśmy się w buty tzw. bitelsówki. Spełnialiśmy marzenie każdego młodego chłopaka, jakim było posiadanie gitary elektrycznej, najczęściej samodzielnie ją konstruując, później robili to profesjonalści. Fakt samodzielnego wykonywania „instrumentów”, przystawek nawijanych na magnesiki i cewki z drutem z Lumelu, czy pierwszych wzmacniaczy lampowych został opisany przez Łomskiego w książce. Takie były początki muzykowania wielu z nas..

Książka jest interesująca nie tylko z powodu wyczerpującego opisanie ruchu muzycznego zielonogórskich nastolatków. Jest także znakomitym materiałem dotyczącym miasta, w którym wzrastaliśmy. Autor przybliżył topografię Zielonej Góry poprzez opisy ulic, gdzie zamieszkiwaliśmy, szkół, do których uczęszczaliśmy i gdzie ćwiczyliśmy grę na



instrumentach, klubów muzycznych, gdzie występowaliśmy. Książka jest także swoistą kroniką losów naszych rodzin, osób związanych z pasją grania, w tym m.in. Wacława Góreckiego – producenta wzmacniaczy gitarowych, Mieczysława Solskiego – lutnika-artystę, budowniczego naszych gitar czy Zbigniewa Czarnucha – pedagoga wspierającego środowisko młodych muzyków, lidera kultowego szczechu harcerskiego Makusyny. Integralną częścią książki jest rozdział poświęcony rodzeniu się ruchu filmowego w naszym regionie. To ważny wątek opracowania dający wiedzę o Lubuskim Klubie Filmowym, którego aktywnym działaczem był Janusz Łomski, starszy brat autora. Równie ważnym atutem książki jest wykaz nazwisk artystów muzyków (225 nazwisk) biorących – w różnym stopniu zaangażowania – udział w tworzeniu się kultury muzycznej miasta. Całość dzieła opatrzona jest obszernym materiałem zdjęciowym, co wzbogaca również cenny tekst. Warto dodać, że uroczysta promocja książki w gościnnych progach Biblioteki Norwida zgromadziła tłumy widzów. Nie obyło się bez wzruszeń osób, które spotkały się po kilkudziesięciu latach niewidzenia. Poza rozmową z autorem była okazja do wysłuchania kilku utworów w wykonaniu samego Ryszarda Łomskiego (gitara elektryczna), Zbigniewa Adamczaka (skrzypce elektryczne) oraz z moim udziałem (gitara klasyczna).

**Bogdan Springer**

# K

## KSIĄŻKI NADESŁANE

Marek Budniak, *Podróże w minione światy. Sylwetki skazanych w procesach politycznych na Ziemi Lubuskiej w latach 1946-1955*, cz. 1, Fundacja Civitas Christiana, Zielona Góra 2024, 192 s.

Szymon Domański, *Daj mi ten sandbox*, Wydawnictwo j, Jacek Bierut, Wrocław 2023, 48 s.

Olgierd Dziechciarz, *Wmartwychwstąpienie*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023, 44 s.

Władysław Edelman, *Niepotrzebne skreślić*, Organon, |Zielona Góra 2024, 64 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *W siódlach namiętności: wirtualni ulicznicy*, Wydawnictwo Magia Słów, Warszawa 2024, 236 s.

Piotr Gajda, *Goliat zwycięzca*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2023, 44 s.

Wioletta Grzegorzewska, *Tajni dyrygenci chmur*, W.A.B, Warszawa 2024, 272 s.

Joanna Guzik, *Skup butelek*, Wydawnictwo Papierowy Motyl, Warszawa 2023, 94 s.

*Innymi słowy. Antologia wierszy autorów z Międzyrzecza*, Urząd Miejski w Międzyrzeczu, Międzyrzecz 2021, 44 s.

Łukasz Kamiński, *4*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2023, 50 s.

Wojciech Kopeć, *jest taki konik*, papierwdole, Wrocław – Kraków – Tennessee 2023, 60 s.

Aleksandra Kurzawa, *Sen*, Stowarzyszenie Wyspa Kultury, Świdnica 2023, 182 s.

Grzegorz Kwiatkowski, *Zagadka*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2023, 32 s.

Tomasz Lorenc, *Głodzenie zwierząt*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2023, 60 s.

Joanna Miłosz-Piekarska, *W Krasnogrudzie i inne wiersze*, Fundacja „Pogranicze”, Sejny 2023, 56 s.

Rafał Skonieczny, *Powracający*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023, 80 s.

Paweł Socha, *Kardynał August Hlond ordynariuszem diecezji i administracji Ziemi Zachodnich i Północnych*, Wydawnictwo Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej, Zielona Góra 2024, 198 s.

Agata Stawska, *Poezja braku*, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2023, 90 s.

Przemysław Wechterowicz, *Miłość to cyngiel języka, który nie zawodzi*, Bukowno 2023, 56 s.

Jolanta Zarębska, *Matka magnolii*, Mamiko, Nowa Ruda 2023, 155 s.

Adam Ziemianin, *Krzątanie*, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2023, 132 s.

Licentia poetica. *Antologia wierszy autorów z Międzyrzecza i zaproszonych gości*, Urząd Miejski w Międzyrzeczu, Międzyrzecz 2022, 66 s.

Marian Ziomkowski, *Owad w sieci*, Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne, Nowy Tomyśl 2023, 208 s.



# AUTORZY NUMERU



## **Sławomir Bączkowski**

Rocznik 1971, pruszkowianin z urodzenia, obecnie mieszka w Warszawie, zawodowo związany ze szkolnictwem (nauczyciel angielskiego). Najważniejsze zainteresowania to literatura i muzyka klasyczna. Pisanie opowiadań to jego hobby.

## **Halina Bohuta-Stapel**

Debiutowała w latach 70. XX w. na łamach prasy wrocławskiej. Jest autorką kilku tomików poetyckich, scenariuszy spektakli kabaretowych, scenariusza komedii muzycznej opartej na przetłumaczonym przez nią z języka niemieckiego tekście Karla von Holtei'a pt. *33 minuty w Zielonej Górze czyli w połowie drogi*. Jej wiersze, proza i sztuki dramatyczne ukazały się w kilku antologiach wydanych przez Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, ZLP oraz WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Laureatka licznych ogólnopolskich konkursów literackich. Współtworzy Literacki Kabaret HALLO, jest członkinią ZLP o/Zielona Góra.

## **Paweł Brol**

Był przez kilkanaście lat związany z mediami. Zajmował się dziennikarstwem prasowym i radiowym. Z wykształcenia prawnik. Autor dwóch powieści: *Niewolnik w Europie* i *Znak z góry*. Prowadzi autorską stronę internetową z wywiadami [www.to-nie-jest-rozmowa-na-telefon.pl](http://www.to-nie-jest-rozmowa-na-telefon.pl). Mieszka na Opolszczyźnie z żoną i dwójką dzieci.

## **Wojciech Browarny**

Historyk literatury polskiej, regionalista, krytyk literacki, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracuje w Instytucie Filologii Polskiej UW, w którym kieruje Zakładem Historii Literatury Polskiej po 1918 roku i Pracownią Badań Regionalnych. Członek Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk. Naukowo zajmuje się współczesną polską prozą, kulturą literacką na Dolnym Śląsku po 1945 roku, antropologicznymi problemami nowoczesności, związkami kultury i historii z przyrodą. Autor książek m.in. *Tadeusz Różewicz and Modern Identity in Poland since the Second World War* (Wrocław 2019) oraz wstępu i opracowania *Wyboru prozy Tadeusza Różewicza* w serii Biblioteki Narodowej (Wrocław 2021). W latach 1996-1999 kierował działem krytyki pisma literacko-artystycznego „Dykja”. Jako recenzent współpracuje z miesięcznikami „Nowe Książki” i „Odra”.

### **Teresa Czajka**

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, nauczycielka szkół mazowieckich i zielonogórskich (mieszka od 2002). Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

### **Milena Dudzińska**

Uczy się w liceum. Swoja przyszłość chciałaby łączyć z pisarstwem. Jej największym marzeniem oprócz wydania książki (lub kilku) jest podróżowanie bez ograniczeń po całym świecie. Mieszka w Sulechowie.

### **Ewa Franków**

Urodziła się i dzieciństwo spędziła w Drezdenku. Polonistka, pedagog. Mieszka w Międzyrzeczu. Laureatka I i II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Eryka Pietruszaka. Jej wiersze znajdują się w antologii po-konkursowej *Ścieżką obok drogi* oraz w „Pro Libris”, „Aspektach” i „Kurierze Międzyrzeczkim”.

### **Sławomir Gowin**

Urodzony w 1965 roku w Krośnie Odrzańskim, pisarz, dziennikarz, poeta, autor tekstów estradowych i teatralnych. Debiutował książką poetycką *Biały tydzień* (1992). Opublikował cztery tomiki wierszy oraz zbiór esejów historycznych *Kraj poety* (2016), za który był nominowany do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2016. Mieszka w Warszawie.

### **Jerzy Hajduga**

Ksiądz, poeta, publicysta. Urodził się 30 marca 1952 roku w Krakowie. Wiersze publikował m.in. w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Frazie” i „Toposie” oraz na stronach internetowych. Jego wiersze przekładano na język niemiecki i angielski. Autor scenariusza spektaklu poetyckiego pt. *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991) oraz w drezdeneckim Teatrze Kotłownia (2017). Opublikował kilkanaście książek poetyckich, ostatnio *Zostań* oraz *takie twoje odchodzenie* (2022). Obecnie pełni posługę kapelana szpitalnego w Drezdenku i jest opiekunem duchowym Teatru Kotłownia. Prowadzi blog [www.jerzyhajduga.pl](http://www.jerzyhajduga.pl).

### **Izabela Jabłońska**

Urodziła się w 2004 roku. Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Prusa w Żarach, obecnie studentka filologii polskiej. Wśród jej zainteresowań jest czytanie książek i oglądanie różnych zawodów sportowych.

### **Magdalena Kalinowska**

Urodziła się w 1987 roku. Debiutowała w „Pro Libris. Młodzi” w roku 2010. Wykonała kilka grafik do tomików poetyckich. Ukończyła filologię polską, architekturę wnętrz ze scenografią na ASP im. E. Gepperta we Wrocławiu oraz studia podyplomowe z tłumaczeń polsko-niemieckich na Uniwersytecie Wrocławskim. Od wielu lat pracuje z dziećmi i młodzieżą w zakresie kompetencji społecznych oraz pedagogice przeżyć (współpracując z różnymi organizacjami z Polski i Niemiec). W wolnym czasie czyta poezję, czasem maluje, obecnie też pisze. Często chodzi po lesie, a z miłością studiuje od niedawna psychologię. Mieszka w Eichwalde.

### **Joanna Kapica-Curzytek**

Anglistka i pedagogka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek, recenzji teatralnych i wywiadów ([www.e-teatr.pl](http://www.e-teatr.pl)). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia

na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentka e-magazynu kultury „Esensja” ([www.esensja.pl](http://www.esensja.pl)). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

### **Dorota Kawecka**

Absolwentka Filologii Polskiej Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Wydziału Psychologii Uniwersytetu Humanistycznospołecznego SWPS w Warszawie (filia w Sopocie). Psycholog praktyk, prowadzi własny gabinet psychologiczny dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Zaangażowana w działalność społeczną m.in. w sprowadzenie Ziemi z Grobu C.K. Norwida z Cmentarza w Montmorency (Francja) na Wawel (1999-2001). Aktywnie uczestniczy w działalności Szczecińskiego Salonu Poezji i Zamkowych Spotkań z Psychologią i Sztuką (od roku 2002).

### **Bogusława Kaźmierczak**

Mieszkancka Babimostu, absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Wolsztynie, obecnie studentka pierwszego roku filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Fanka książek historycznych i regionalnych, a także kryminałów i horrorów.

### **Marian Kisiel**

Profesor dr hab. Poeta, tłumacz, krytyk literacki, badacz literatury polskiej XX wieku, nauczyciel akademicki. Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Zajmują go takie tematy, jak: historia literatury jako nauka o literaturze, kultura literacka jako wyzwanie rzucone socjologii lektury, krytyka literacka jako wyznaczenie autobiograficzne, literatura emigracyjna jako splot programów i postaw ideowych, poezja jako doświadczenie. Autor kilkunastu książek, współredaktor kilkudziesięciu tomów zbiorowych oraz artykułów w monografiach i czasopiśmie.

### **Bartosz Konopnicki**

Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego. Publikował między innymi w „Akancie”, „LiryDramie”, „Helikopterze”, „sZAFie”, „Nowych Myślach”, „Bezkrucie”, a także na stronie internetowej „Wydawnictwa J”. Jego wiersze drukowane są w antologiach poetyckich. Prowadzi autorski fanpage na Facebooku. Ostatnio wydał tomiki poetyckie: *Wagony do ciszy* (2019) oraz *Jak te manekiny* (2022). W wolnej chwili fotografuje i jeździ rowerem. Mieszka w Krakowie.

### **Wojciech Kozłowski**

Krytyk sztuki, kurator, pedagog. W latach 1979-1983 studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od 1984 pracuje w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych, którego od 1999 roku jest dyrektorem. W latach 1985-1991 wraz z Leszkiem Krutulskim-Krechowiczem współprowadził w BWA autorską galerię „po”. W latach 1985-1987 współpracował z Zenonem Polusem przy tworzeniu Biennale Sztuki Nowej i współredagował katalog pierwszej edycji tej ogólnopolskiej imprezy. Od 1991 roku wykładowca w Instytucie Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Prowadzi także zajęcia z zakresu kuratorstwa w Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu i Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Członek sekcji polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA.

### **Katarzyna Krysińska**

Absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, w 2019 roku obroniła pracę doktorską z literaturoznawstwa pt. *Poezja lubuska wobec sacrum*. Pracowała głównie w kilku redakcjach wydawniczych. Mieszka w Zielonej Górze.

### **Mirosław Kuleba**

Urodził się w Kołobrzegu w 1958 roku. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, tłumacz z języka rosyjskiego. Z zawodu inżynier budownictwa lądowego, pracował jako zawodowy myśliwy na Syberii, dzisiaj prowadzi gospodarstwo sadownicze i winnicę. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996, 1999-2000). Wydał serię książek oraz wiele reportaży o konfliktach zbrojnych. Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa: *Ampelografia Zielonej Góry*, *Enographia Thalloris*, *Topografia obiektów winiarskich i winnic Zielonej Góry*. Niedawno wydał zbiór esejów pt. *Enografia mistyczna miasta Thalloris* (2022) oraz monografię mineralogiczną *Prasiolity z Sokołowca na Dolnym Śląsku* (2023).

### **Eugeniusz Kurzawa**

Urodził się w 1954 roku, poeta, edytor, regionalista, dziennikarz. Pochodzi ze Zbąszynia. Absolwent WSP w Zielonej Górze (1980). Członek Związku Literatów Polskich. Debiutował wierszem w 1976 roku, tomikiem w 1979 (*Serial codzienny*, ZG SZSP Warszawa). Jego twórczość poetycka była tłumaczona na języki: rosyjski, niemiecki, litewski, estoński, białoruski, angielski oraz łużycki. Autor 15 zbiorów poezji. Wydał też m.in. pozycję biograficzną *Andrzej K. Waśkiewicz. Miejsca opuszczone* (Toruń 2012), prace autobiograficzne: *Obrazki prowincjonalne prozą* (Wilkanowo 2014) i *Spis treści* (Wilkanowo 2020), monografię *Region Kozła. Vademecum* (2018), bibliografię *Słowo zostaje* (2021) – wraz z Zofią Maziarz. Redaktor 45 opracowań – w tym pamiętniki Andrzeja Strumiłły, felietony Eugenii Pawłowskiej (Snobki), szkice krytycznoliterackie Andrzeja K. Waśkiewicza.

### **Marcin Mielcarek**

Urodzony w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zadebiutował opowiadaniem w czasopiśmie literackim „Twórczość”. Od tamtego czasu publikowany w wielu poważnych ogólnopolskich czasopismach. Autor książek: *Parada myśli nocnych* (2021), *Sztuka latania* (2022; nominacja do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) i *Nad górą wisi zielone słońce* (2023). Stypendysta Miasta Zielona Góra w dziedzinie literatury. Prowadzi bloga, na którym zamieszcza swoje teksty.

### **Małgorzata Mikołajczak**

Prof. zw. dr hab., kierowniczka Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Komitetu Nauko o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, przewodnicząca komitetów okręgowych olimpiady polonistycznej, prezes Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich. Jest autorką monografii poświęconych poezji Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, opracowała wybór poezji Herberta dla Biblioteki Narodowej. Ostatnio wydała książkę pt. *Ramiona Antajosa. Z teorii i historii regionalizmu literackiego w Polsce* (2021).

### **Anna Naplocha**

Dr n. humanistycznych, mgr filologii polskiej. Obecnie pracuje jako starszy bibliotekarz w Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. Z zamiłowania przyrodniczka oraz pasjonatka lokalnej historii. Wiersze publikowała w „Filologii Polskiej. Rocznikach Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego” oraz w „Pro Libris”.

### **Edyta Plucińska**

Urodziła się w 1976 roku w Gorzowie Wielkopolskim. Od ponad dwudziestu lat zawodowo zajmuje się uczeniem matematyki. Twórczość we wszystkich odmianach jest z nią od zawsze. Poezję zaczęła tworzyć

już w szkole średniej. Pasjonuje się też fotografią, rysunkiem intuicyjnym, rozwojem duchowym. Publikacja w „Pro Libris” jest jej debiutem prasowym.

### **Anna Polak**

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii Łużyc wschodnich Dolnych i Górnych, szczególnie kwestie dotyczące społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Wielbicielka turystyki i zwierząt. Pracowała w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach, a obecnie jest zatrudniona w Parafii pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Żarach, gdzie zajmuje się badaniami naukowymi, pozyskiwaniem środków pozabudżetowych oraz obsługą ruchu turystycznego.

### **Paulina Potasińska**

Adiunktka w Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców Polonicum Uniwersytetu Warszawskiego; badaczka literatury związanej z Warszawą; autorka monografii *Kult, mit i kompleks. Figury autokreacji w twórczości Leopolda Tyrmanda, Marka Hłaski i Tadeusza Konwickiego* (2015) oraz wielu artykułów naukowych poświęconych twórczości stołecznych pisarek i pisarzy.

### **Piotr Prusinowski**

Urodził się w 1987 roku w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych w dyscyplinie literaturoznawstwo. Absolwent filologii polskiej w zakresie filmoznawstwa, telewizji i kultury medialnej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. W 2008 roku otrzymał wyróżnienie w Konkursie dla Młodych Krytyków Filmowych im. Krzysztofa Mętraka. Od 2021 roku pracuje na stanowisku sekretarza literackiego i konsultanta programowego w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze.

### **Grzegorz Pul**

Urodził się w 1973 roku. Mieszka w Białymstoku. W 2021 roku Instytut Literatury wydał jego debiut *Ni szagu nazad czyli sztuka łowienia wspomnień*, co było efektem zdobycia wyróżnienia w trzeciej edycji konkursu „Nowego Dokumentu Tekstowego”. Publikuje w „Helikopterze” i TY.TU.Le.

### **Jakub Rawski**

Doktor nauk humanistycznych, zajmuje się literaturoznawstwem oraz filmoznawstwem. Absolwent filologii polskiej i historii. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Humanistycznym Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Głogowie. Autor książki *„Zawisza Czarny” – niedokończony dramat Juliusza Słowackiego. Studium monograficzne* (2021) oraz współredaktor tomu *Słowacki i wiek XIX* (2016). Opublikował kilkadziesiąt artykułów naukowych w monografiach zbiorowych oraz na łamach periodyków takich, jak m.in.: „Teksty Drugie”, „Załącznik Kulturoznawczy”, „Zeszyty Prasoznawcze”, „Studia Filmoznawcze”, „Zagadnienia Rodzajów Literackich”.

### **Aleksandra Rokicka**

Absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego na kierunku Międzynarodowe Stosunki Polityczne. Aktualnie właścicielka kliniki medycyny estetycznej. Pisarka, podróżniczka, kobieta o dużej świadomości siebie. Jej pasją jest czytanie i żeglowanie. Mieszka w Żyrardowie. Jest mamą dwóch dorosłych córek. Opowiadanie *Skóra* to jej debiut prasowy.

### **Robert Rudiak**

Poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, pięciu monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych. Autor m.in. zbioru prozy i wierszy *Umieralnia* (2016) oraz wyboru wierszy *Gehenna* (2017).

### **Andrzej Sienkiewicz**

Urodził się w Lubsku, wychowywał się na pograniczu niemiecko-polskim, a po maturze kształcił się w Zielonej Górze. W trakcie studiów był reporterem „Politechnika”, którego zielonogórskim oddziałem kierował Edward Mincer. Publikacje: informacje ze środowiska, sondy, i reportaże ukazywały się w prasie studenckiej i w „Gazecie Lubuskiej”. W trakcie pracy zawodowej (jako inżynier elektryk) pisał głównie podania o podwyżkę pensji, ale pomiędzy obowiązkami rodzinnymi, także reportaże, które niestety nie doczekały się publikacji. Obecnie pisze opowiadania, powieści oraz limeryki i tłumaczy zabawne wiersze poetów niemieckich. Ma w swoich szufladach także scenariusz filmu, kilka piosenek oraz sztukę teatralną.

### **Ryszard Sławczyński**

Publicysta, wydawca. Od 1999 roku prowadzi założoną przez siebie Oficynę Wydawniczą „Akwedukt”. Miłośnik Odry i autor jedynej w polskim piśmiennictwie antologii wierszy o rzece *Kiedy Ty mówisz Odra* (Wrocław 1999, wyd. II rozszerz.: Wrocław 2020). Pomysłodawca i narrator filmu dokumentalno-artystycznego *Odra – poezja rzeki* (2021). Rozpowszechnia wiedzę o rzekach Odrach płynących w Hiszpanii i w Chorwacji. Podróżnik, popularyzator kultury Kresów Wschodnich i Syberii. Od 2010 roku dyrektor Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu.

### **Czesław Sobkowiak**

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 roku. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Laureat wielu prestiżowych nagród. Trzykrotny laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1996, 2002, 2014), Nagrody Literackiej ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2023). Uprawia także krytykę literacką. Mieszka w Zawadzie w Zielonej Górze.

### **Bogdan Springer**

Z wykształcenia i zawodu inżynier elektryk, z zamiłowania muzyk, solista, fotograf. Występuje z recitalami, organizuje wystawy fotograficzne. Przez 10 lat prowadził Galerię Fotografii „Na Ptasiej” w Zielonej Górze.

### **Alicja Ścigaj**

Urodzona w 1993 roku w Gorzowie Wlkp. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. W 2010 roku zadebiutowała tomikiem *Przebudzenie*, za który otrzymała wyróżnienie w kategorii debiut w konkursie Lubuski Wawrzyn Literacki. Laureatka kilku innych nagród poetyckich. W 2020 roku zdobyła pierwsze miejsce w konkursie Pisanie Dobrze na Chandrę w kategorii „proza” za opowiadanie *Jasieczki/więzy krwi*. Dwukrotna półfinalistka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej. W 2017 roku została nagrodzona za *Dni powszednie* w konkursie dramaturgicznym Metafory Rzeczywistości organizowanym przez Teatr Polski w Poznaniu. Publikowała w antologiach i czasopismach kulturalnych, w tym w czasopiśmie „Dialog”. Obecnie mieszka w Kostrzynie nad Odrą.

### **R. Turniejov (właściwie Rafał Blecharz)**

Urodzony w 1990 roku. Absolwent filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Autor krótkich form literackich publikowanych m.in. w „Twórczości”, „Wyspie”, „Toposie”. Na co dzień dyrektor kreatywnej i producent w studiu animacji. Laureat polskich nagród graficznych. Aktualnie poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści pt. *Stalker*.

### **Agnieszka Tymoszczuk**

Urodziła się w Łodzi. Publikowała w „Toposie”, „Frazie”, „Pro Libris”, „Filologii Polskiej. Rocznikach Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego”. Zdobyła 2. nagrodę w 5. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia (2009). Obecnie mieszka w Sulechowie. Tarocistka.

### **Henryk Warszawski**

Entuzjasta historii, krajoznawstwa, sportu; miłośnik literatury, w szczególności twórczości lubuskiej. Zawodowo zajmował się rehabilitacją ludzi niepełnosprawnych. Sympatyk biegania, czynny maratończyk odnoszący na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku spektakularne sukcesy sportowe. Od kilkadziesiąt lat przebywa w Niemczech.







